

Barbara Cartland

Zamek stworzony dla miłości

The castle made for love



Od Autorki

Zamek stworzony dla miłości, w którym rozgrywa się ta historia, to zamek w Usse. Stoi on na skraju tajemniczego, mrocznego lasu Chinon w dolinie rzeki Indry.

Zamek ten zainspirował Perraulta do napisania „Bajki o śpiącej królewnie”. Zbudowany na przełomie XVI i XVII wieku, jest najpiękniejszym baśniowym zamkiem, jaki kiedykolwiek widziałam.

Paryska Wystawa Światowa w 1867 roku była apoteozą Drugiego Cesarstwa. Zorganizowana głównie z przyczyn politycznych, przyciągnęła gości z całego świata. Lista koronowanych głów, które ją odwiedziły, nie miała końca.

Cała Francja upajała się dumą, płynącą z osiągnięć technicznych i ze wspaniałej armii, i radością z dobrobytu, i z pięknej stolicy.

Jednak już trzy lata później Prusy pokonały francuską armię pod Sedanem, cesarz Ludwik Napoleon i cesarzowa Eugenia ratowali się ucieczką na emigrację, pałac Tuileries został doszczętnie spalony i rozpoczęło się oblężenie Paryża.

ROZDZIAŁ 1

Rok 1867

Hrabianka Maria Teresa Magdalena de Beauharnais stanęła na tarasie i ogarnęła spojrzeniem zielony krajobraz rozciągający się po brzeg rzeki Indry.

- To wszystko moje - powiedziała do siebie.

Odwróciła się i, wsparta o kamienną balustradę, podniosła wzrok na zamek. Zbudowany na skale, na skraju lasu Chinon, wznosił się nad ukwieconymi tarasami. Masywne fortyfikacje, wieżyczki strzelnicze, mansardowe okna i kominy rysowały się ostro na tle zieleni. Cały gmach, wyciosany z białego kamienia, wyglądał jak przeniesiony prosto z bajki. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że za chwilę ujrzy rycerzy z proporcami, na wspaniałych rumakach, którzy uzbrojeni w kopie wyruszają w otoczeniu giermków, by stanąć do walki ze smokami czyhającymi w kniei lub by bronić dobra przed złem. Pamiętała z dzieciństwa, jak ojciec opowiadał historie o owych rycerzach i mówił, że zamek, w którym mieszkają, jest na wskroś przesiąknięty duchem historii Francji. Na wspomnienie ojca nagle wydało jej się, że za chwilę zobaczy go wychodzącego przez jedne z łukowo sklepionych drzwi, wołającego, jak to zwykł czynić po powrocie do domu:

- Jola! Jola!

Nikt inny nie zwracał się do Jolanty tym imieniem. Ojciec pragnął, żeby ochrzczono ją tak na cześć jednej z najznakomitszych prababek. Matka jednak nalegała, by każde z imion noszonych przez córkę było imieniem świętej.

- Jola! Jola!

Teraz zdawało się jej, że naprawdę słyszy głos ojca niesiony echem w górę aż do łopoczącej na wietrze chorągwi rodu Beauharnais. Powiewała nad niezliczonymi dachami, z daleka widoczna dla tych, którzy byli w ich służbie, i dla tych, którzy zamieszkiwali ich ziemie.

Ojciec jednak odszedł z tego świata, a ponieważ nie miał męskiego potomka, Jolanta odziedziczyła zamek. Na myśl o ciężkiej na jej osobie odpowiedzialności na moment opuściła Jolantę duma z posiadania tego wszystkiego. Poczuli się mała i bardzo osamotniona. Jak będzie sobie radzić bez papy? Czy cokolwiek może być jeszcze takie samo bez jego śmiechu, bez rozmów, przynoszących tyle radości, bez konnych przejażdżek, w czasie których napawali się pięknem swojej posiadłości w dolinie Loary.

To właśnie ojciec podkreślał, jakim przywilejem jest zamieszkiwanie w krainie zwanej „Ogrodem Francji”. Nie tyle piękno i łagodny klimat tych stron, co ich wyjątkowy urok sprawiał, że tutejsi ludzie wydawali się tak różni od Francuzów mieszkających w innych częściach kraju.

Jolanta wzrastała nie tylko wśród opowieści rycerskich, ale także w kręgu legendy Joanny d'Arc. Ojciec na jej prośbę wielokrotnie powtarzał, jak to uboga, młoda dziewczyna przybyła, by złożyć wizytę delfinowi w zamku Chinon. Oczekując na posłuchanie, spędziła dwa dni w gospodzie, niedaleko miasta, poszcząc i modląc się. Nieziemskie „głosy” objawiały Joannie, że nowy władca będzie musiał pozbyć się znenawidzonych brytyjskich najeźdźców, jednak dwór wykpił dziewczynę i uznał ją za oszustkę. Kiedy w końcu Joanna została przyjęta w zamku, w wielkiej komnacie płonęło pięćdziesiąt pochodni i zgromadziło się tam trzystu wspaniale odzianych szlachciców. Żeby wystawić Joannę na próbę, delfin ukrył się między dworzanami, a jego szaty przywdział ktoś inny. Joanna nieśmiało postąpiła naprzód i natychmiast rozpoznając przyszłego króla, podeszła wprost do niego, uklękła i podjęła go za kolana.

- Czcigodny Delfinie - powiedziała. - Jestem Dziewicą Joanną. Król Niebieski przysłał przeze mnie wieść, że

zostaniesz pomazany i ukoronowany w mieście Reims i będziesz Namiestnikiem Króla Niebieskiego.

Karol jednak wahał się - zawsze wątpił, czy Karol IV rzeczywiście był jego ojcem, matka bowiem, Izabela Bawarska, prowadziła się swobodnie i miała niezliczonych kochanków. Wówczas Joanna rzekła:

- Powiadam ci w imię Naszego Pana Chrystusa, że jesteś dziedzicem Francji i prawowitym synem królewskim.

To było takie dramatyczne, pomyślała Jolanta.

Postać Joanny d'Arc wydała jej się tak bliska i realna, że to do niej dziewczyna modliła się o odwagę potrzebną do zarządzania swym małym królestwem. Oby potrafiła robić to równie dobrze, jak Karol władał krajem, gdy już został królem.

Poważne myśli przygnębiały ją. Otrząsnęła się z nich i znów spojrzała w stronę Indry.

Wspaniale jest znaleźć się w domu, pomyślała. Cały rok po śmierci ojca spędziła w szkole pod Paryżem. Nie mogła przyjechać do zamku, gdyż nie było nikogo, kto mógłby z nią zamieszkać. Teraz jednak, kiedy Jolanta skończyła osiemnaście lat, jej babka zdecydowała się opuścić willę w Nicei i przyjechać do Beauharnais.

Był początek maja i na pnączach oplatających tarasy pojawiały się już pierwsze pąki. Liliowe glicynie rozkwitały niczym poemat piękna. Żonkile, narcyzy, cyklameny i anemony zdobiły ogród kalejdoskopem barw, a różowo - białe kamelie tuliły się do murów zamku. Białe kwitnące drzewa owocowe zmieniały dolinę w krainę baśni. Nawet Jolanta idąc przez dziedziniec w kierunku kamiennych stopni, które wiodły do wejścia, w blad różowej krynolinie wyglądała jak kwiat. W czasie Wystawy Światowej w Paryżu mniejsza i krótsza krynolina wyparła tę ogromną, propagowaną przez cesarzową Eugenię. Stało się to za sprawą dyktatora mody, monsieur

Wortha. Mała krynolina niemal z dnia na dzień opanowała Paryż. Wciąż jednak suknie nosiło się na fiszbinowych rusztowaniach i wszystkie stroje były ozdobione krezami, mnóstwem falban i koronek. Oznaczało to, oczywiście, że szwaczki musiały nieustrudzenie pracować dzień i noc, a za najskromniejszą kreację w nowym stylu żądano astronomicznej sumy tysiąca sześciuset franków.

Jolanta przed powrotem do domu kupiła kilka sukien. Zaskoczyły ją wysokie ceny. Kapelusz nie większy niż mała miseczka, który nosiło się na samym szczycie misternie ułożonej piramidy loków, kosztował sto dwadzieścia franków. Mówiła sobie, że to niestosowne wydawać tak dużo na fatalaszki. Oczywiście ani jedna z żądnych rozrywek, szalenie ekstrawaganckich paryżanek nie brała pod uwagę tak radykalnej idei jak oszczędne gospodarowanie funduszami. Tak czy inaczej, Jolanta zaopatrzyła się we wszystko, czego potrzebowała, starając się zachować umiar w wydatkach. Zdawała sobie sprawę, że po śmierci ojca dysponuje ogromną fortuną. Jednak rozsądek podpowiadał jej, że najpierw musi zdecydować, jak zamierza dalej żyć, zanim zacznie wydawać wielkie sumy na stroje. Być może wytworne suknie nie będą jej potrzebne. Z drugiej strony babka, kobieta światowa, na pewno chciała, by jej wnuczka spędziła jakiś czas w Paryżu i została wprowadzona do towarzystwa, a szczególnie by wzięła udział w uroczystościach dworskich w pałacu Tuileries. Nie oznaczało to, że stara arystokracja, której reprezentantką była hrabina de Beauharnais Dowagerańska, darzy szacunkiem cesarza i cesarzową - przeciwnie, uważała ich oboje za parweniuszy.

Jolanta była pewna, że w gruncie rzeczy, babka i krewni są zdania, iż musi ona poznać odpowiedniego kawalera, aby go poślubić.

Nie będę się spieszyła, pomyślała dziewczyna.

Przez chwilę stała bez ruchu na szczycie schodów i jeszcze raz objęła spojrzeniem okrytą kwieciami dolinę.

Chwilowo to jest moje królestwo, powiedziała sobie, i nie mam zamiaru go z nikim dzielić.

Weszła do zamku, wstąpiwszy po siedemnastowiecznych ogromnych schodach. W pięknym salonie z widokiem na dolinę czekała na nią babka. Powietrze komnaty przepelniał zapach cieplarnianych kwiatów, które, ułożone w kosztownych wazach, stanowiły dopełnienie wspaniałych mebli, już od wieków niemo towarzyszących rodzinie de Beauharnais w dobrych i złych chwilach.

Babka siedziała w fotelu obitym zdobioną misternie materia, która została utkana i wyhaftowana w szesnastym wieku utalentowaną ręką damy arystokratycznego pochodzenia. Widok ten przywodził na myśl rokokowe portrety Bouchera.

Mając przed oczami te wysoko upięte włosy i pierścienie połyskujące na smukłych bladych palcach, nie sposób wątpić, że grandmere jest arystokratką, pomyślała Jolanta.

- Gdzież ty byłaś, ma chérie? (moja droga) - spytała hrabina.

- Byłam na tarasie, grandmere - odpowiedziała Jolanta. - Niewątpliwie mieszkam w najwspanialszym zamku w całej dolinie Loary.

- Jesteś taka sama jak twój ojciec - uśmiechnęła się babka. - On zawsze mawiał, że chociaż Chinon i Blois odznaczają się świetnością, a Chambord i Chenonceaux są piękne, nasz zamek ma w sobie magiczny urok, odmienny od wszystkich innych.

- To właśnie i ja czuję, grandmere - przyznała Jolanta. - To tak jakby dane mi było mieszkać w zamku z bajek mojego dzieciństwa.

- I dlatego - rzekła babka - musimy ci znaleźć księcia z bajki, żeby historia miała swoje szczęśliwe zakończenie.

Jolanta zamarła.

- Nie ma pośpiechu, grandmere.

- Niestety, nie masz racji - obstawała przy swoim babka. - Widzisz, ma petite (moja mała), przebywanie tutaj z tobą sprawia mi radość, lecz przyjechałam wbrew zaleceniom mojego lekarza i nie mogę zostać długo w zamku.

- Grandmere, tu jest prawie tak ciepło jak w Nicei. Wiesz równie dobrze jak ja, że wiele drzew w ogrodach pochodzi ze strefy podzwrotnikowej. Co więcej, posiadamy nawet kilka palm i papa sprowadził orchidee i pewne odmiany krzewów, które kiedyś można było spotkać tylko nad Morzem Śródziemnym.

Mówiąc to wszystko Jolanta spostrzegła, że tak naprawdę babka nie słucha jej z uwagą.

- Oczywiście wiesz, moje dziecko, jaka była wola twojego ojca? - rzekła wreszcie hrabina.

- Co do mojego... małżeństwa? - spytała Jolanta z wahaniem.

- Musiał ci o tym mówić.

- Nie, babciu, prowadziliśmy rozmowy niemal o wszystkim, ale tak naprawdę nigdy nie wspominał o żadnym kandydacie do mojej ręki.

- Cóż... na szczęście widziałam się z twoim ojcem na miesiąc przed jego śmiercią. Przyjechał odwiedzić mnie w Nicei, zanim udał się do Wenecji. Och, gdybyż ta nieszczęsna podróż nie doszła była do skutku!

Głos hrabiny zabrzmiał teraz ostro, lecz Jolanta nie odezwała się ani słowem. Znała doskonale powód, dla którego ojciec wybrał się do Wenecji. O tej sprawie nie chciała rozmawiać z babką wiedząc, jakie gorzkie uczucia to w niej wzbudzało.

- Twój ojciec mówił ze mną o twojej przyszłości - ciągnęła hrabina. - Być może przeczuwał, iż jego życie dobiega już kresu. Albo zwyczajnie widział, że dorastasz i wkrótce osiągniesz wiek, w którym powinnaś się zaręczyć.

Jolanta nerwowo przeszła przez pokój. Promienie słońca padające przez okno zbudziły granatowy połysk jej ciemnych włosów i podkreśliły niespotykaną biel jej cery. Wyglądała niezwykle pięknie, gdy tak stała na tle ciemnej aksamitnej zasłony, zapatrzona w krajobraz za oknem. Babka na chwilę zamilkła, radując się tym uroczym widokiem. W końcu powiedziała:

- Znam powód, dla którego ojciec nigdy nie wspominał, kogo chce, byś poślubiła. I on, i ja długo nosiliśmy w sercach tę decyzję i dlatego zdawało się nam, że w jakiś naturalny sposób jest ci ona znana.

- O kim mówisz, grandmere? - zapytała Jolanta. Odeszła od okna, by stanąć u boku babki.

- Oczywiście o markizie de Montereau!

Jola przez chwilę w osłupieniu wpatrywała się w twarz babki. Wreszcie głosem, który zdawał się więznąć w gardle, powtórzyła:

- O markizie de Montereau?

- Tak, ma chérie. Musiałaś o nim słyszeć od czasu, kiedy byłaś dzieckiem, mimo że go nie widywałaś. Nie tylko jest twoim dalekim kuzynem, ale mieszkał tu do ukończenia dwunastu lat. Pozwól mi się zastanowić... ty musiałaś mieć wówczas najwyżej trzy lata, więc nie dziwi mnie, że go nie pamiętasz, chyba że później składał tu wizyty?

- Nie, babciu, nie był tu, odkąd sięgam pamięcią.

- To oczywiście za sprawą twojej matki - rzekła hrabina - a przecież...

Powstrzymała się od dokończenia swojej myśli, jakby doszła do wniosku, że nie trzeba zakłócać spokoju zmarłych.

Jolanta domyślała się treści tych nie wypowiedzianych słów. Jej matka, wbrew wszystkim tradycjom rodzinnym, sprzeciwiała się, by ktokolwiek składał im wizyty. Zgodnie ze zwyczajem, oczekiwano, że hrabia de Beauharnais, jako głowa ogromnego i starego rodu, nie tylko będzie wspierał finansowo tych krewnych, którym los nie sprzyjał, lecz także gościł wielu z nich pod swoim dachem. Zamek, który ojciec Jolanty odziedziczył po swoim rodzicu, był pełen kuzynów, ciotek, ciotecznych babek, krewnych i bliskich przyjaciół, razem tu wzrastających i razem się starzejących. Jednak matka Jolanty w ciągu pięciu lat małżeństwa z hrabią zdołała pozbyć się wszystkich rezydentów. Co więcej, zamknęła podwoje przed przyjaciółmi, którzy w poprzednich latach przyjeżdżali z Paryża, aby spędzić parę tygodni albo miesiąc w powszechnie podziwianym i uwielbianym zamku. Jola pamiętała, że gdy była dzieckiem, wybuchały nie kończące się spory i kłótnie między rodzicami. Ojciec pragnął rozrywek i towarzystwa, a matka uważała, że powinni się ich wystrzegać.

Po jakimś czasie ojciec nagle skapitulował i pogodził się z tym, że pokoje gościnne pozostaną zamknięte i musi powściągnąć swą wrodzoną gościnność. Kiedy Jolanta dorastała, zamek stał pusty, ogromny, niemal groźny. Gdyby nie ojciec, z którym mogła się śmiać, gdyby razem nie wymykali się na przejażdżki konne, podczas których czuli się wolni i nieskrępowani, życie byłoby nie do zniesienia. Stopniowo zaczynała dostrzegać i rozumieć, że matka nigdy nie powinna była wychodzić za mąż. Tak naprawdę pragnęła wstąpić do zakonu, lecz jej rodzice uznali, że hrabia de Beauharnais z jego wspaniałym zamkiem i wielkimi posiadłościami to zbyt poważna i cenna partia, żeby z niej zrezygnować. Zmusili córkę, by poddała się ich woli i zaakceptowała wszystko, co zaaranżowali nie pytając o zdanie ani jej, ani, jak dowiedziała się Jolanta, przyszłego zięcia.

Hrabia zaś pogodził się z myślą, że o jego małżeństwie zdecydowali inni, a panna młoda wniesie posag, który powiększy posiadane przez niego dziedzictwo. Dopiero kiedy poznał ogrom nienawiści, jaką żywiła do niego żona, zrozumiał, że jest skazany na dożywotnią niedolę. Przyszło na świat jedno dziecko i wykluczone było, aby urodziły się następne.

Jolanta nie pamiętała, żeby matka kiedykolwiek czule ją pocałowała albo wzięła w ramiona. Całe dni, a często i noce spędzała w pięknej kaplicy, stojącej z dala od zabudowań mieszkalnych. Zbudowano ją w latach 1520 - 1530, w stylu czysto renesansowym, a jej architektura i wystrój wprawiały w zachwyt koneserów. Jednak w oczach Jolanty było to miejsce pokuty przepelnione gniewem bożym i lękiem przed karą. Dziewczynkę zmuszano do codziennego uczestniczenia w nabożeństwach, jeszcze zanim nauczyła się czytać i rozumiała, o czym jest mowa w modlitwach. Jedyłą pociechę znajdowała w tym, że siedząc w twardej kościelnej stalli mogła patrzeć na wspaniałe gobeliny z Aubusson, przedstawiające sceny z życia Joanny d'Arc. Tak oto święta zyskała ogromny wpływ na jej świadomość, podczas gdy wobec pobożności matki Jolanta pozostała chłodna i krytyczna.

Jak to było możliwe, by matka rzeczywiście pragnęła zostać świętą i spędzić życie na modlitwie do Boga, a jednocześnie była taka niedobra, pozbawiona współczucia i zimna względem swego męża? Czemu Bóg miałby ją błogosławić za to, że miała dla innych ludzi tylko nienawiść albo obojętność? Dużo czasu minęło, zanim Jolanta umiała wyrazić to słowami, jednak takie pytania były obecne w jej umyśle od momentu, gdy zaczęła obiektywnie myśleć.

Nic dziwnego, że ojciec stał się wszystkim, co miała w życiu najlepszego. Hrabia, będąc człowiekiem niezwykle

inteligentnym i odcytanym, nie tylko uczył córkę, lecz także rozmawiał z nią jak z równą sobie. Potrafiła więc prowadzić abstrakcyjne dysputy, zanim nauczyła się rozwiązywać proste zadania arytmetyczne. Czytała francuskich klasyków w wieku, w którym inne dzieci słuchają bajek. Ojciec nauczył ją także dostrzegać piękno i cieszyć się nim. Widząc zaś cierpienie hrabiego, Jolanta stała się wrażliwa i nauczyła dostrzegać innych ludzi dookoła siebie.

Patrząc na wnuczkę hrabina pomyślała, że wielkie ciemne oczy dziewczyny odbijają uczucia tak wyraźnie, iż każdy mógłby wyczytać w nich jej myśli. Głośno tymczasem zapytała:

- Co więc wiesz o markizie, zważywszy, że nigdy go nie spotkałaś?

- Ja... słyszałam o nim - odpowiedziała Jolanta.

- Od kogo?

- Od dziewcząt w szkole. Jego imię pojawiało się, jak można sądzić, w rozmowach ich i ich rodziców równie często jak imię cesarza.

Hrabina zacisnęła wargi. Mimo że mieszkała w odległym zakątku na południu Francji, zdawała sobie sprawę, że o romansach cesarza głośno było wszędzie; jak kraj długi i szeroki.

- Markiz jest młodym człowiekiem - oznajmiła po chwili.

- To zrozumiałe, że musi się wyszumieć.

- Oczywiście, grandmere - zgodziła się Jolanta. - Ale nie sądzę, by uciechy Paryża pozwoliły mu z kolei należycie docenić walory zamku.

- Jak możesz tak pochopnie oceniać markiza? - zapytała babka z przyganą w głosie. - Był tu szczęśliwy jako dziecko. Twój dziadek był bardzo do niego przywiązany, ja również.

Przez moment milczała. Potem, jakby przenosząc się myślami w przeszłość, powiedziała powoli:

- Był przystojnym małym chłopcem, a nauczyciele mieli o nim dobre zdanie. Twój dziadek zwykł zabierać go na konne przejażdżki i pamiętam, jak mawiał, że dzieciak jest nieustraszonym jeźdźcem.

- Nie wątpię, że jest sportsmenem - rzekła Jola - ale to jeszcze nie znaczy, że jest takim człowiekiem, jakiego chcę poślubić.

Babka zrobiła gest dłonią i pierścienie zamigotały na palcach.

- Moje drogie dziecko - powiedziała łagodnie - wybór nie należy do ciebie.

- To nieprawda!

- Nieprawda? - To oświadczenie w sposób widoczny zdumiało hrabinę.

- Zamierzam sama wybrać sobie męża.

- Ależ to wykluczone! - wykrzyknęła babka. - Żadna jeune fille (młoda panienska) ze Francji sama nie dokonuje wyboru. Oczywiście, jeżeli znienawidzisz markiza od pierwszego wejrzenia, a on znienawidzi ciebie, można będzie złożyć wyjaśnienia i negocjacje, nawet jeżeli będą już w toku, zostaną przerwane. Moglibyśmy wtedy znaleźć kogoś innego.

- „My”? - zapytała Jolanta dociekliwie.

- To tylko słowo - uśmiechnęła się babka. - Jako że twój ojciec wszystko pozostawił w moich rękach, napisałam już do markiza - do Leo, jak zwykłam go nazywać - żeby zaprosić go w odwiedziny w przyszłym miesiącu.

- Już do niego napisałaś?

- Oczywiście nie było w tym liście nic konkretnego ani wiążącego - odparła pospiesznie babka - ale markiz jest człowiekiem bywałym w świecie i wyczyta wiele między wierszami. A ja mam uczucie, że spodziewał się wiadomości ode mnie.

- Czemuż to miałybyś mieć takie uczucie?

- Dowiedziałam się od twojego ojca - oczywiście, nie spodziewając się jego rychłej śmierci nie nalegałam, by wyjawiał mi szczegóły - że zostało już zawarte porozumienie między nim i markizem, i zaręczycie się, gdy ty osiągniesz odpowiedni wiek.

- Nie wierzę, że papa chciał zmusić mnie do małżeństwa, nie zapytawszy wcześniej o moje zdanie.

Głos Joli brzmiał twardo, a dźwięcząca w nim nuta buntu nie umknęła uwagi babki.

- Jestem pewna, ma petite, że omówiłby to z tobą. Wiem, ile dla siebie nawzajem znaczyliście. Ojciec nigdy nie chciałby uczynić cię nieszczęśliwą.

- Uczyni mnie bardzo nieszczęśliwą małżeństwo z mężczyzną, o którym nic nie wiem. Sama powiedziałaś, grandmere, że nie widziałaś go od czasu, kiedy skończył dwanaście lat. Skąd możesz wiedzieć, jaki jest teraz?

Babka nic nie odpowiedziała, więc Jola ciągnęła:

- Dziewczęta w szkole mówiły o nim tak, jakby był Don Juanem, Casanovą i diabłem w jednej osobie.

- O nie! To niemożliwe! - wykrzyknęła babka.

- One twierdziły, że to prawda - odparła Jola. - Nudziło mnie nawet słuchanie o podbojach miłosnych markiza, tak samo jak nużyły mnie historie o kolejnych damach adorowanych przez cesarza.

- Między nimi dwoma nie może być porównania - prędko przerwała jej hrabina. - Ludwik Napoleon może sobie być cesarzem Francji, ale nie byłby tu mile widziany. Natomiast rodzina markiza de Montereau jest równie znakomita jak nasza i w jego żyłach płynie krew Beauharnais. - Przerwała i uważnie spojrzała w głąb ciemnych oczu wnuczki.

- Oczywiście, jest ci wiadomo, że zamek Montereau został zburzony w czasie rewolucji, a majątek rodziny skonfiskowano, podczas gdy my tutaj mieliśmy tyle szczęścia.

Wyraz twarzy Jolanty na moment złagodniał. Ta historia zawsze ją wzruszała. Podczas rewolucji, kiedy Andegawenia była jednym z głównych miejsc potyczek republikanów i rojalistów, generał Santerre przyprowadził z Paryża posiłki wojsk rewolucjonistów. Wówczas, w niepojęty sposób, piękno i niepowtarzalna atmosfera „Ogrodu Francji” ostudziły ich bojowy zapał i żołnierze złożyli broń. To dlatego tak wiele zamków w dolinie Loary ocalało, a ich właściciele nie stracili życia.

- Więc myślisz, babciu - rzekła Jolanta w zadumie - że markiz czekał z zawarciem małżeństwa przez tyle lat, by objąć w posiadanie nasz zamek?

- Taka była wola twojego ojca - odparła hrabina. - A ty musisz przecież wyjść za mąż.

- Czemu w takim pośpiechu? - spytała Jolanta. - Dopiero ukończyłam szkołę. Nie widziałam wcale świata. Miałam nadzieję, że przynajmniej spędzę karnawał w Paryżu.

- Paryż to w dzisiejszych czasach siedlisko zła i rozpusty!
- oznajmiła hrabina wielkim głosem. - Cesarz i cesarzowa stworzyli królestwo ekstrawagancji i nieprawości, które sieje zgorszenie w całej Europie!

Jolanta wyglądała na zaskoczoną.

- Rzeczywiście tak sądzisz, grandmere?

- To święta prawda - rzekła hrabina surowo. - A ta Wystawa Światowa, która odbywa się tego roku, jest tylko fortelem, mającym odwrócić uwagę świata od występków i nieprawości cesarza w innych dziedzinach.

Podczas gdy babka mówiła z takim przekonaniem, Jola nie odezwała się ani słowem. Uczennice modnej szkoły dla dziewcząt w Saint - Cloud nie mogły nie wiedzieć o większości wydarzeń mających miejsce w Paryżu. Panny miały pozostać ślepe i głuche na świat zewnętrzny aż do chwili opuszczenia sal szkolnych i wejścia do salonów, a

tymczasem powtarzały każdą plotkę usłyszaną od rodziców, ich przyjaciół i, oczywiście, służby. Jolanta pamiętała, jak ojciec często mawiał, że ludzie zachowują się tak, jakby służący byli pozbawieni uczuć, a dzieci były niedorozwinięte umysłowo.

- Rozmawiają nad ich głowami, jakby oni nie istnieli - mówił - a jestem przekonany, że więcej skandali przebywa drogę z domu do domu za sprawą ochmistrzów, lokajów i pokojówek niż z salonu do salonu.

Jolanta często odwiedzała swoje szkolne koleżanki w ich domach i przekonała się, że rodzice dziewcząt rozmawiają w obecności córek o sprawach, o których nie mówiliby głośno nawet w wąskim gronie najbliższych przyjaciół. A w takich rozmowach często przewijało się nazwisko markiza de Montereau.

- A cóż teraz porabia nasz niepoprawny markiz? - rzekła pewnego razu do swego męża jedna z atrakcyjnych dam, podczas gdy Jolanta i ich córka oglądały w salonie albumy z fotografiami.

- A jak myślisz? - brzmiała odpowiedź. - Doprowadzi pewnie wkrótce do kolejnego pojedynku i do jeszcze jednego skandalu. Można tylko pokładać nadzieję w opatrności, że sprawa nie trafi do gazet.

- On jest niepoprawny! - wykrzyknęła pani domu. W jej głosie nie było jednak przygany, lecz niemal zachwyty.

Na myśl o tym Jolanta stwierdziła, że wychodząc za markiza zgodnie z wolą babki nie zostałaby skazana na małżeństwo pełne frustracji i rozczarowań, jak jej ojciec. Zamiast tego życie jej stałoby się jednym pasmem ekstrawagancji, frywolnych zabaw i skandali. Coś nieugiętego i twardego w jej wnętrzu kazało jej walczyć ze wszystkimi siłami, by uniknąć dzielenia losu z takim człowiekiem. Ojciec bez wątplenia za bardzo ją kochał, żeby móc ją unieszczęśliwić na

całe życie. Jakże bowiem zdołałaby dotrzymać kroku wyrafinowanemu towarzystwu, w jakim obracał się markiz? Była pewna, że wiódł prym wśród tych, którzy spędzają na zabawie dwadzieścia cztery godziny na dobę, tak że nie starcza im czasu na nic innego.

Przypomniała sobie artykuł, przeczytany jeszcze w szkole w jednej z gazet, jakich posiadanie przez uczennice nie spotkałoby się zapewne z aprobatą przełożonych. Artykuł, napisany przez najwyraźniej wyczerpanego zabawą felietonistę, traktował o karnawale w stolicy.

Jesteśmy w Paryskim Raju albo, jak kto woli, w Paryskim Piekło. Wszystkie noce od pierwszego stycznia począwszy upłynęły na festynach, spektaklach teatralnych, koncertach i balach. To pulsujący życiem, brzmiący muzyką i zgiełkiem, nie kończący się towarzyski młyn.

Czy tego właśnie chce od życia? - zapytała siebie w myśli i wiedziała, że odpowiedź definitywnie brzmi „nie”. Głośno zaś rzekła:

- Szkoda, grandmere, że nie zapytałaś mnie o zdanie przed napisaniem do markiza. Myślałam, że przyjemnie byłoby mieć trochę spokoju i ciszy, zanim zaczniemy przyjmować. - Okrasiała te słowa uśmiechem, żeby łagodzić ich krytyczny charakter. Potem ciągnęła:

- Chcę odnowić znajomości z moimi pracownikami w majątku, odwiedzić gospodarstwa, zorientować się, co zostało zrobione na polach, w ogrodach i w sadach. To zajmie trochę czasu.

- Będziesz więc miała miesiąc, ma chérie - odpowiedziała babka. - Zaprosiłam markiza na początek czerwca.

Jolanta zacisnęła wargi, żeby powstrzymać się od ostrej riposty, że zamek należy do niej i ona chce sama decydować, kogo i kiedy będzie tu gościć. Za bardzo jednak kochała

babkę, żeby się na nią gniewać albo być wobec niej niegrzeczna.

Wstała, by pochylić się nad staruszką i pocałować jej miękki policzek, a potem powiedziała:

- Kiedy otrzymasz odpowiedź od markiza, grandmere, czy nie byłoby miło zaprosić innych przyzwoitych kawalerów, żeby mogli poznać kilka moich koleżanek ze szkoły? Wówczas wizyta markiza w Beauharnais straciłaby swój jednoznaczny charakter.

Widząc zaalarmowany wyraz oczu babki, Jolanta odgadła bez trudu, że choć list do markiza był bardzo taktowny i dyskretny, w istocie nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że zaproszenie nie miało czysto towarzyskiego charakteru.

Nie mam zamiaru go poślubić, powiedziała do siebie Jolanta. Jednocześnie wiedziała, jak bardzo trudno będzie pokrzyżować plany hrabiny, szczególnie jeżeli miała ona obstawać przy tym, że działa zgodnie z wolą swego nieżyjącego syna.

Dziewczyna opuściła salon i długim kamiennym korytarzem udała się do komnaty, którą w sposób szczególny upodobał sobie jej ojciec. Matka prawie nigdy tu nie wchodziła i to tutaj hrabia siadywał ze swą córką, rozmawiając często do późnej nocy.

Ściany komnaty zastawione były półkami pełnymi książek, z których uczył Jolantę. Wisiały tam tylko ich ulubione dwa obrazy wzięte z innej części zamku. Ta piękna i przestronna komnata od XVI wieku była zajmowana przez kolejnych panujących hrabiów. To w niej w zamierzchłych czasach rycerze odbywali narady wojenne i Jolanta czuła, że jest to odpowiednie miejsce na ułożenie jej własnego planu bitwy.

- To będzie ciężka batalia - powiedziała głośno, jakby zwracając się do ojca. Zamknęła za sobą drzwi i przeszła

przez komnatę w stronę okazałego biurka, za którym zwykle siadywał hrabia. Jolanta zasiadła w fotelu obitym aksamitem, haftowanym w herby rodu Beauharnais. Popatrzyła na bibułę, na ogromny srebrny kałamarz należący do rodziny od trzystu lat, na wszystkie inne przedmioty porzucone na biurku, będące własnością ojca. Nagle wydało się jej niemożliwe, że papy już nie ma i że została sama. Ponieważ jest kobietą, jej babka i reszta rodziny zmuszą ją jak najszybciej do małżeństwa, żeby miała mężczyznę, który będzie nad nią dominował, który zmusi ją do postępowania zgodnie z jego życzeniami.

- Jak mogłeś umrzeć, zanim dorosłam, papo?

A przecież tak często rozmawiali o tym, co będą razem robili w przyszłości.

- Będę zabierał cię na bale - mówił ojciec - I wiem, najdroższa, że będziesz najpiękniejszą kobietą na sali.

Śmiała się z niego:

- Pochlebiasz mi, papo! A mówiłeś, że nigdy nie będziesz tego robił!

- Patrzę na ciebie jakby oczami kogoś obcego - odpowiedział ojciec. - I nie jestem stronniczy, gdy mówię, że znacznie różnisz się od innych dziewcząt w twoim wieku.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytała Jolanta żądna jego pochwał.

- Jesteś nie tylko zwyczajnie piękna. W rodzinie Beauharnais były przez całe pokolenia piękne kobiety - rzekł ojciec powoli. - I nie tylko masz wrodzony wdzięk, a kiedy stąpasz, twoje stopy zdają się ledwie dotykać ziemi - przerwał na chwilę, a potem zakończył: - To coś zupełnie odmiennego, Jolu, ma petite.

- Więc co to takiego?

- Trudno wyrazić słowami - odparł ojciec. - Może dlatego, że tak rozpaczliwie pragnąłem dziecka i błagałem

niebiosa, żeby zesłały mi takie, które ucieleśniłyby moje wszystkie ideały, wydajesz mi się darem samego Boga.

Mówił bardzo poważnie, a Jolanta wpatrywała się w niego szeroko rozwartymi oczami.

- Czy naprawdę tak uważasz, papo? - zapytała przyciszonym głosem.

- Tak uważam i to jest prawda. Myśli i uczucia w twoim wnętrzu emanują światłością, która czyni cię piękną ponad zwykłe znaczenie tego słowa.

Jolanta zarzuciła ojcu ramiona na szyję i mocno przycisnęła policzek do jego policzka.

- Chcę być wszystkim, czym pragniesz, bym była - szepnęła - ale ty będziesz musiał mi pomóc, papo.

- To właśnie starałem się robić od dnia twoich urodzin. Kocham twoją osobowość, Jolu. Ona sprawia, że wszystko, co mówisz, jest trafne, jasne i logiczne i tak inne od zwyczajnej paplaniny egzaltowanych kobiet.

Jolanta uśmiechnęła się.

- Jesteś bardzo krytyczny i uszczypliwy.

- Mówię to, co myślę - rzekł hrabia. - Szanuję cię też za twoją odwagę.

- Którą odziedziczyłam po tobie!

- Życzyłem sobie syna, zanim ty przyszedłaś na świat. Ale teraz jestem bardzo zadowolony z mojej córki. Jesteś oryginalna i zaradna, a także posiadasz psychiczne i fizyczne męstwo, którego nie powstydziliby się niejeden mężczyzna.

- Czyż można sobie życzyć większej pochwały? - zapytała Jolanta na wpół kpiąco. - Żałuję, ze względu na ciebie, iż nie jestem chłopcem. Z drugiej strony nie mogę się oprzeć myśli, że jeżeli rzeczywiście posiadam wszystkie zalety, które mi przypisujesz, może być bardzo zabawnie iść przez życie jako kobieta.

- Zabawne dla ciebie, lecz niewątpliwie trudne dla kochających ciebie - rzekł cicho hrabia.

- Trudne?

- Będzie cię kochać wielu mężczyzn. I mogę być o nich bardzo zazdrosny. Ale ponieważ jesteś podobna do mnie, myślę, że pokochasz całym sercem i duszą tylko jedną osobę w życiu.

Jolanta z trudem wtedy pojmowała znaczenie tego, co mówił, ale teraz słowa ojca wróciły. Zrozumiała, że jeżeli poślubi markiza de Montereau albo innego mężczyznę, którego nie kocha całym sercem i duszą, jej życie stanie się pasmem nieszczęść i goryczy, tak jak małżeństwo hrabiego.

Jak grandmere może oczekiwać, że zaakceptuję markiza, wiedząc, co o nim słyszałam? - zadała sobie pytanie.

Jednocześnie doskonale zdawała sobie sprawę, że zachowanie babki jest najzupełniej normalne i odpowiednie. Może starsza pani chciała po prostu jak najszybciej powrócić na południe Francji. Poza tym, postępowała identycznie jak każda Francuzka, która znalazłaby się na jej miejscu. Miała bogatą, atrakcyjną wnuczkę na wydaniu. To oczywiste, jak najszybciej chciała znaleźć jej męża. Zaskakujący był jedynie fakt, że zamierzała zadowolić się zwykłym markizem jako przyszłym właścicielem zamku. Mogła przecież sięgnąć wyżej, pomiędzy ocalałych po rewolucji książąt bourbońskich.

- Nie ma mowy, żebym poślubiła markiza! - powiedziała Jolanta.

Wszystko, co kiedykolwiek o nim słyszała, zdawało się teraz rozbrzmiewać w jej głowie. Wiedziała, że markiz jest typowym przedstawicielem francuskiej jeunesse doree (złota młodzież), a po głębszym zastanowieniu doszła do wniosku, że musi on także utrzymywać stałe kontakty ze światem kurtyzan.

Wymagano, żeby francuska jeune filie była niewinna i nie miała najmniejszego pojęcia o tych kobietach, które zdobiły Paryż niczym ornamenty z pięknych, niezwykle kosztownych, egzotycznych kwiatów. Jednak Jolanta musiałaby być bardzo głupia, by nie zdawać sobie sprawy z istnienia w stolicy dwu kręgów towarzyskich. Przenikały się one w sposób, jaki byłby niedopuszczalny w innych krajach Europy.

Była rodzina cesarska, z Napoleonem III na czele. Żona cesarza, piękna Hiszpanka, cesarzowa Eugenia, była podejrzewana o ciągłe podżeganie do wojny. Jolanta słyszała, że życie dworskie w pałacu Tuileries jest nudne i mieszczańskie. Prawdziwi francuscy arystokraci, którzy zresztą starali się dyskredytować wszystko, co miało związek z osobą Napoleona Bonaparte, wyśmiewali je. Cesarz zaś swoją wieczną pogonią za pięknymi kobietami dawał im wystarczające powody do krytyki. Za jego przykładem podążali inni członkowie rodziny cesarskiej. Księżę Napoleon, kuzyn cesarza, był jedną z najbardziej utalentowanych, a jednocześnie kontrowersyjnych i znaczących postaci Drugiego Cesarstwa. Otrzymał fotel senatora, kiedy Jolanta była dzieckiem. Hrabia czytywał córce jego przemówienia, w których księżę dawał się poznać jako szermierz demokracji. Natomiast wśród szkolnych koleżanek Jolanty życie prywatne księcia Napoleona stanowiło przedmiot częstych chichotów i szeptów po kątach. Dowiedziała się, że księżę miał cały legion kochanek, podobnie jak cesarz. Ojciec jednej z przyjaciółek Jolanty, nie wiedząc, że córka słyszy, opowiadał pewnego razu:

- Odwiedziłem dziś księcia Napoleona. Słyszałem, że zwykle w jego apartamencie leży porzucona halka. tego ranka były dwie!

Osoba księcia nierozłącznie wiązała się w jej umyśle z markizem. Jolanta była przekonana, że jeden był wart

drugiego. To za sprawą ich obu i cesarza demi-mondaines (kobiety z półświatka) zyskały wstęp do świata towarzyskiego.

Za czasów jej babki żadna szanująca się dama, a tym bardziej żadna młoda panienka nie wiedziała o istnieniu kurtyzan. Ale obecnie dziewczęta w szkole szeptem powtarzały imiona, które początkowo nic nie mówiły Jolancie. Słyszała je jednak coraz częściej. Musiała w końcu zacząć się zastanawiać, kim są te damy, które wypełniają Lasek Buloński swymi pysznymi końmi i szykownymi toaletami, a relacje z ich przyjęć przywodzą na myśl rzymskie orgie. Wszystko to wydawało się bardzo osobliwe i w ciągu ostatniego roku bardzo brakowało Jolancie ojca, mogącego jej pewne sprawy wyjaśnić.

Niestety, on odszedł na zawsze. Tymczasem myśli dziewczyny absorbował całkowicie fakt, że w żadnej historii relacjonowanej w prasie nie brakowało nazwiska markiza. Gdy czytała o przyjęciu albo o premierze w teatrze, o balu maskowym czy o oficjalnym bankiecie, nazwisko markiza zawsze wybijało się na pierwszy plan wśród wymienionych gości. Bez wątpienia pisało się o nim i mówiło równie dużo jak o cesarzu i księciu Napoleonie. O jego ekscentrycznych przyzwyczajeniach i wybrykach rozmawiano przyciszonym głosem, tak samo jak o ludziach pokroju madame Musard, która zawdzięczała swoją fortunę królowi Niderlandów i wydawała fantastyczne przyjęcia, albo księżnej de Castiglione, będącej obiektem nieszczęśliwej miłości cesarza.

Cały ten świat trudno było zrozumieć. Jedna tylko rzecz nie ulegała wątpliwości - cokolwiek działo się w Paryżu, markiz de Montereau brał w tym udział.

- Nie wyjdę za niego, papo - rzekła głośno, trzymając obie dłonie na biurku ojca. - Najwidoczniej nie wiedziałeś, jaki on jest.

Czekała, niemal jakby spodziewała się, że ojciec, jak dawniej, zacznie się z nią spierać. Przed laty często toczyli pojedynki - dyskusje i słowa zdawały się wtedy zderzać w powietrzu, jak rapiery. Taka walka najczęściej prowadziła do tego, że Jolanta ze śmiechem zarzucała ojcu ramiona na szyję i wołała:

- Wygrałam! Powiedz wygrałam, papo! Tak długo muszę walczyć, żeby cię pokonać.

- Wygrałaś, moja najdroższa - mówił, ale w jego oczach zapalały się iskierki. Niezmiennie miała wtedy uczucie, że gdyby zechciał, zwyciężyłby bez najmniejszego wysiłku.

Rozmowy te były taką wspaniałą zabawą, ekscytującą i pobudzającą, i kiedy ojciec umarł, Jolanta czuła się bez niego kaleką, jakby straciła rękę albo nogę.

Teraz, w najważniejszej chwili jej życia, kiedy stała na rozstaju dróg, nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc w podjęciu decyzji. Decyzji, która miała zaważyć na jej przyszłości.

- Spójrz na sprawę w ten sposób, papo - powiedziała, jakby ojciec siedział naprzeciwko. - Jestem młoda, a ty dałeś mi szlachetne ideały, w które mam wierzyć, w obronie których mam walczyć i starać się je osiągnąć.

Jej głos zabrzmiał donośnie, gdy zadała pytanie:

- Czy jesteś pewien, iż ktoś taki jak markiz pomógłby mi poszerzyć i ulepszyć posiadłość, jak to razem planowaliśmy? Czy umiałby przekształcić zamek w miejsce spotkań ludzi obdarzonych talentem i rozumem?

Zamilkła na chwilę, potem mówiła ciszej, z zadumą w głosie:

- Zwykłeś mówić, że kiedy dorosnę, otworzymy salon, nie w Paryżu, ale tu, na wsi, w „Ogrodzie Francji”, którego piękno sprzyja rozwojowi myśli twórczej.

Rozłożyła ręce w wymownym geście i zapytała:

- Czy naprawdę, ojcze, to bawiłoby markiza? Znowu przerwała, a po chwili mówiła dalej:

- On porusza się z buduaru do buduaru. Mówi się, że ma właśnie romans z jakąś kobietą, a już po tygodniu wszyscy wiedzą o jego związku i inną, siedem dni później zaś widuje się go z trzecią z rzędu kochanką. Bywa na wyścigach, w Lasku Bulońskim, na cesarskich balach i na przyjęciach u aktorek i kurtyzan. - Roześmiała się gorzko. - Zawsze mówiłeś, papo, że człowiek nie może myśleć w takich okolicznościach i przyznaję ci rację.

Westchnęła:

- Chcę żyć tak, jak razem postanawialiśmy żyć, świadomie całą duszą, patrząc w głąb przez zasłonę pozorów. Chcę odnaleźć to, co nazywałeś „światem ukrytym”. Tylko w ten sposób można się rozwijać i tylko tą drogą można wesprzeć nasz kraj.

W głosie Jolanty zabrzmiała teraz niemal ekstaza. Nagle, jak gdyby przypomniała sobie, że nikt jej nie odpowie, zasłoniła oczy rękami.

- Pomóż mi, papo. Powiedz, co robić - poprosiła - mówiąc szczerze... boję się... boję się tego, co może się ze mną stać. - Nie płakała, ale jej oczy były zamglone łzami.

W końcu, jakby pojęła, że odpowiedzią jest tylko cisza, zdecydowanym ruchem usiadła głębiej w fotelu i, starając się oddalić targające nią emocje, otworzyła jedną z szuflad biurka. Było tam bez liku dokumentów i Jolanta przelotnie pomyślała o konieczności przejrzenia ich, bo na pewno dotyczą posiadłości. Wiedziała, że musi zapoznać się ze wszystkimi informacjami, jakie hrabia zgromadził na temat ich ziemi. Zamknęła szufladę i zajrzała do następnej. Tu było sporo ważnych map i planów. Przyrzekła sobie przestudiować je, jak tylko znajdzie trochę czasu. Otworzyła trzecią szufladę. Kiedy zobaczyła, co w niej jest, znieruchomiała.

Powoli, prawie z wahaniem wyjęła miniaturę leżącą na stercie listów i podniosła ją do oczu. Portret przedstawiał kobietę. Nie była ona bardzo młoda ani nie odznaczała się doskonałą klasyczną urodą. Ale było coś nieodparcie pociągającego w jej oczach i delikatnym uśmiechu rozbawienia, który gościł na wargach. Ciemne włosy zaczesane do tyłu odsłaniały wysokie czoło. Na szyi miała medalion na zielonej aksamitnej wstążce.

Jolanta długo siedziała wpatrzona w portret, aż nagle, zupełnie jakby ojciec wreszcie do niej przemówił, odgadła, co musi zrobić.

Przez chwilę myśl ta zdawała się zbyt niezwykła, zbyt nierealna, by ją wziąć pod uwagę. Jednak rozwiązanie jawiło się wyraziście i jasno. Nie sposób było wątpić, że przyniesie rozstrzygnięcie dręczących ją wątpliwości.

Z największą delikatnością odłożyła miniaturę na miejsce, potem zamknęła szufladę na klucz.

Chowając klucz do środkowej szuflady, żeby nie natknęła się na niego służba, podniosła wzrok i szepnęła:

- Dziękuję ci... papo.

ROZDZIAŁ 2

Jolanta powoziła dwukonną bryczką, ulubionym środkiem lokomocji jej ojca. Jechała w stronę Langeais - miasta, do którego zwykle jeździli z Beauharnais po zakupy. Tam także znajdował się piętnastowieczny zamek, wzniesiony na miejscu dawnej fortecy. Jego właściciel przyjaźnił się z ojcem Jolanty, ale dzisiaj nie zamierzała składać mu wizyty. Miała bowiem do wykonania plan, który doprowadziła do perfekcji w swoim umyśle podczas minionej bezsennej nocy. W drodze towarzyszył jej koniuszy, człowiek w średnim wieku, mający pod opieką stajnię w Beauharnais. Znał on Jolantę od dziecka. Cieszył się niezmiernie, że mademoiselle jest z powrotem w domu i jak tylko ruszyli przez tonącą w bujnej zieleni okolice, zaczął opowiadać o koniach, których Jolanta musi koniecznie dosiąść, a szczególnie o jednym. Miał nadzieję, że ona zdoła go ujeździć. Dziewczyna starała się podtrzymać rozmowę i dzielić entuzjazm koniuszego. Tymczasem większość jej myśli błądziła gdzie indziej.

Kiedy przebyli Loarę i dotarli do miasta, Jolanta, przedostawszy się przez strumień powozów i bryczek, w którym mignęło też kilka zamożnych karet, zatrzymała się wreszcie przed apteką. Wstrzymała konie i wydobyła z kieszonki krótkiego żakietu dwie kartki papieru.

- Proszę, dopilnuj, żeby sporządzono te mikstury, Jacques - poprosiła - to zajmie, jak sądzę, piętnaście czy dwadzieścia minut, a oto lista innych sprawunków. Możesz je załatwić w tym czasie.

Było ich niemało: jedwabie do haftowania, igły, bawełniane nici, całe łokcie tasiemki i różne inne drobne pozycje, na które Jacques patrzył z wyraźną konsternacją.

- To zajmie trochę czasu, m'nselle - rzekł. - Konie są świeżo wzięte ze stajni i będzie trudno utrzymać je tak długo w miejscu.

- Nie zamierzam ich tu trzymać, Jacques. Przejadę bryczką przez miasto i popatrzę na okolicę po drugiej stronie.

- Da sobie pani sama radę, m'nselle?

- Czyżbyś wątpił w moje umiejętności we władaniu zaprzęgiem? - zdziwiła się Jolanta. - Sam mnie wszystkiego nauczyłeś i jeżeli nie powożę tak samo jak papa, ty ponosisz za to winę.

Koniuszy zaśmiał się.

- Jak na damę, powozi pani aż za dobrze i doskonale pani o tym wie.

Jolanta uśmiechnęła się, słysząc tę ocenę, w rzeczywistości bowiem była ekspertem w dziedzinie zaprzęgów i niezwykle doświadczonym jeźdźcem.

- Jacques, wrócę po ciebie mniej więcej za dwadzieścia minut - powiedziała. - Ale nie martw się, jeżeli zabawię nieco dłużej. To takie cudowne być znowu w dolinie i łatwo mogę zapomnieć o upływie czasu.

Zanim Jacques zdążył zaproponować, ona już się oddalała, siedząc na koźle wyprostowana, trzymając lejce i bat w sposób, który tak przypominał świętej pamięci hrabiego. W oczach koniuszego zakreśliły się łzy, kiedy odprowadzał spojrzeniem Jolantę, aż zniknęła z zasięgu jego wzroku. Potem, nie zwlekając już dłużej, wszedł do apteki.

Kiedy tylko Jolanta wydostała się z miasta, musnęła grzbiety końskie batem i para ruszyła skróconym galopem wąską drogą prowadzącą do małej wioski. Tam po krótkim namyśle skreśliła w lewo. Niedługo ujrzała żelazną bramę, za którą otwierała się aleja wysadzana drzewami. Skierowała tam zaprzęg. Po chwili ukazał się jej oczom zbudowany na małym wzniesieniu dom z szarego kamienia z wieżyczkami po bokach i podwójnym półkołem schodów prowadzących do frontowych drzwi.

Dom był nieduży, ale tak pełen powabu, że przypominał Jolancie miniaturowy pałac elfów. Poznała także, że musiał pochodzić z tego samego okresu co jej własny zamek.

Kiedy wjechała na wysypany żwirem podjazd, od strony stajni spieszenie nadszedł wiekowy masztalerz, żeby przytrzymać konie przy pyskach. Zauważył herb Beuharnais na drzwiach bryczki i Jolanta zobaczyła na jego twarzy wyraz niezmiernego zdumienia. Jej przybycie musiało zostać zauważone jeszcze kiedy jechała aleją, bo zanim zdążyła wysiąść i podejść do drzwi, już stał tam stary, siwy służący zgięty w pełnym szacunku ukłonie.

- Czy madame Renaze jest w domu? - zapytała Jolanta.

- Zaraz zapytam, czy przyjmuje wizyty - odpowiedział uniżenie służący. Poszedł przodem, a Jolanta podążyła za nim po schodach do salonu.

Jeden rzut oka wystarczył, by zorientować się, że wewnątrz urządzono z subtelnym smakiem. Służący skłonił się i wyszedł, a ona rozejrzała się dokładniej. Dostrzegła, że zestawienie kolorów, umeblowanie, a nawet obrazy na ścianach dokładnie odpowiadały upodobaniom jej ojca i niewątpliwie to on sam je wybierał. Wówczas zauważyła nad kominkiem portret hrabiego. Musiał zostać namalowany mniej więcej piętnaście lat temu i to przez artystę o doskonałych umiejętnościach. Obraz był znakomicie wykonany i wiernie ukazywał nie tylko powierzchowność, ale i osobowość hrabiego de Beauharnais. W oczach ojca Jolanta zobaczyła iskierki, które tak uwielbiała, na jego ustach igrał uśmiech. Był przystojny i wyglądał na bardzo szczęśliwego, jakby przysłuchiwał się czemuś przyjemnemu.

- Oto jestem tu, papo - powiedziała w duchu. Wtem usłyszała, jak ktoś otwiera drzwi i do salonu weszła kobieta. Jolanta bez trudu rozpoznała w niej damę z miniaturowej znalezionej w biurku ojca. Teraz była ona jednak dużo starsza.

Włosy miała przyprószone siwizną i lekkie zmarszczki okalały jej świetliste oczy. Nie straciła mimo to nic ze swego czaru i atrakcyjności, tak wiernie oddanych na portrecie. Ruchy miała przepełnione dumą i dostojeństwem.

Niemniej jednak gdy zbliżała się do Jolanty, jej twarz, zdradzała najwyższe zdumienie.

- Służący powiedział mi, rozpoznawszy herb na pani bryczce, że hrabianka przyjechała z wizytą - odezwała się cicho - ale sądziłam, że się omylił.

- Przyjechałam się z panią spotkać - odparła Jolanta - ponieważ potrzebuję pani pomocy.

- Mojej pomocy? - powtórzyła madame Renaze. Po chwili dodała innym tonem:

- Może chodzi o jakąś sprawę związaną z posiadłością pani ojca?

Jolanta wiedziała, że ojciec zapisał madame Renaze w testamencie pewną sumę pieniędzy i prawo własności do chateau, w którym mieszkała.

- Nie, madame, ta sprawa nie ma nic wspólnego z ojcem, oprócz tego, że gdyby tu był, mogłabym do niego zwrócić się o pomoc.

- Więc zamiast tego przychodzi pani do mnie? - spytała zdziwiona madame Renaze.

- Czuję, że jest pani jedyną osobą, która może mi pomóc.

Madame Renaze przez chwilę stała bez ruchu i widać było, że nie może uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała. Wreszcie powiedziała szybko:

- Proszę mi wybaczyć, mademoiselle, jestem tak zaskoczona, że zapominam o dobrych manierach. Czy mogę poczęstować panią kawą albo może wolałaby pani wino?

- Z prawdziwą przyjemnością napiję się kawy - odpowiedziała Jolanta z uśmiechem. Tak naprawdę nie miała

ochoty na kawę, ale pomyślała, że nad filiżankami pryśnie oficjalna atmosfera i łatwiej jej będzie wyłożyć swoją sprawę.

Madame Renaze zadzwoniła małym dzwoneczkiem, leżącym na stoliku. Prawie natychmiast otworzyły się drzwi i pojawił się w nich stary służący.

- Cafe s'il vous plait (poproszę o kawę) - poleciała madame.

Kiedy służący zniknął za drzwiami, wskazała krzesło nieopodal okna:

- Może zechce pani spocząć, mademoiselle? - zaproponowała i sama zajęła miejsce na sofie naprzeciwko.

Jolanta usiadła i ujrzała, że z balkonu rozciąga się piękny widok na dolinę Indry. Kiedy siedziała z twarzą zwróconą w tą samą stronę, madame Renaze patrzyła na jej subtelnie ukształtowany profil. Wreszcie rzekła:

- Zawsze słyszałam o tym, jaka pani jest piękna, mademoiselle, i widzę, że te relacje nie były przesadzone.

- Mój ojciec, o ile mi wiadomo, nie mógł być obiektywnym sędzią w tej materii - uśmiechnęła się Jolanta.

- Bardzo głęboko panią kochał.

- A pani, madame, uczyniła go niezwykle szczęśliwym. Zawsze pozostanę pani wdzięczna za to, że wniosła pani w jego życie tyle radości.

Madame Renaze powstrzymała łzy napełniające jej oczy. Wreszcie powiedziała ledwie dosłyszalnym głosem:

- Byłam najszczęśliwszą kobietą na ziemi, mając przywilej darzenia miłością takiego wspaniałego człowieka.

- Tak samo on myślał o pani - odpowiedziała Jolanta. - Powiedział mi, że kiedy wkroczyła pani w jego życie, był niemal w rozpacz. Swoją przyszłość widział jako otchłań ciemności. I nagle nastąpiła światłość; a tą światłością była pani.

Madame Renaze splótła dłonie i powiedziała cicho:

- To bardzo wspaniałomyślne co pani mówi, mimo że ze względu na swoją pozycję nie powinna pani mnie odwiedzać.

- Mam wszelkie prawa, by to robić, zważywszy jak wiele znaczyła pani dla papy - odparła Jolanta. - I cieszę się, tak bardzo się cieszę, że ma pani taki śliczny dom, a w nim tyle rzeczy, które pani o nim przypominają.

Madame Renaze zawsze postępowała w absolutnie przykładowy sposób. Była z ojcem w Wenecji, kiedy umarł, i to ona przywiozła trumnę do kraju, dopatrzywszy wszystkiego bez zamieszania i zachowując dyskrecję. Kiedy trumna została przekazana upoważnionym przez nią ludziom na stacji w Langeais, madame Renaze usunęła się. Nie pojawiła się na pogrzebie, poprzedzonym wystawieniem zwłok hrabiego w kaplicy zamkowej, na którym byli obecni wszyscy okoliczni mieszkańcy. Nie przysłała nawet jednej możliwej do zidentyfikowania wiązanki kwiatów.

Tylko dobra, które hrabia zapisał jej w testamencie, stanowiły namacalny dowód, jak bardzo byli do siebie przywiązani.

Jolanta zawsze o wszystkim wiedziała, ponieważ ojciec był wobec niej całkowicie szczery i często opowiadał o madame Renaze. Potrafiła zrozumieć, że dla każdego pełnego sił witalnych inteligentnego mężczyzny życie z jej matką byłoby nie do zniesienia. Zastanawiała się teraz, czy gdyby ojciec żył, ożeniłby się z madame Renaze. Niestety, odszedł z tego świata przed upływem tradycyjnego roku żałoby po śmierci żony. Nie śmiałyby go o to zapytać. Czują, że nawet z jej strony nie zniósłby takiej ingerencji w sekretną sferę swego życia.

Patrząc teraz na madame Renaze, Jolanta pomyślała, że jest ona dokładnie taką kobietą, jaką mógłby pokochać papa.

Kiedy dziewczyna pierwszy raz o niej usłyszała, początkowo była trochę zazdrosna. Ojciec to odgadł i

wyjaśnił, że miłość jest wystarczająco wielka, aby mieć niezliczone oblicza i że można nią obdarzyć wielu ludzi.

- W książkach - rzekł - bohaterowie zawsze - rozmawiają o miłości tak, jakby była tortem, który można podzielić tylko na tyle i tyle kawałków, i z żalem muszę przyznać, że wielu ludzi jest na tyle głupich, by myśleć w ten sposób.

Mówiąc to, patrzył uważnie na córkę, śledząc jej reakcję.

- Dzieci zaczynają tak myśleć jeszcze kiedy są całkiem małe, „Czy kochasz mnie bardziej niż Piotra?“, a kobiety zawsze żądają absolutnej i całkowitej władzy nad czyimś sercem, co w rzeczywistości nie jest ani naturalne, ani możliwe.

Mówił dalej, a jego głos nabrał głębszej barwy.

- Miłość nie ma granic, nie można jej podzielić ani zapakować w małe pudełeczka. Obiecuję ci, moja najdroższa, że przekonasz się, jak łatwo potrafisz obdarzyć miłością na sto rozmaitych sposobów, a ciągle będziesz miała serce przepełnione nią po brzegi.

Długo jeszcze tłumaczył Jolancie, że to za sprawą miłości czujemy zachwyt widząc piękny krajobraz albo wspaniałe dzieło sztuki.

- Człowiek ofiarowuje wtedy część siebie - mówił - i otrzymuje coś w zamian. Miłość jest podstawą tego, podobnie jak współczucia, litości, pragnienia walki z niesprawiedliwością, przebaczenia.

Jolanta bardzo się wtedy starała dobrze wszystko zrozumieć. Później hrabia rozwinął myśl i przedstawił fundamentalną część swoich poglądów na życie.

- Kocham cię, ma petite - powiedział - każdą częścią mego istnienia, moimi zmysłami i duszą. Jednocześnie kocham innych ludzi, ale to nie umniejsza mojej miłości do ciebie. - Uśmiechnął się. - Tak naprawdę to jeszcze ją potęguje. Ponieważ każda osoba, która czyni mnie

szczęśliwym, sprawia, że mogę dać jeszcze więcej szczęścia innym.

Spoglądając na madame Renaze, Jolanta dostrzegła w jej twarzy miękkość i łagodność, której nie знаła u swej matki. Odgadła także, iż madame Renaze odznaczała się inteligencją, a na pewno i dowcipem, które bez wątpienia musiały sprawiać radość jej ojcu. . Na krótki czas zapadła cisza, jakby obie kobiety dokonywały wzajemnej oceny. W końcu madame Renaze powiedziała:

- Proszę mi powiedzieć, mademoiselle, w jaki sposób mogę pani pomóc. Wie pani dobrze, że wystarczy poprosić, a zrobię wszystko co w mojej mocy.

- Przede wszystkim chciałabym, żeby pani nazywała mnie Jolą - odparła. - Tylko papa tak się do mnie zwracał. Czuję, że tak samo mnie nazywał, kiedy mówił o mnie z panią.

- Rzeczywiście tak było - przyznała madame Renaze - i był z ciebie taki dumny, robił tyle planów związanych z twoją przyszłością.

- Czy kiedykolwiek rozmawiał z panią o moim małżeństwie? - zapytała Jolanta.

- Wspominał o tym kilka razy w Wenecji.

- A co mówił?

- Powiedział: „To jest miasto zakochanych. Moja Jola musi tu pewnego dnia przyjechać z kimś, kogo kocha - roześmiał się. - Ale nie ze mną. Jest wiele miejsc, do których chcę ją zabrać, ale tu powinna spędzić swój miodowy miesiąc. I być taka szczęśliwa, jak my teraz”.

Głos madame Renaze załamał się. Gdy sięgała po maleńką koronkową chusteczkę, którą miała za paskiem spódnicy, służący przyszedł z kawą. Kiedy nie było go już w pokoju, a madame napełniała porcelanowe filiżanki, Jolanta zapytała:

- Czy papa kiedyś wspominał nazwisko jakiegoś kandydata do mojej ręki?

- Zdaje się, że chciał, żebyś wyszła za dalekiego kuzyna, markiza de Montereau.

Jolanta na chwilę wstrzymała oddech.

- Więc to prawda, co mówiła grandmere.

- Ale twój ojciec powiedział jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć.

- Co takiego? - zapytała Jolanta.

- Mówił to nie raz, nie dwa, ale wiele, wiele razy: „Jola nie może być nigdy nieszczęśliwa, tak jak ja. Nie może być nigdy zmuszona do małżeństwa z kimś o odmiennych myślach i poglądach, z kimś, z kim się nie będzie zgadzać. Nie zniósłbym, żeby cierpiała”.

Jolanta westchnęła, a było to westchnienie ulgi. Czowała, że ojciec tak właśnie myślał. Oto więc otrzymała odpowiedź na pytanie, które zadawała sobie od czasu rozmowy z babką.

Pochyliła się do przodu na krześle nie spuszczając oczu z twarzy madame Renaze.

- Przez wzgląd na to, co papa pani mówił i ponieważ wie pani, jak bardzo on sam był nieszczęśliwy z moją matką, proszę, niech mi pani pomoże!

- Powiedz mi tylko jak - odrzekła po prostu madame Renaze.

- Moja babka oznajmiła mi, że napisała już do markiza de Montereau i zaprosiła go do zamku w przyszłym miesiącu. Rozumie pani, że równa się to moim zaręczynom z markizem.

- Ale przecież na pewno... - próbowała oponować madame Renaze.

- Nie zna pani mojej babki - przerwała jej Jolanta. - Pod jej kruchą powierzchownością kryje się nieugięty charakter. To ona ożeniła papę z moją matką, kiedy miał dwadzieścia lat. Teraz jest zdeterminowana i chce doprowadzić do tego, że ja wyjdę za markiza. Wiem, jeżeli on raz przekroczy próg zamku, cała rzecz będzie już faktem dokonanym.

- Czy mam rozumieć, że nie chcesz go poślubić?
- Nigdy go nie widziałam, ale ciągle o nim słyszałam będąc w szkole. To, co mówiono wskazywało, że markiz nie nadaje się na męża.

- Czemu tak uważasz? - zapytała madame Renaze.

- Pani powinna zrozumieć lepiej niż ktokolwiek inny - odparła Jolanta - iż papa wpoił mi wiarę w szlachetne ideały. Zawsze towarzyszy mi świadomość, że muszę mieć prawdziwy cel w życiu.

Madame Renaze nie odpowiedziała, a Jolanta mówiła dalej:

- Wnioskując z tego wszystkiego, co słyszałam o markizie, jego życie składa się wyłącznie z przyjemności i zabawy. Nie mieszkałam w samym Paryżu, ale słyszałam, co się tam dzieje, o wystawnych przyjęciach, balach i maskaradach odbywających się co wieczór, o plotkach i skandalach, często prowadzących do pojedynków.

Rozłożyła ręce wymownym gestem.

- Markiz jest częścią Drugiego Cesarstwa. Czy sądzi pani, że wytrzyma spokojne życie w Beauharnais z jednoosobowym audytorium w postaci żony?

Zapadła cisza, a potem madame Renaze powiedziała:

- Nie znam markiza, ale także o nim słyszałam.

- Tak jak i ja! - rzekła Jolanta - i dlatego, madame, chcę, żeby mi pani pomogła.

Madame Renaze wyglądała na zaintrygowaną.

- Chcę poznać markiza, ale nie wtedy, kiedy przyjedzie do zamku, by spotkać się z jego właścicielką. Chcę zobaczyć się z nim incognito, żeby móc go osądzić jako człowieka, a nie jako starającego się o moją rękę.

Madame Renaze była zdumiona.

- Jakże można do tego doprowadzić?

- Tego właśnie dotyczy moja prośba - odpowiedziała Jolanta.

Oczy dwóch kobiet spotkały się, a madame Renaze spytała z niedowierzaniem:

- Co sugerujesz?

- Czy nie obrażę pani, jeżeli będę zupełnie szczerą?

- Nie obrazisz mnie, cokolwiek byś powiedziała, moja droga - zapewniła ją madame. - Uwierz, że próbuję zrozumieć, próbuję pomóc.

- Oto więc, co chcę zrobić. Chcę poznać markiza nie jako jeune filie z dobrej rodziny i w żadnym wypadku nie jako kasztelanka Beauharnais. Musi zobaczyć mnie jako osobę z innego świata, ze świata, w którym on gra, jak sędzę, jedną z głównych ról.

Na chwilę zapadło milczenie, aż madame Renaze powiedziała:

- Rozumiem, co masz na myśli, ale to niemożliwe! Całkowicie i absolutnie niemożliwe!

- Dlaczego?

- Ponieważ jesteś damą, bo zostałam wychowana w zupełnie inny sposób i nie masz najmniejszego wyobrażenia o tym, co nazwałam „innym światem”. Jola zaczerpnęła powietrza i powiedziała:

- A jednak pani należała do niego, madame, i mój ojciec panią kochał.

Madame Renaze znieruchomiała na moment, potem odparła:

- To było coś raczej odmiennego.

- Dlaczego?

- Dlatego że zakochałam się w twoim ojcu i od chwili, kiedy się poznaliśmy, wiedzieliśmy, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

- A wtedy wystarczyło pani odwagi, żeby porzucić zasady i konwenanse, stać się jego chere amie (droga przyjaciółka, tu: kochanka) i uczynić go, jak sam przyznawał, najszcześniejszym człowiekiem na świecie.

Uśmiechnęła się i dodała:

- Nie widzę w tym nic złego.

- Wcale nie twierdzę, że to coś złego - rzekła madame Renaze. - Ale czasami było mi bardzo trudno. Jednak miałam miłość twojego ojca i tylko to się liczyło.

- Ja też chcę się zakochać - oznajmiła Jolanta. - Rozumiem, że babcia życzy sobie, abym wyszła za markiza i by on stał się właścicielem zamku, jako że nie ma własnej posiadłości ziemskiej.

Przerwała na chwilę, a potem powiedziała dobitnie:

- Ale nie zamierzam dać się zaprowadzić do ołtarza, jeżeli nie będę pewna, że mężczyzna, którego poślubię, to ktoś, kogo kocham i kto kocha mnie dla mnie samej, nie dla mojego majątku.

- O, moje dziecko, moje dziecko, ty żądasz tak wiele! - wykrzyknęła madame Renaze. - Istnieją tysiące ludzi, którzy są zadowoleni ze swego małżeństwa, mimo że nie jest ono cudem ani pełnym uniesień związkiem stworzonych dla siebie ludzi.

- Chyba pani rozumie, że jako nieodrodna córka swojego ojca nie zadowolę się szczęściem drugiego gatunku.

- Ale... ten twój pomysł...

- Wiem, ten pomysł brzmi horrendalnie - przerwała Jolanta. - Przed przyjazdem tutaj wiedziałam, że będzie pani zaszokowana. Ale zamierzam zrealizować ten plan. Muszę dostać się do Paryża, zawrzeć znajomość z markizem i poznać jego prawdziwą twarz.

Podniosła wzrok na madame Renaze.

- Z tego, co słyszałam, żadne większe przyjęcie nie może odbyć się bez jego obecności. Nie będzie mi więc trudno doprowadzić do spotkania.

- Przebrana za kogo?! - ostro zapytała madame Renaze.

- Jeżeli powiem, że za demi-mondaine, bez wątpienia będzie pani przerażona - odparła Jolanta. - Nie wiem, może istnieje łagodniejsze określenie. Mogłabym udawać aktorkę, ale nic nie wiem o teatrze. W każdym razie, bez względu na to, czy mi pani pomoże, czy nie, spotkam się z markizem w takich okolicznościach, by nie odgadł, kim jestem.

Przez chwilę siedziała bez słowa. Potem dodała cicho:

- Może pani sądzi, że muszę być bardzo zarozumiała. Ale jeżeli papa chociaż po części nie mylił się w swoich ocenach, może markiz zechce zawrzeć ze mną znajomość.

- Jesteś piękna - odpowiedziała na to madame Renaze. - I, jak mówił twój ojciec, w jakiś sposób wyjątkowa, odmienna od reszty kobiet. Nie będzie ci trudno zwrócić na siebie uwagę markiza albo któregośkolwiek innego mężczyzny. Ale nie mogę zaaprobować sposobu, w jaki chcesz to wszystko osiągnąć.

- A czy mam jakieś wyjście? - zapytała Jolanta, przemawiając teraz w spokojny logiczny sposób, którego tak często używała w dyskusjach z ojcem. - Kiedy markiz przyjedzie tutaj, właściwie nie dostrzeże mnie jako żywej istoty. Będzie widział zamek, posiadłość, ogromną fortunę, którą posiadam, wszystko to stopione w jedno, otoczone złotą aureolą.

Rozłożyła ręce.

- Musi się pani ze mną zgodzić, że w takiej sytuacji nie można mieć pewności, która z tych rzeczy zaważy na jego decyzji.

- Doskonale pojmuję wszystko, co mówisz - odpowiedziała madame Renaze - ale nie wyobrażam sobie, jak

możesz przedsięwziąć taką niesamowitą, szaloną i nierozsądną rzecz. Jechać do Paryża w przebraniu, potem uciec, a przez cały czas znosić zniewagi i przykrości!

- To ostatnie nie będzie miało dla mnie większego znaczenia - rzekła beztrąsko Jolanta. - Liczy się tylko markiz. Kiedy już go poznam i porozmawiam z nim, będę miała odpowiedź na moje pytania. A muszę dodać, że potrafię szybko wyrabiać sobie opinie na temat ludzi.

- A jeżeli markiz ci się nie spodoba?

- Wówczas nikt i nic nie zmusi mnie do małżeństwa z nim - oświadczyła twardo Jolanta. - Zmuszę grandmere, żeby odwołała zaproszenie, które zostało wysłane, i nawet gdybym miała spędzić resztę życia jako stara panna, nie pozwolę, by siłą wtłoczono mi na palec ślubną obrączkę.

- W zasadzie masz całkowitą rację - zgodziła się madame Renaze. - Ale będzie bardzo trudno wprowadzić to wszystko w życie.

- Więc proszę mi pomóc - powiedziała Jolanta błagalnie. - Właśnie po to do pani przyjechałam.

Madame Renaze przyłożyła rękę do czoła i rzekła:

- Mam pewną myśl, ale lękam ci się ją podsunąć.

- Czy chce pani wiedzieć, kiedy po raz pierwszy pomyślałam o przyjściu tutaj? - zapytała cicho Jolanta. - Stało się to, gdy oglądałam pani portret, który znalazłam w biurku papy. Siedziałam w jego pokoju i rozmawiałam z nim, pytając, co powinnam zrobić.

Zamilkła na chwilę, przypominając sobie, z jakim wysiłkiem świadomości prosiła ojca, by zesłał jej swoją pomoc.

- Skoro zdawało się, że nie ma od papy żadnej odpowiedzi, otworzyłam szufladę jego biurka i znalazłam tam listy. Na pewno były to pani listy do niego, a na wierzchu leżała miniatura, pani portret.

Spojrzała na madame Renaze i przekonała się, że ta słucha z uwagą. Mówiła dalej:

- Poczulałam, jakby papa do mnie przemówił. W moim umyśle skryształizował się plan. Wiedziałam, że muszę zwrócić się do pani, a pani pomoże mi zorganizować wyjazd do Paryża i zdradzi, jak wkroczyć do półświatka, który, o ile się nie mylę, przeniknął do towarzystwa, niweczając jego ekskluzywny charakter.

- Co do tego ostatniego, przyznaję ci rację - rzekła madame Renaze z lekkim westchnieniem. - Cesarz przełamał wiele barier.

- Podobnie jak markiz de Montereau - dodała Jolanta.

- Być może. Jeżeli chodzi o niego, nie mogę mieć pewności - powiedziała powściągliwie madame Renaze. - Znam jednak kogoś, kto przyjaźni się z markizem. Ta osoba może ci go przedstawić bez wzbudzania żadnych podejrzeń dotyczących twojej tożsamości.

Uśmiech rozjaśnił twarz Jolanty.

- Wiec pomoże mi pani, madame?

- Właściwie mnie do tego zmusiłaś - zauważyła madame Renaze. I naraz obie wybuchnęły śmiechem.

- To nie do wiary! - zawołała madame. - Zawsze miałam nadzieję na poznanie ciebie, ale jak mogłabym sobie wyobrazić, że będziesz siedzieć tu, w moim pokoju, kładąc mi do głowy takie niedorzeczne pomysły?

- Grandmere byłaby taka zgorszona! - roześmiała się Jolanta - tak jak i wszyscy inni krewni.

- Czy nie obawiasz się natknąć na niektórych z nich w Paryżu?

- Nie widziałam się z moimi krewnymi przez lata - odparła Jolanta. - Wie pani, że moja matka nie pozwalała, żeby ktokolwiek był zapraszany do zamku. Po jej śmierci zaś papa i ja postanowiliśmy zacząć przyjmować dopiero po

upływie dwunastomiesięcznej żałoby. Uważaliśmy, że byłoby bezduszością postąpić inaczej.

Jolanta wydała westchnienie, które zdawało się płynąć z samego dna jej duszy. To właśnie w jedenastym miesiącu żałoby ojciec umarł. Następne dwanaście miesięcy spędziła w internacie szkoły. Okoliczności sprawiły, że nie była na pogrzebie, na który przyjechali krewni z całej Francji. Zdruzgotana i zrozpaczona nagłą śmiercią ojca, Jolanta zapadła na zapalenie płuc i lekarz kategorycznie zabronił jej wstawać z łóżka. Nie żałowała, że nie była obecna na pogrzebie. Pragnęła zachować wspomnienie papy radosnego i pełnego życia, jakim widziała go po raz ostatni, a nie naznaczonego piętnem śmierci. Płakała więc samotnie w swoim pokoju. Podstarzała kuzynka z Tours pełniła obowiązki gospodyni wobec przybyłych na uroczystości żałobne. Teraz Jolanta po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy był wśród nich markiz. Wtedy nie przyszło jej do głowy pytać, - kto przyjechał na pogrzeb. Była zbyt nieszczęśliwa i chora, żeby ją to mogło obchodzić. W tej chwili zastanawiała się jednak, czy markiz dokonał przy okazji oględzin zamku i zdecydował się objąć go w posiadanie.

- Proszę powiedzieć, jaki ma pani dla mnie plan, madame?

- Jest coś, co chciałabym najpierw wyjaśnić - oznajmiła madame Renaze. - Mówiłaś o demi-mondaines. Może to słowo wynalezione przez Dumasa syna trafnie określa półświatek, który zdobył ostatnio takie duże znaczenie w Paryżu. Drugie Cesarstwo jest zwane złotym wiekiem kurtyzan. Te kobiety uczyniły Paryż najgłośniejszym miastem na świecie. O ich klejnotach, przyjęciach, kreacjach prezentowanych na przejażdżkach po Lasku Bulońskim mówi cała Europa. Musisz jednak zdać sobie sprawę, że te damy

różnią się pod każdym względem od takich osób, jak ja i moja siostrzenica.

Jola patrzyła na madame Renaze zaintrygowana. Ona zaś ciągnęła:

- Od zarania dziejów Francuzi brali sobie cheresamies, kiedy ich zaaranżowane przez rodziców małżeństwa nie dawały im szczęścia, a nawet, jak w przypadku twojego ojca, pogrążały ich w czarnej rozpacz. - Oczy madame Renaze nabrały ciepłego blasku. - Zakochiwali się, często znajdując pełnię szczęścia, w kobietach, których nie mogli wprowadzić do towarzystwa, ale które pod wszelkimi względami spełniały rolę „drugich żon”.

- Zawsze potrafiłam to zrozumieć - odpowiedziała Jolanta miękko. - A kochanka króla zajmowała poczesne miejsce na dworze i często dysponowała większą władzą niż sama królowa.

- To prawda - przyznała madame Renaze. - Historia mówi, że król Ludwik XIV nie potrafił się obejść bez madame de Maintenon i zawsze przypuszczano, iż zawarli małżeństwo.

Ze sposobu, w jaki madame o tym mówiła, Jolanta odgadła, że miała nadzieję poślubić kiedyś hrabiego.

Chwilę później madame Renaze jakby otrząsnęła się z ogarniającego ją rozmarzenia i powiedziała bardziej rześko:

- Moje siostrzenica, Aimee Aubigny, jest chérie amie diuka de Cholet. Żona diuka cierpi na nieuleczalną chorobę umysłową, a z Aimee jest on ogromnie szczęśliwy. Mają nadzieję, że kiedyś będą mogli wziąć ślub.

Jolanta słuchała ciekawie, a madame Renaze mówiła dalej:

- Oczywiście, pozycja mojej siostrzenicy nie jest akceptowana w towarzystwie. Jednocześnie, po części dzięki ogólnie podziwianej inteligencji diuka, Aimee zgromadziła

dookoła siebie tylu pisarzy i utalentowanych ludzi, iż jej salon stał się jednym z najbardziej liczących się w mieście.

Madame Renaze uśmiechnęła się i dodała z dumą:

- Jak mi mówiono, ustępuje tylko salonowi księżnej Matyldy.

Jola wiedziała o wyjątkowości tej pochwały, bowiem księżna Matylda, kuzynka cesarza, a siostra księcia Napoleona była uważana za najinteligentniejszą kobietę we Francji. Prowadziła salon, który przez jednego z uznanych pisarzy został określony jako „prawdziwy salon XIX wieku. Żaden salon nigdy nie ofiarował Francji tak wiele, jak salon la bonne princesse”.

- Poznam więc pani siostrzenicę? - zapytała Jolanta.

- Jeżeli rzeczywiście jesteś zdecydowana przedsięwziąć to, czego nie mogę nazwać inaczej, tylko zuchwałą eskapadą - odparła madame Renaze - napiszę do mojej siostrzenicy, wyjaśnię, o co ci chodzi i poproszę, żebyś mogła u niej zamieszkać.

Jolanta wydał okrzyk radości,

- Czy naprawdę pani to zrobi, madame? Jestem taka wdzięczna, taka wdzięczna!

- Mam tylko nadzieję, że będziesz mogła powiedzieć mi to samo po powrocie - rzekła madame sceptycznie.

- Będę równie wdzięczna, nawet jeżeli markiz okaże się taki, jakim go sobie wyobrażam - zapewniła ją Jolanta.

- Skoro tak, napiszę natychmiast do Aimee - powiedziała madame Renaze.

- Jeżeli pani siostrzenica będzie gotowa mnie przyjąć, wyjadę do Paryża natychmiast po otrzymaniu wiadomości od pani. Mimo że grandmere zaprosiła markiza dopiero w przyszłym miesiącu, być może nie uda mi się od razu z nim spotkać albo nie zainteresuje się mną tak łatwo. Dlatego muszę mieć duży zapas czasu.

- Wciąż mam uczucie, że powinnam cię odwiedzić od zrobienia czegoś tak szalonego - westchnęła madame Renaze.

- Cokolwiek by pani zrobiła czy powiedziała, nie dam się powstrzymać - odparła Jolanta. - Pani mi tylko ułatwi zadanie albo, jeżeli pani woli, chroni mnie pani przed dostaniem się w ciemny zaułek demi-monde (dawcą, dobrym ojcem.).

Madame Renaze westchnęła.

- Jesteś taka podobna do swego ojca, kiedy czegoś chcesz. On także potrafił skłonić mnie zręcznymi manewrami do przyznania mu racji, nawet jeśli wiedziałam, że jej nie ma. Umiał wtedy dowolną sprawę odpowiednio przedstawić i ja uznawałam ją za całkiem słuszną.

- Ależ to, co robię, jest słuszne! - rzekła Jolanta. - Jestem przekonana, że postępuję dobrze i pani mnie nie zawiedzie.

Mówiąc to spojrzała na zegar, który stał na kominku i ociągając się wstała z krzesła.

- Muszę wracać! - powiedziała - Zostawiłam w mieście Jacquesa, mojego koniuszego. Jeżeli zabawię zbyt długo, wpadnie w panikę. Pomyśli, że wpadłam w tarapaty. Jediną osobą, do której miał zaufanie w sprawach koni, był papa.

- Twój ojciec świetnie powoził - przyznała madame Renaze.

- Wszystko, co robił, robił dobrze - uśmiechnęła się Jolanta. - Był dobrym strzelcem, dobrym pracodawcą, dobrym ojcem.

Wyraz oczu madame powiedział Jolancie, że chciała dodać: „I dobrym kochankiem”, ale nie wypadało mówić o tym z młodą dziewczyną.

Jolanta schyliła się i, wiedzona odruchem serdeczności, pocałowała madame Renaze w policzek.

- Pani była dla mnie taka dobra i wyrozumiała - rzekła ze wzruszeniem. - Papa byłby zadowolony, że obie tu jesteśmy - spojrzała na portret ojca. - I wie pani? Nic by go bardziej nie

ubawiło niż to, co pani nazywa „szaloną eskapadą”. Uznałby to za akt odwagi i zaradności, a te cechy bardzo mu się u mnie podobały.

- Mógłby to także uznać za niemądre i niebezpieczne - zauważyła madame Renaze.

- A gdzie tu może być prawdziwe niebezpieczeństwo? - zapytała Jolanta. - Jeżeli sprawy wymkną się spod kontroli, po prostu wrócę do domu.

- Miejmy nadzieję, że to wszystko naprawdę okaże się takie proste - odrzekła madame Renaze z powątpiewaniem.

- Pani siostrzenica, mam wrażenie, jest podobna do pani - powiedziała Jolanta. - Ona też będzie mnie ostrzegać i opiekować się mną.

- Mam nadzieję - odpowiedziała madame Renaze. - W każdym razie jestem pewna, że to wszystko wyda się jej bardzo zabawne. Aimee ma wielkie poczucie humoru. Będzie się dobrze bawić, mogąc wyprowadzić w pole markiza i resztę Paryża.

- Mnie nie interesuje nikt poza nim - odparła Jolanta.

Kiedy odjeżdżała z chateau, czuła rosnące podniecenie i ożywienie, jakiego nie doświadczyła od momentu powrotu do domu. Dotychczas przygnębiająca pustka zamku, w którym zabrakło ojca, odbierała jej chęć do życia. Rozmowa z babką o małżeństwie rozdrażniała ją. Teraz jednak jak gdyby wyszło słońce i rozproszyło cienie. Ujrzała przed sobą perspektywę wyprawy pełnej odkryć, prawdziwej przygody.

Muszę wszystko zaplanować z największą precyzją, pomyślała, nikt nie może mieć najmniejszych powodów do podejrzeń. Popędzała konie w kierunku Langeais, muskając ich grzbiety batem. Wiedziała, że Jacques już czeka na nią z wymówkami.

Jolanta właśnie siedziała samotnie przy śniadaniu w Małej Jadalni, kiedy przyniesiono na srebrnej tacy liścik. Wzięła go

do ręki z biciem serca, bowiem czekała już niecierpliwie na wiadomość.

Od jej wizyty u madame Renaze minęły trzy dni. Jolanta zaczynała powoli odchodzić od zmysłów, zastanawiając się wciąż, czy może coś jest źle i Aimee Aubigny odmówiła udziału w całej sprawie. Teraz oto wreszcie leżała przed nią odpowiedź, zaadresowana tym samym schludnym pionowym charakterem pisma, jaki widziała na listach w biurku ojca.

Nie otworzyła koperty, dopóki służba nie opuściła pokoju. Rano jadła sama, ponieważ babka poleciła, by przynoszono jej śniadanie do łóżka. Twierdziła, że ranki są zbyt chłodne i ona nie ma ochoty wstawać, zanim słońce zrobi to samo.

List był bardzo zwięzły.

Moja siostrzenica - pisała madame Renaze - z przyjemnością powita Cię w dogodnym dla Ciebie czasie w swoim domu na rue du Faubourg Saint - Honore. Proszę, daj jej znać, czy chcesz, aby wysłano po Ciebie powóz stację, czy sama dasz sobie radę. Moje myśli i modlitwy będą Ci towarzyszyć. Wiesz, że życzę Ci szczęścia i wszystkiego co najlepsze.

List nie miał podpisu. Madame Renaze zachowała dyskrecję na wypadek, gdyby wiadomość dostała się w niepowołane ręce. Jolanta świetnie zdawała sobie sprawę, że każdy, włączając w to służbę z zamku, byłby zgorszony jakimiś powiązaniem Marii Teresy z byłą kochanką swojego ojca. Co więcej, ci, którzy przez lata służyli hrabiemu, uważaliby za swój obowiązek donieść wszystko babce, a taki obrót sprawy pociągnąłby za sobą nie kończące się kłopoty. Dlatego też Jolanta zanotowała w pamięci treść listu, podarła kartkę na maleńkie kawałeczki i wrzuciła je do ognia. Następnie usiadła, żeby napisać do mademoiselle Aimee Aubigny.

Listu do niej nie mogła powierzyć nikomu w zamku. Wysłała go sama, znalazłszy w tym celu kolejny pretekst do wyjazdu do miasta. Poczekała, aż list odejdzie i dopiero wtedy wróciła do zamku. W salonie natknęła się na babkę.

- Jak się masz tego ranka, grandmere? - zapytała Jolanta, całując ją.

- Dziękuję, ma chérie, jest mi trochę cieplej - odparła hrabina. - Ale wydaje mi się, że ty jesteś za lekko ubrana jak na wiosenny dzień. Pamiętaj, wiatr bywa bardzo zdradliwy nawet w dolinie Loary. Nie chcesz chyba nawrotu swojej choroby sprzed roku?

- Jest naprawdę całkiem ciepło, grandmere - zapewniła ją Jolanta. - Ale wiesz, grandmere, właściwie doszłam do wniosku, że potrzebuję kilku nowych strojów, których nie zdążyłam kupić przed powrotem do domu.

Nie patrząc na babkę, dodała:

- Jeżeli markiz przyjeżdża tutaj z wizytą, a także... mam nadzieję... będzie wielu gości... nie chciałabym wystąpić w łańchmanach jak kopciuszek.

- Trudno powiedzieć, żebyś tak wyglądała - odpowiedziała babka, patrząc na elegancką krynolinę i dobrany do niej obcisły zakieciak, które miała na sobie Jolanta.

- Zasoby gotówki starczą, sędzę, na dwie lub trzy kreacje od Wortha, prawda, grandmere?

Pomyślała, że babka wciąż się waha, więc dodała:

- Jestem pewna - markiz, będąc takim miłośnikiem i znawcą płci pięknej, potrafi należycie ocenić piękne stroje - wiedziała, że ten argument będzie nie do odparcia.

- Tak, oczywiście - powiedziała hrabina. - Musisz być odpowiednio ubrana. Suknie, które posiadasz, wyglądają bardzo efektownie, ale śmiało mogę powiedzieć, że klasa Wortha przystoi osobie o twojej pozycji. To, co kupisz, może też być zaczątkiem twego posagu.

Jolanta zacisnęła wargi, ale powstrzymała się od ostrej odpowiedzi. Zamiast tego odezwała się zupełnie miło:

- Jeśli tak, im prędzej pojedę do Paryża, tym lepiej. Myślę, że dobrze by było wyruszyć pojutrze. W końcu, zamówiwszy już to, co chcę, mogę wrócić tu i pojechać jeszcze raz, jeżeli będą potrzebne dodatkowe miary.

Zanim babka zdążyła coś odpowiedzieć, Jolanta głęboko wzdychając poskarżyła się:

- Jak ja nie cierpię chodzić do miary! Może lepiej już pozostanę kopciuszkiem?

- Nie, nie, oczywiście nie - powiedziała szybko hrabina. - Wygląd kobiety jest zawsze ważny. Nie ma sensu udowadniać, że jest się piękną nawet w worku.

- No, dobrze - zgodziła się Jolanta niemal z wahaniem - Pojadę do Paryża i zatrzymam się u jednej z moich szkolnych koleżanek.

- A nie chciałabyś, żebym napisała do którejś z twoich kuzynek na bulwarze Saint Germain?

W tej części miast, na lewym brzegu Sekwany, osiedliła się większość ancien regime (stary reżim; tu: rodziny arystokratyczne, które przetrwały rewolucję). Jolanta z uśmiechem rozbawienia pomyślała, że wszyscy oni byliby w najwyższym stopniu oburzeni, gdyby dowiedzieli się, u kogo będzie mieszkać.

- Nie, dziękuję, babciu - powiedziała. - Wiesz równie dobrze jak ja, że będą oczekiwały moich odwiedzin. Wyprawiają małe przyjęcia i rodzinne obiady i nigdy nie zdołam niczego załatwić.

- Może masz rację - przyznała hrabina - Ale jestem pewna, krewni będą się chcieli z tobą zobaczyć, jeśli czas ci pozwoli.

- Jeżeli zdążę, przyrzekam ich odwiedzić - zapewniła Jolanta. - Ale nie pisz do nich, proszę, i nie zawiadamiaj o

moim pobycie w Paryżu. Będą obrażeni, jeśli nie będę mogła przyjąć ich zaproszeń.

- Rozumiem - odpowiedziała hrabina.

Tak czy inaczej, Jolanta do ostatniej chwili spodziewała się nagłych trudności, które przeszkodziłyby jej w wyjeździe. Nieoczekiwanie wszystko szło gładko.

Babka uwierzyła nawet, że „przyjaciele” woleliby, żeby Jolanta nie przywoziła ze sobą własnej służącej, tylko korzystała z usług ich pokojówek. Oczywiście, takie rozwiązanie byłoby nie do pomyślenia dla kobiety zameźnej, ale młoda dziewczyna mogła się nim zadowolić. Babka wyraziła więc zgodę.

Starsza służąca z Beauharnais, która miała towarzyszyć Jolancie w podróży, była bardzo rada z powrotu do zamku następnym pociągiem.

- Nigdy nie lubiłam Paryża, m'mselle - powiedziała lekceważącym tonem. - Okropne, hałaśliwe miejsce, w którym łatwo zostać przejechanym, jak tylko na krok zejdziesz się z chodnika.

- Nie zabawię tam długo - uspokoiła ją Jolanta. - Musisz opiekować się babcią i dopilnować, aby miała zapewnione wszelkie wygody.

- Madame tęskni za ciepłym słońcem Południa - odpowiedziała służąca.

Jolanta wiedziała, że tak jest. Na szczęście hrabina nie zamierzała cierpieć samotności w czasie nieobecności wnuczki. Już zaprosiła swoją przyjaciółkę, rówieśniczkę mieszkającą w Tours, żeby ta dotrzymywała jej towarzystwa. Jolanta nie wątpiła - obie starsze damy będą miały o czym gawędzić i na pewno zaczną szczegółowo planować jej wesele.

Ta ostatnia myśl sprawiła, że jeszcze bardziej zapragnęła znaleźć się już w Paryżu. Czuła, jak czas pędzi. Jeżeli nie

będzie sprawnie działać, niczego nie osiągnie, a markiz, pełen nadziei, przyjedzie do zamku. Wtedy pozbędzie się go tylko za pomocą druzgocącej kłótni z babką. Tego natomiast należało uniknąć za wszelką cenę. Reperkusje takiego skandalu wstrząsnęłyby całą rodziną.

Jej ojciec zawsze był w pełni świadomy wagi swej pozycji głowy rodu. Czuł się odpowiedzialny za niegościnnosć swojej żony. Głęboko żałował, że on i jego córka byli tak wyobcowani spośród tych, w których żyłach płynęła ta sama krew.

Muszę przywrócić ich wszystkich do udziału w życiu zamku, pomyślała Jolanta, nie mogę też otoczyć się samymi intelektualistami i artystami. Tu powinno być miejsce dla wszystkich. W dawnych czasach Grand Seigneurs (wielmożni panowie) gościli w swych domach bardzo wielu swoich krewnych. Zamki były wtedy jak miasta pulsujące życiem.

Poprzedniego wieczora, kiedy babka położyła się spać, Jolanta chodziła po przestronnych komnatach, czując, jakie są przeraźliwie ciche i puste. Potem wyszła na tarasy, gdzie rosły drzewa pomarańczowe. Część z nich została zasadzona sto lat temu. Majestat widoku, jaki miała przed oczami, wywierał imponujące wrażenie. Tylko że nikt nie mógł go podziwiać oprócz niej i starej kobiety, która tak naprawdę chciała być gdzie indziej.

Tak nie może być, myślała Jolanta. Zamek powinni zamieszkiwać młodzi i starzy, którzy go będą kochać i dla których on będzie ostoją.

I nagle wyobraziła sobie, jak byłoby wspaniale mieć tu dzieci. Nie jedno dziecko, samotne i żyjące w strachu przed oziębłą kobietą, którą nazywało matką, ale chłopców i dziewczynki w różnym wieku. Podeszła do krawędzi tarasu, żeby spojrzeć z góry na uśpioną dolinę.

Chcę mieć swoje własne dzieci, pomyślała, ale nie zniosę, żeby ich ojcem został mężczyzna, którego nie kocham. Pomyślała o markizie i wstrząsnął ją dreszcz obrzydzenia. Jej dzieci nie mogą widzieć w swym ojcu żadnego rozrywek człowieka, dbającego tylko o zaspokojenie swych zmysłów i zmieniającego kobiety jak rękawiczki.

Spojrzała w niebo.

- Ześlij mi mężczyznę, którego mogę pokochać, papo - modliła się, - Ześlij mi człowieka takiego jak ty, obdarzonego sercem i rozumem.

Noc zastygła w bezruchu. Jolanta czekała, ale zdawało się, że odpowiedź nie nadejdzie.

ROZDZIAŁ 3

Jolanta umieściła w poczekalni dla pań służącą, która towarzyszyła jej w podróży do Paryża. Potem pożegnały się. Za godzinę odchodził powrotny pociąg do Langeais.

Razem z tragarzem, niosącym jej rzeczy, Jolanta wyszła z dworca. Przed budynkiem zobaczyła czekający już na nią powóz. Z zadowoleniem stwierdziła, że gwoli dyskrecji nie było na nim herbu, a liberie woźnicy i lokaja wyglądały skromnie i w żaden sposób nie zwracały niczyjej uwagi.

W czasie podróży pociągiem sądziła, że jest spokojna i ani trochę nie lęka się tego, co ją czeka. Ale teraz, gdy zbliżali się do rue du Faubourg Saint - Honore, czuła, jak wali jej serce i zdawała sobie sprawę z odczuwanej tremy przed spotkaniem z siostrzenicą madame Renaze.

Dom na rue du Faubourg Saint - Honore stał trochę w głębi, z dala od ulicy. Był tam mały dziedziniec, przez który powóz wtoczył się na podjazd prowadzący do drzwi. Szary budynek z drewnianymi okiennicami wydawał się niepozorny. Jednak jak tylko Jolanta weszła do hallu, zorientowała się, że dom jest w rzeczywistości umeblowany z doskonałym smakiem i wypełniony cennymi przedmiotami. Bardzo przypadło to jej do gustu.

Nie można było nie nauczyć się wiele o sztuce, wychowując się w zamku, w otoczeniu zabytkowych mebli, wspaniałych dzieł malarskich, rzeźbiarskich. Ojciec opowiadał jej o różnych okresach i nurtach w sztuce. Wiedziała, że na przestrzeni wieków francuscy artyści wiedli prym w Europie niemal we wszystkich gałęziach sztuki.

Jolanta przyjrzała się bardzo pięknej, intarsjowanej komodzie w stylu Ludwika XV i kilku meblom Boullego, pochodzącym z jeszcze wcześniejszego okresu. Wtedy poproszono ją do salonu na parterze, którego okna wychodziły

na ogród. Siedząca w pokoju dama na powitanie Jolanty podniosła się od sekretery.

Jolanta spodziewała się, że mademoiselle Aimee Aubigny będzie podobna do swojej ciotki, ale w rzeczywistości jej rysy w nikłym stopniu przypominały madame Reneze, która mimo swych lat posiadała żywą urodę. Natomiast jej siostrzenica nie mogła rościć sobie pretensji do miana prawdziwej piękności. Jednakże miała przyciągającą wzrok fascynującą twarz. Jej ciemne oczy były lekko skośne. Na śmiało zarysowanych wargach gościł uśmiech. Kiedy wyciągnęła rękę do Jolanty, nie można było wątpić, że powitanie, które padło z jej ust, jest szczere.

- Cieszę się ze spotkania z panią, mademoiselle de comtesse. I niech mi pani pozwoli powiedzieć, jaki to dla mnie zaszczyt gościć panią.

- Za tyle rzeczy powinnam podziękować - odpowiedziała Jolanta. - Mam nadzieję, że nie będzie pani żałować zawarcia ze mną znajomości.

- O nie, na pewno nie - powiedziała Aimee Aubigny - Szczerze mówiąc, to najśmielsze przedsięwzięcie, o jakim słyszałam.

Jej oczy zdawały się śmiać i Jolanta sama wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

- Pani ciotka mówiła mi już, że mój plan jest horrendalny - odparła - ale rozumie pani, muszę tak postąpić.

- Rozumiem i podziwiam pani odwagę - powiedziała Aimee. Zrobiła energiczny ruch ręką i dodała:

- Proszę usiąść. Musimy teraz bardzo szybko wszystko zaplanować, ponieważ nikt w tym domu nie może wiedzieć, kim pani jest.

- Ma pani na myśli służbę? - zapytała Jolanta. - Oczywiście, przed nimi musimy wszystko zataić.

- Tak, to nie ulega wątpliwości! - zgodziła się Aimee Aubigny - W Paryżu wszyscy wszystko rozpowiadają. Plotki służących nigdy nie ustają i wszystko, co się mówi i robi, jakby prześlizgiwało się po winoroślach do innych domów. Prawie niemożliwe jest zachowanie sekretu.

- Ja muszę utrzymać moją tajemnicę - rzekła Jolanta.

Mówiąc to, pomyślała, jakie przerażenie ogarnęłoby jej krewnych, gdyby mieli najmniejsze pojęcie, co ona w tej chwili robi.

- Przede wszystkim - powiedziała mademoiselle Aimee - musimy znaleźć dla pani nowe imię, jeżeli pani jeszcze sobie żadnego nie wymyśliła:

- Nie, chciałam poprosić panną o radę w tej sprawie. Pomyślałam, że mogłabym przybrać imię Jolanta, ponieważ nikt oprócz mego ojca tak mnie nigdy nie nazywał. Dla wszystkich byłam Marią Teresą.

- Jolanta. Brzmi czarująco. A pani jest taka śliczna, więc dlaczegoż by nie Jolanta Lefleur? To będzie do pani pasować. Brzmi trochę teatralnie, ale w gruncie rzeczy o to nam przecież chodzi. - Podoba mi się pani propozycja.

- Więc postanowione. Dla wszystkich w tym domu będzie pani moją starą przyjaciółką, której nie widziałam od kilku lat, a teraz pokazuję jej Paryż, Tę historię opowiem też wszystkim innym.

Jolanta dostrzegła, że mademoiselle Aubigny przygląda się jej krytycznie, więc zapytała:

- Czy pani myśli o zmianach w mojej powierzchowności?

- Tylko w stroju - odparła Aimee.

- W stroju?

- Pani strój wygląda odpowiednio do jeune filie. W tej sytuacji będzie jednak nie na miejscu, bowiem koniecznie musi paru wydawać się starsza niż w rzeczywistości.

- Jak dużo starsza?

Madame Aubigny znów przyjrzała się jej dokładnie.

- Myślę, że w innym uczesaniu i w odpowiedniej sukni mogłaby pani uchodzić za osobę dwudziestodwu - albo dwudziestotrzyletnią.

Jolancie przedtem nie przyszło do głowy, aby taka zmiana była potrzebna. Widząc jej zdziwienie, Aimee wyjaśniła:

- Nikt by nie uwierzył, że występuję w roli opiekunki młodej panienki albo że wprowadzam świeżo upieczoną absolwentkę szkoły dla dziewcząt w tajniki mojego żyda,

- Rozumiem.

- Dlatego zostanie pani moją bliską przyjaciółką, Mam dwadzieścia siedem lat i wszyscy o tym wiedzą. Pani musi być w takim wieku, żeby rozumieć świat, w którym gra pani swoją rolę.

- Oczywiście - odpowiedziała Jolanta niepewnie.

- Od razu musimy kupić odpowiednią garderobę dla madame Lefleur.

- Jestem więc gotowa - uśmiechnęła się Jolanta.

- A nie chciałaby pani najpierw odpocząć i czegoś zjeść?

- Nie, dziękuję. Jadłam drugie śniadanie w pociągu. Kucharz w Beauharnais chyba myśli, że podróż do Paryża to to samo, co wyprawa do Tybetu albo na Mont Blanc, więc zaopatrzył mnie w dużo więcej prowiantu, niż mogłam zjeść.

- Doskonale - powiedziała Aimee. - Poleciałam, żeby nie wyprzęgano koni. Im szybciej pojedziemy, tym mniejsze będzie ryzyko, by ktoś zobaczył panią wyglądającą tak jak teraz.

Jolanta nie mogła powstrzymać się od myśli, że jej nowy, elegancki kostium podróżny nie zasługuje na tak niełaskawą ocenę. Ale wiedziała - musi całkowicie zaufać wyczuciu madame Aubigny. Dopiero kiedy były już gotowe do wyjścia, Jolanta dostrzegła, jak bardzo różni się ich wygląd. Aimee miała na sobie wyjątkowo prostą, elegancką i oryginalną

czarną suknię. Taki wygląd potrafił nadać ubiorom tylko prawdziwy paryski mistrz krawiectwa. Wąskie białe wypustki i doskonały krój podkreślały szczupłą, ale pięknie ukształtowaną figurę Aimee. Jolanta dostrzegła także nieliczne klejnoty, dopełniające strój, przepiękne i niespotykane.

Kiedy wsiadły do powozu, Aimee Aubigny powiedziała:

- Oczywiście, powinnam mówić pani po imieniu. Mam nadzieję, że nie będzie to pani przeszkadzało.

- Ja też będę panią nazywać Aimee - uśmiechnęła się Jolanta.

- Doskonale, Jolu. Myślę, że to będzie fascynująca przygoda, ale musimy zachować wielką ostrożność, by nikt, nawet mój ukochany diuk, nie domyślił się ani na jotę, że udajesz.

- Tylko twoja ciotka zna sekret, była dla mnie nadzwyczajnie dobra.

- To wspaniała kobieta - przyznała Aimee - I przeżyła takie szczęśliwe chwile z twoim ojcem. A gdy miała tyle lat, co ty teraz, była tak rozpaczliwie nieszczęśliwa.

- Nic nie wiedziałam o jej przeszłości - powiedziała Jolanta - z wyjątkiem tego, że, jak sędzę, twoja ciotka poślubiła monsieur Renaze.

- Istotnie, tak było. Wyszła za mąż w wieku siedemnastu lat i przeżyła nieopisany koszmar.

Jolanta cicho wymamrotała kilka słów współczucia.

- Pewnie nie słyszałaś o tym, że ojciec ciotki Gabrieli był bardzo rozumnym człowiekiem.

- Opowiedz mi o nim - poprosiła Jolanta.

- Był uczonym. Napisał sporo książek, większość raczej nudnych i docenianych tylko przez jemu podobnych uczonych. Był, w każdym razie, szanowany i podziwiany w Bordeaux, gdzie mieszkał.

Przerwała na chwilę, jakby wracając myślami do przeszłości.

- Na nieszczęście, dziadka nudziło życie rodzinne, więc przy pierwszej nadarzającej się okazji wydał swoje córki za mąż.

- Małżeństwo zdaje się stale zaprzętać myśli naszych krewnych - wtrąciła gorzko Jolanta.

- Mój dziadek i babka nie stanowili wyjątku - rzekła Aimee. - Ciotka Gabriela, która była bardzo piękna, wyszła za pięćdziesięcioletniego mężczyznę o znaczącej pozycji w wyższych sferach Bordeaux.

- I oczywiście nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia.

- Oczywiście, nie. Od chwili ślubu bała się swojego męża i czuła do niego antypatię. To nie obchodziło jednak jej rodziców, zachwyconych swoim nowym zięciem.

Jolanta kiwnęła głową ze zrozumieniem, a Aimee ciągnęła:

- Monsieur Renaze pił i miał zwyczaj wyładowywania swojego złego humoru na komach i na żonie. Szczęśliwym zrządzeniem losu jeden z wierzchowców, nie mogąc znieść takiego traktowania, zrzucił go przed wysoką przeszkodą i monsieur Renaze złamał kark.

- A twoja ciotka była wolna.

- Tylko na jakiś czas - odparła Aimee z uśmiechem. - Przyjechała do Paryża, poznała twojego ojca i zapalali do siebie miłością.

- Więc jej historia skończyła się szczęśliwie.

- Tak jak mam nadzieję, skończy się i twoja. Rozumiem, co czujesz i popieram cię całym sercem. Ja sama, nauczona przykładem ciotki Gabrieli, postanowiłam nigdy nie cierpieć tak jak ona. Kiedy moi rodzice oświadczyli, że znaleźli dla mnie dobrą partię i mam wyjść za mąż, uciekłam.

- Dokąd? - zapytała Jolanta ze zdziwieniem.

- Przyjechałam do Paryża. Na szczęście znałam tu kilka osób, obracających się w tak zwanym eleganckim towarzystwie.

Tu Aimee opowiedziała Jolancie, jak na samym początku została obdarzona protekcją pewnego młodego arystokraty, w którym, jak się jej wydawało, była bardzo zakochana,

- Złudzenia szybko zostały mi odebrane - powiedziała ironicznie. - A była to tylko i wyłącznie moja wina. Zwiodła mnie jego atrakcyjna powierzchowność, czar i moja własna naiwna wiara, że jestem jedyną kobietą w jego życiu.

- Czy byłaś bardzo nieszczęśliwa, kiedy odkryłaś prawdę?

- Na krótki czas pograżyłam się w rozpacz - odparła niefrasobliwie Aimee. - Ale Paryż jest taki nęcący i pełen radości, więc było mi łatwo zapomnieć o smutku. Tylu innych mężczyzn mnie adorowało.

Zamilkła na chwilę i mówiła dalej:

- Dostałam przykrą nauczkę i postanowiłam, że drugi raz nie dam się oszukać. Odrzuciłam wiele propozycji, w tym kilka bardzo ponętnych. I wtedy poznałam diuka.

- Czy od razu poczułaś, że jesteś w nim zakochana?

- Prawie od razu. Ale za wszelką cenę chciałam uniknąć rozczarowania, więc byłam ostrożna i grałam na zwłokę.

- I co było dalej? - zapytała zaciekawiona Jolanta.

- W końcu zrozumiałam, jakim wspaniałym człowiekiem jest diuk - odparła Aimee - i jak dużo ma do zaoferowania.

Widząc konsternację na twarzy Jolanty, dodała szybko:

- Nie mam na myśli pieniędzy. Chodzi mi o rzeczy, których wartość nie jest materialna. Zawsze mówię mu, że nauczył mnie wszystkiego, co wiem o sztuce i pięknie, a także jak rozumieć ludzi.

- Madame Reneze powiedziała, że twój salon dorównuje salonowi księżnej Matyldy.

- Ciotka Gabriela mi pochlebia. To, że przyjmujemy pisarzy i artystów, całkowicie zawdzięczam diukowi. W oczach świata ja jestem tylko kochanką bardzo znanego człowieka.

Kiedy mówiła dalej, jej głos brzmiał trochę łagodniej.

- Ale goście, którzy przychodzą do mojego domu albo których przyjmujemy u diuka, nigdy nie dają mi tego odczuć i odnoszą się do mnie tak samo, jak odnosiliby się do cesarzowej. To z kolei jest bardzo ważne dla mnie.

- Oczywiście, tak - przyznała Jolanta. Jej myśli wciąż krążyły wokół jednej rzeczy, spytała więc cicho: - Twoja ciotka mówiła, że znasz markiza de Montereau,

- Znam go doskonale - odparła Aimee - ale nie będę ci o nim opowiadać ponieważ powinnaś wyrobić sobie o nim własny sąd. Opinie z drugiej ręki są zawsze mylące. Tak czy inaczej, poznasz go jutro wieczorem.

Popatrzyła na Jolantę i roześmiała się.

- Wiem, że chętnie zadałabyś mi tysiące pytań - powiedziała - ale uwierz mi, kiedy poznasz Leo, jak go nazywają wszyscy w Paryżu, sama najlepiej na nie odpowiesz.

Gdy to mówiła, powóz zatrzymał się przed sklepem na rue de la Paix. Jolanta wyjrzała przez okno, myśląc, że są pod drzwiami domu numer sześć. Ku swemu zdziwieniu zorientowała się jednak, że powóz zatrzymał się na drugim końcu ulicy. Kiedy lokaj zsiadł, aby otworzyć im drzwi, Aimee powiedziała:

- Tak dużo rozmawialiśmy, a nie zdążyłam wytłumaczyć, dlaczego nie jedziemy do monsieur Wortha. Po pierwsze, jest on plotkarzem i jutro cały Paryż wiedziałby, że w Salonie Mody całkowicie odmieniono twój wygląd.

- O tym nie pomyślałam! - wykrzyknęła Jolanta.

- Także stroje od Pierre'a Floreta - ciągnęła Aimee - który jest na swój sposób geniuszem, lepiej pasują do twojej specyficznej roli.

- Znowu pozostaje mi tylko ci podziękować - uśmiechnęła się Jolanta.

Wysiadły z powozu i weszły do sklepu. Salon znajdował się na pierwszym piętrze. Kiedy tylko się tam pojawiły, Aimee została niezwykle serdecznie powitana przez sprzedawczynię, która poprosiła, żeby usiadły i poczekały, a sama posłała po monsieur Floreta.

- Pierre Floret jest młodym człowiekiem - powiedziała Jolancie Aimee - Ma ambicję i geniusz artysty równy temu, jaki miał Worth, kiedy po raz pierwszy przyjechał do Paryża.

- Sądziłam, że monsieur Worth wciąż jest geniuszem - zdziwiła się Jolanta.

- Owszem - przyznała Aimee - ale stał się bardzo zblazowany - uśmiechnęła się i dodała: - Nikt nie może go za to winić. Ponieważ cesarzowa ubiera się wyłącznie u niego, co druga kobieta w Paryżu błaga go na kolanach o coś oryginalnego, coś innego, co pozwoli jej wyróżnić się z tysiąca innych dam, przychodzących do jego salonu z tą samą prośbą.

Jolanta roześmiała się.

- Pierre Floret ma tylko dwadzieścia dwa lata - mówiła dalej Aimee - ale przekonasz się, jego dusza i umysł niepomniernie przerastają ten młody wiek.

Kiedy Pierre Floret kłaniał się uprzejmie nad dłonią Aimee i przeproszał za swą chwilową nieobecność, wydał się Jolancie jednocześnie inteligentny i uduchowiony. Był bardzo szczupłym mężczyzną i odnosiło się wrażenie, jakby rzadko miewał czas na posiłki.

Gdy Aimee wyjaśniła mu, że Jolanta potrzebuje kreacji, które nadadzą jej wygląd osoby bardziej dojrzałej i

wyrafinowanej, nie zadawał żadnych pytań. Popatrzył tylko na dziewczynę okiem znawcy. Poczwała, że poznał nie tylko każdy szczegół jej urody, ale także charakter i osobowość, tak aby móc zakląć ich odbicie w strojach.

- To jest bardzo ważne, monsieur Floret - rzekła Aimee. - Bardzo ważne w rzeczy samej i dla mnie, i dla mojej drogiej przyjaciółki.

Pierre Floret przez chwilę jakby rozważał coś w milczeniu. Wreszcie odpowiedział:

- Była pani dla mnie bardzo dobra, madame, i zawdzięczam pani patronatowi co najmniej połowę moich klientów. Teraz chcę spłacić część tego długu.

- W jaki sposób? - zainteresowała się Aimee. Zniżył głos, aby nikt nie mógł podsłuchać, i powiedział:

- Na pewno nie muszę pani tego tłumaczyć, każdy projektant mody trzyma swoją najnowszą kolekcję w ukryciu aż do momentu zaprezentowania jej publiczności.

- Tak, słyszałam, że w tym środowisku często zdarza się szpiegowanie - odparła Aimee z uśmiechem.

- Pracujemy teraz nad kolekcjami jesiennymi - ciągnął Pierre Floret. - Mała krynolina, dzieło monsieur Wortha, podbiła Paryż. Teraz wszyscy czekają na to, co zostanie wylansowane w sierpniu.

- Ja także czekam - przyznała Aimee - Czyżbyśmy mieli na dobre rozstać się z krynoliną?

- To właśnie mój sekret, który wyjawię tylko pani: Już znam najnowszą koncepcję monsieur Wortha.

Oczy Aimee zabłyśły. Nic nie mogło bowiem wprawić Francuzki w większy zachwyt, niż dowiedzieć się wcześniej od innych, co będzie dernier cri.

- Proszę mi zdradzić, co to jest! - prosiła podekscytowana.

- Nie tylko pani zdradzę - odpowiedział monsieur Floret - pokażę to pani. Proszę tylko, by pani i pani przyjaciółka poszły za mną.

- Ależ oczywiście. - Aimee podniosła się z miejsca. Poszły obie za Pierrem Floretem na zaplecze budynku, gdzie znajdowały się małe przymierza lnie. Jeszcze dalej, na końcu korytarza były drzwi. Pierre Floret wyjął z kieszeni klucz i przekręcił go w zamku.

- Moja pracownia jest tajemnicą dla reszty pracowników - wyjaśnił. - Tu także trzymam wykończone modele.

Otworzył drzwi pomieszczenia, które okazało się małym pokoikiem. Wisiało tam na stalowym pręcie kilkanaście sukien. Zdjął jedną i pokazał im. Aimee i Jolanta wydały cichy okrzyk.

Suknia nie tylko była pozbawiona krynoliny, ale obfitość dawnego kształtu została przemieszczona z boków do tyłu. Ta niezwykła suknia, łatwo się było domyślić, z przodu podkreśli sylwetkę na sposób niemal grecki, aby, począwszy od talii, spływać aż do ziemi. Miała w sobie lekkość, wdzięk i powab, które kazały Jolancie dziwić się, że ktokolwiek mógł widzieć w krynolinie coś więcej niż nienaturalną sztywność.

- Więc to jest najnowszy nurt! - rzekła Aimee niemal z czcią.

Monsieur Floret wybrał jeszcze dwie z wiszących sukien. Ich dekolty były głębokie, talie bardzo wąskie, a całe ramiona odkryte, z wyjątkiem kilku koronkowych falbanek czy kiści wstążek. Niektóre spódnice spiętrzone z tyłu były podtrzymywane po bokach girlandkami kwiatów. Inne miały tren, spływający kaskadami falbanek.

- Oto co moja przyjaciółka, mademoiselle Lefleur, musi założyć jutrzejszego wieczora! - zawołała Aimee.

Monsieur Floret był w najwyższym stopniu zdumiony.

- Jutro wieczorem, madame?

- A dlaczegoż by nie? - spytała Aimee. - Diuk wydaje przyjęcie w swoim domu na Polach Elizejskich. Ma być wystawna proszona kolacja, a po niej przybędzie wiele innych zaproszonych osób. Chciałabym, żeby mademoiselle Lefleur była sensacją, a czy może stać się inaczej, jeżeli pojawi się w takiej sukni?

Monsieur Floret pomyślał chwilę, a potem powiedział:

- Madame, ma pani rację. Miałem zamiar trzymać tę niespodziankę na przyjęcie wydawane przez księcia Walii, który przyjedzie lada dzień na wystawę, albo na jedno z tych w Tuilenes, z okazji przybycia cara Aleksandra z jego dwoma synami.

Aimee uśmiechnęła się.

- Oboje wiemy, że w zamieszaniu i zgiełku w Tuileries nikt nie zdoła niczego zobaczyć.

- To prawda - mruknął monsieur Floret.

- Co więcej - mówiła dalej Aimee - cesarzowa wpadnie w furję, jeśli jej toaleta zostanie przyćmiona w jej własnym pałacu i dosięgną pana reperkusje.

- Ma pani rację. Madame, jak zawsze ma pani rację! - wykrzyknął Pierre Floret. - Niech pani przyjaciółka zaprezentuje nową modę w Paryżu, wyprzedzając monsieur Wortha. Ogarnie go wściekłość, ale nie będzie mógł nic zrobić, bowiem, sędzę, wiele modeli w jego kolekcji zostało już wykończone.

Skoro podjęto decyzję, Jolanta musiała jeszcze tylko przymierzyć jedną z pięknych kreacji, aby można było zrobić kilka drobnych przeróbek. Potem, po zamówieniu dodatkowo kilku tuzinów sukien, które miały zostać uszyte w zawrotnym tempie, obie panie wyruszyły w powrotną drogę na rue du Faubourg Saint - Honore.

- Będę bardzo onieśmielona wyglądając inaczej niż wszyscy - powiedziała Jolanta.

- Być inną - to marzenie każdej kobiety - odparła Aimee. - Ale pamiętaj, mamy dzisiaj jeszcze mnóstwo do zrobienia. Przed wyjściem powiedziałam służbie, by po naszym powrocie czekał już na nas Felix.

- Kto to jest Felix?

- Jest najlepszym fryzjerem w całym Paryżu - odrzekła Aimee. - I nic nie sprawi mu większej przyjemności, niż stworzenie nowego uczesania specjalnie dla ciebie. Zawsze mi się skarży, jak nudzą go wciąż te same twarze, które musi codziennie oglądać.

Nie ma wątpliwości, że to prawdziwy artysta, pomyślała Jolanta.

Felix długo studiował jej powierzchowność, chodząc dookoła niej jak głodna pantera, którą zresztą przypominał z wyglądu. W końcu zaczesał jej długie czarne włosy do tyłu i ułożył je z biegłością i znanstwem wielkiego twórcy.

- Żadnych loków - mruzczał. - Zdecydowanie, żadnych loków! Mon Dieu! Ależ sprzykrzyły mi się loki!

- Kobiety sądzą, że dzięki nim wyglądają młodziej - uśmiechnęła się Aimee, która siedziała w sypialni Jolanty i przyglądała się pracy fryzjera.

- Włosy nie zmieniają twarzy, tylko stanowią jej oprawę - odparł Felix.

- To prawda, a włosy mojej przyjaciółki są prześliczne i dopiero teraz ukazują całą swoją świetność.

- Stworzyłem dla mej coś nowego - rzekł Felix, a Jolanta pomyślała, że fryzjer zachowuje się tak, jakby ona była nieobecna w pokoju. - Uczeszę ją tak samo jutro i wplotę we włosy klejnoty.

Jolanta nic nie powiedziała. Fryzjerowi najwidoczniej wydawało się oczywiste, że będąc przyjaciółką Aimee, Jolanta nosi mnóstwo klejnotów. Kiedy fryzura była gotowa, Aimee klasnęła w dłonie.

- Wyglądasz prześlicznie! - powiedziała. - I doroślej, zdecydowanie doroślej. A teraz Jeanne cię umaluje.

Wszystkie kobiety w Paryżu nosiły makijaż, ale Jolanta, będąc jeszcze jeune filie, po ukończeniu szkoły używała tylko odrobiny pudru i subtelnej różowej pomadki do ust.

Pokojówka Wimee ujęła dłoń dziewczyny, mówiąc:

- M'mselle ma skórę niczym płatek magnolii.

- Tak i ja sędzę - przyznała Aimee.

Po zakończeniu zabiegów kosmetycznych Jolanta spojrzała ze zdumieniem na własne odbicie w lustrze. Nie miała pojęcia, że zaledwie muśnięcie tuszu na rzęsach, najdelikatniejszy odcień różu na policzkach i umiejętnie nałożona pomadka mogą dokonać takiej zmiany.

Wprawdzie Aimee był kobietą na wysokim poziomie, ale nie można było zaprzeczyć, iż należy do kręgu demi-mondaines. Wkraczając razem z nią do tego świata, Jolanta musiała być umalowana mocniej niż kobiety z towarzystwa. A i tak jej wargi nie były aż tak karminowe jak pomadka Aimee, której usta tworzyły jedyną barwną plamę w całej postaci. Białe policzki, starannie przyczernione rzęsy i głęboko czerwone usta to był jej sposób na wyróżnianie się spośród innych.

Tego wieczora miały usiąść do obiadu tylko w towarzystwie diuka, Aimee pożyczyła więc Jolancie jedną ze swoich sukien.

- On także musi cię widzieć taką, jaką zobaczą cię wszyscy inni - przypomniała. - Chcę, żeby w jego świadomości utrwaliło się przekonanie, że jesteś samodzielną młodą kobietą i że szukasz w Paryżu rozrywki.

Aimee pożyczyła Jolancie krynolinę z czarnej koronki na podszewce z różowej satyny. Suknia była prosta, lecz nie pozbawiona kokieterii. Kiedy Jolanta była już ubrana, wstąpiła

do pokoju Aimee, żeby przekonać się, czy efekt końcowy zyska jej aprobatę.

- Bardzo ładnie - powiedziała jej gospodyni. - Ale nie ma porównania z tym, jak będziesz wyglądała jutro wieczorem. Myślę, że powinnaś założyć trochę biżuterii, bo tak prezentujesz się zbyt niewinnie.

- Nie wzięłam ze sobą nic bardzo okazałego. W kolekcji Beauharnais są wyjątkowo piękne klejnoty, ale znajdują się w banku. Obawiałam się, że babka mogłaby zacząć coś podejrzewać, gdybym chciała je wziąć ze sobą do Paryża.

- Co więcej, markiz mógłby je rozpoznać - dodała Aimee. - Musisz być bardzo ostrożna i nie dopuścić, żeby ktokolwiek dostrzegł jakiś związek między tobą i rodziną Beauharnais.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odpowiedziała Jolanta:

- Na dzisiejszy wieczór pożyczę ci mały diamentowy naszyjnik - rzekła Aimee. - Zawsze go zakładam do tej sukni i powinien bardzo ci się podobać.

To było za mało powiedziane. Naszyjnik wykonano z diamentów i z ogromnych czarnych pereł. Był to wspaniały oryginalny klejnot, podobnie jak dopasowana do niego bransoletka z takich samych kamieni. Kiedy Jolanta wkroczyła do salonu, gdzie czekał diuk, pomyślała: „Nie sposób mnie teraz wziąć za jeune fille”.

Spodziewała się oczywiście, że diuk jest atrakcyjnym mężczyzną i nie myliła się. Ten czterdziestopięcioletni człowiek był nie tylko przystojny, ale posiadał niezwykłą powagę i autorytet, które przypominały jej ojca. Miał także czar i odznaczał się kurtuazją właściwą tej generacji.

- Mademoiselle Lefleur, pozwoli pani, że ją powitam w Paryżu - rzekł. - Aimee mówiła mi, że jeszcze tu pani nigdy nie była.

Jolanta złożyła niski dworski ukłon.

- Tak, Wasza Książęca Mość. I to bardzo miło ze strony Aimee, że pozwoliła mi się zatrzymać u siebie w domu. Nie mogłam się doczekać przyjazdu do Paryża.

- Musimy zrobić wszystko co w naszej mocy, żeby panią zabawić i dołożyć starań, by Paryż wywarł na pani pozytywne wrażenie - powiedział diuk.

Kiedy prowadzili tę uprzejmą konwersację, Jolanta dostrzegła, że diuk z trudem odrywał wzrok od Aimee. Nie ulegało wątpliwości, był w niej głęboko zakochany, podobnie jak ona w nim. Gdy rozmawiali przy obiedzie, Jolanta doszła do wniosku, że trudno byłoby znaleźć dwoje ciekawszych i bardziej fascynujących ludzi. Diuk posiadał żywe poczucie humoru i wciąż rozśmieszał całe towarzystwo. Potrafił także mówić o wszystkim w bardzo zajmujący sposób. Jolanta nie dziwiła się więc Aimee, która słuchała go jak zaczarowana. Lecz i mademoiselle Aubigny wiele wносиła do rozmowy. Jej pogoda i joie de vivre (radość życia) roztaczały wokół niej blask niczym klejnoty, które miała na szyi i na przegubach. Była taka zachwycająca. Jolanta przyłapała się na tym, że ciągle patrzy na Aimee szeroko otwartymi oczami, a sama nie potrafi wymyślić i powiedzieć nic mądrego. Teraz zrozumiała, dlaczego madame Aubigny tak łatwo odniosła sukces w Paryżu i miała do dyspozycji tylu mężczyzn, z których każdy był gotowy ofiarować jej swój protektorat.

Niewątpliwie dokonała trafnego wyboru, pomyślała Jolanta i przyłapała się na tym, że zaczyna życzyć sobie śmierci żony diuka, aby ci dwoje, tak wspaniale dobrani do siebie ludzie, mogli wziąć ślub.

- Jolanta z niecierpliwością oczekuje twojego jutrzejszego przyjęcia - rzekła Aimee, zanim diuk poszedł do swojego domu.

- To przyjęcie jest twoje i dobrze o tym wiesz - odparł, a każde słowo było niczym pieszczota.

Aimee uśmiechnęła się do niego.

- Często zastanawiam się, ilu ludzi przyjęłoby moje zaproszenie, gdyby nie mieli pewności, że ty będziesz obecny.

- Dużo więcej niż przyjęłoby moje bez twojej obecności - odpowiedział i oboje wybuchnęli śmiechem.

Kiedy diuk poszedł, Jolanta zapytała:

- Nie chciałabym wydać się ciekawska, Aimee, ale czy gdyby mnie tutaj nie było, diuk zostałby z tobą?

Aimee uśmiechnęła się.

- Spędzamy razem wiele czasu, Ale diuk zawsze nalega, żebym nie łamała swoim postępowaniem obowiązujących konwenansów, nawet jeżeli ludzie zdają sobie sprawę z natury naszego związku.

Widząc zaintrygowanie Jolanty wyjaśniła:

- Diuk jest wielkim dżentelmenem. Pragnie chronić moją reputację, a jednocześnie móc roztaczać nade mną opiekę, bez obawy, że spadnę w oczach świata do pozycji kobiety, których prowadzenie się jest synonimem wszystkiego co pospolite i niemoralne.

- Rozumiem - rzekła Jolanta - wybacz mi moją ciekawość.

- Często wyjeżdżamy razem - mówiła dalej Aimee - na tydzień albo na kilka dni do posiadłości diuka pod Paryżem. Nie jest ona częścią majątku Cholet, tylko jego prywatną własnością.

Westchnęła lekko i dodała:

- Wtedy żyjemy tak, jakbyśmy byli małżeństwem, tak jak tego pragniemy. Ale tu, w Paryżu, on zachowuje swoją pozycję diuka, a ja występuję jako mądra, zabawna madame Aubigny, posiadająca słynny i uczęszczany salon.

Przerwała na moment i rzekła w zadumie:

- Ale który nie jest uznawany przez damy z Houte Societe (towarzystwo) jakie bywają na balach w Tuileries.

Wiedziona nagłym odruchem sympatii, Jolanta pochyliła się i pocałowała Aimee w policzek.

- Pewnego dnia - powiedziała - kiedy będziesz księżną de Cholet, wszyscy będą przychodzili na twoje przyjęcia. Co więcej, będą rwać włosy z głów i gryźć palce, jeżeli nie otrzymają zaproszenia.

- Może tak będzie, mam nadzieję - odparła Aimee. - Tymczasem nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała. Jestem bardzo szczęśliwa i nie wyobrażam sobie wspanialszego życia niż moje życie z diukiem.

Nazajutrz było tak dużo do zrobienia, że Jolanta nie miała czasu myśleć o czekającym ją wieczorem przyjęciu. Nie tylko musiała przymierzyć suknie u monsieur Floreta, była też u modystki, rękawicznika i szewca. Okazało się, że praktycznie wszystko, co posiada, albo nie jest wystarczająco modne, albo nie pasuje kolorem do jej nowych strojów. Kupiła między innymi kilka zachwycających małych parasolek do ochrony przed słońcem i Aimee obiecała, następnego dnia, już po pierwszym sensacyjnym pojawieniu się, przejażdżkę po Lasku Bulońskim.

- Przez ciebie zaczynam mieć tremę - zaprotestowała Jolanta. - Przypuśćmy, wszystko skończy się fiaskiem i nikt mnie nie zauważy. Co wtedy?

- O, zostaniesz zauważona - zapewniła ją Aimee. - Namówiłam diuka, żeby trochę powiększył przyjęcie. Do obiadu zasiądzie więc pięćdziesiąt osób, a wśród nich kilka dam, które wyobrażają sobie, że wiodą prym, jeśli chodzi o modę. Umrą z zazdrości, kiedy cię zobaczą.

- Mam nadzieję, że tak nie będzie - roześmiała się Jolanta.

- Nie masz pojęcia, jak wiele dla paryżanki znaczy wyglądać bardziej szykownie niż inne kobiety - powiedziała Aimee. - Z sukien, które tutejsze damy kupują, aby ich nigdy nie założyć, można by zbudować tamę na Sekwanie.

- Kiedy kupowałam stroje przed wyjazdem do zamku, byłam zaskoczona wysokimi cenami - rzekła Jolanta.

- Co roku robi się coraz gorzej - przyznała Aimee. - Ale pieniądze straciły już znaczenie za sprawą takich kobiet jak La Paiva i Hortense Schneider.

Jolanta wiedziała tylko, że Hortense Schneider jest aktorką i zdobyła sławę rolą w operetce „Wielka Księżna Gerolstein”. Jakby zgadując zainteresowanie Jolanty tą kobietą, Aimee powiedziała:

- Jej garderoba w teatrze Variete stała się miejscem spotkań głów państw i zagranicznych dygnitarzy, przyjeżdżających na wystawę. Mówiono mi, że król Grecji i Leopold, król Belgii są tam każdego wieczora, przyglądając się, jak Hortense Schneider nakłada makijaż.

- Czy ona jest dobrą aktorką? - zapytała Jolanta. Aimee wzruszyła ramionami i odparła:

- Z pewnością cieszy się powodzeniem. Może nawet większe sukcesy odnosi w swojej drugiej, a raczej pierwszej profesji kurtyzany. Mówiono mi, że książe Walii już listownie zamówił bilety na jej przedstawienia. Opowiem ci dość zabawną anegdotę na temat tej damy,

- Jaką?

- Przedwczoraj - rzekła Aimee - madame Schneider postanowiła odwiedzić wystawę na Polach Marsowych. Kiedy jej kareta zajechała, próbowała wejść przez Bramę Jeńską, zarezerwowaną wyłącznie dla koronowanych głów.

- I co się stało? - spytała Jolanta.

- Kiedy strażnicy uparcie zagradzali jej drogę, krzyknęła władczo: „Proszę zrobić przejście! Jestem wielką księżną Gerolstein!” - Aimee roześmiała się i dokończyła: - W prawdziwie paryskim stylu strażnicy zdjęli czapki i pozwolili jej przejść. To rzeczywiście daje pojęcie, jaką popularnością cieszy się Hortense Schneider.

- O tam - przyznała Jolanta. - Chciałabym zobaczyć ją na scenie.

- Musimy się wybrać do teatru któregoś wieczora. Albo może ktoś inny cię zabierze.

Jolanta nic nie odpowiedziała. Możliwość spędzenia wieczoru w teatrze z mężczyzną to była rzecz niesłychana. Wyobraziła sobie, jak by na coś takiego zareagowała babka.

Aimee przewidywała pomyślny rozwój jej ewentualnej znajomości z markizem i miała nadzieję, że to Leo pokaże Jolancie wspaniałości Paryża, a między nimi także Hortense Schneider. Jolanta o tym doskonale wiedziała.

Sądziła także, że przed przyjęciem razem z Aimee pojedą do domu diuka na Polach Elizejskich. Myliła się jednak.

- Ja będę tam jeszcze przed przybyciem gości - oznajmiła Aimee. - Ale nie chcę, by cię widziano ze mną, tylko chcę, byś pojawiła się, kiedy wszyscy goście już przyjadą.

Jolanta spojrzała na nią ze zdumieniem, więc Aimee wytłumaczyła:

- To tylko kwestia odpowiedniego rozłożenia wszystkiego w czasie, a żebyś stała się sensacją, tak jak planowałyśmy, musisz zrobić odpowiednie wejście.

- To brzmi, jakbyś aranżowała mój występ na scenie.

- Bo to właśnie robię - odpowiedziała Aimee. - Dzisiaj przeżyjesz swoją wielką chwilę, w której oczy wszystkich będą zwrócone na ciebie. Żałuję, że nie mam oddziału doboszy, żeby werbel mógł obwieścić twoje wejście.

- I bez tego mam tremę - roześmiała się Jolanta.

- Pamiętaj, że jedyna osoba, która naprawdę się liczy, to markiz - rzekła Aimee. - On musi cię zauważyć, a trzeba ci wiedzieć - wszystkie kobiety obecne na przyjęciu będą się starały najlepiej, jak tylko potrafią, przyciągnąć jego uwagę i zatrzymać go wyłącznie dla siebie.

- Czy on rzeczywiście jest aż tak pociągający? - spytała Jolanta, a w jej głosie zabrzmiała nutka cynizmu.

- Poczekaj, a zobaczysz - brzmiała enigmatyczna odpowiedź.

Przed wyjściem do domu diuka Aimee wstąpiła do sypialni Jolanty. Dziewczyna w istocie wyglądała zupełnie inaczej niż jeune filie, która przyjechała do Paryża poprzedniego dnia. Nawet sama przed sobą Jolanta musiała przyznać, że wygląda i intrygująco, i pięknie. Właśnie odwróciła się od lustra, kiedy Aimee weszła, popatrzyła na nią z oddalenia i klasnęła w dłonie.

- Ta suknia c'est ravissante (jest zachwycająca)! - wykrzyknęła. - A ty, moja droga, wzejdziesz jak nowa gwiazda na firmamencie i cały Paryż oszaleje na twoim punkcie.

- Nie jestem pewna, czy w ogóle się pojawię - odpowiedziała Jolanta. - Mam tremę przed premierą i serce bije mi jak na alarm!

- To doskonale! - odpowiedziała Aimee - Tylko osoba zupełnie wyzuta z wrażliwości i uczuć mogłaby dokonać tego, co ty zrobisz dziś wieczorem, i pozostać niewzruszona.

- Mam tylko nadzieję, że nie poniosę klęski po tych wszystkich trudach, jakie dla mnie podjął.

- Tak się nie stanie - uspokoiła ją Aimee. - Przyniosłam tu klejnoty, które chcę, żebyś założyła.

- A powiedziałaś Felixowi, że nie będę miała na sobie żadnej biżuterii.

- Chciałam, żeby ozdobił twoją fryzurę tylko trzema czerwonymi różami - odpowiedziała Aimee. - I muszę przyznać, zrobił to znakomicie.

Koafiura Jolanty istotnie była dziełem sztuki. Inteligentne czoło dziewczyny zostało wyeksponowane, a włosy były zaplecione na kształt aureoli i na dole spięte w masywny kok.

Pod pieczołowicie dobranym kątem fryzjer wpiął we włosy trzy wspaniałe, właśnie rozkwitające róże. Kwiaty miały tę samą krwistą barwę co suknia, którą Jolanta założyła na ten wieczór. Purpurowa miękka materia poczynając od talii spływała falami aż do ziemi niczym wodospad. Na brzegu dekoltu i na ramionach były kokieteryjne falbanki z czerwonej koronki, przez które przeświecała mlecznobiała skóra. Niezwykłość kroju sukni polegała na tym, że z przodu ukazywał zarys doskonałej figury Jolanty, przywodzący na myśl klasyczne proporcje greckich rzeźb. Jednocześnie spiętrzenie materii z tyłu robiło wrażenie, jakby powiew wiatru zdmuchnął obfitą krynolinę. Cała suknia miała dynamiczny wdzięk fal ciągnących się na wodzie za ozdobnym dziobem statku.

Po raz pierwszy w życiu Jolanta zdała sobie sprawę, jak biała i jedwabista jest jej skóra i jak wielkie i tajemnicze mogą stać się jej ,oczy ponad czerwonymi wargami.

Aimee otworzyła trzymaną w dłoni szkatułkę i Jolanta zobaczyła naszyjnik z wielkich i pięknych rubinów, z których każdy miał blask płomienia.

- Oto czego ci było trzeba.

- Są wspaniałe! - zawołała Jolanta. - Ale czy ludzie nie będą się dziwić, że posiadam coś tak cennego?

- Będą się zastanawiać, od kogo je dostałaś i prześcigiwać się w domysłach przez cały wieczór - odpowiedziała Aimee. Ona sama ubrała się w swoją nieodmienną czerń, ale założyła szmaragdowe długie klipsy i kolie. Jolanta popatrzyła na nią i powiedziała:

- Aimee, wyglądasz tak pięknie. Niepokoję się, że nikt na mnie nawet nie spojrzy, jeżeli ty tam będziesz.

- Dzisiaj wieczorem będą patrzeć na ciebie - zapewniła ją Aimee. - Ale wierz mi, pozwolę diukowi rozmawiać z tobą

tylko kilka minut. Potem postaram się, żeby zadowalał się wyłącznie moim towarzystwem.

- Twoja pozycja jest zupełnie bezpieczna - rzekła Jolanta.
- Kiedy jesteś w pobliżu, nie potrafię oderwać od ciebie oczu, podobnie jak diuk.

- Pochlebiasz mi - uśmiechnęła się Aimee. - Moja droga, życzę ci na dzisiejszy wieczór wszystkiego, co pragniesz osiągnąć. Mam nadzieję dowiedzieć się jutro od ciebie, że nasza maskarada przyniosła oczekiwane owoce.

- Będzie, co będzie - powiedziała do siebie Jolanta, kiedy samotnie jechała do domu diuka na Polach Elizejskich, opuściwszy rue du Faubourg Saint - Honore kilka minut po Aimee, jak było zaplanowane.

Ozdobione okazałym portykiem wejście do posiadłości diuka, lokaje w olśniewających zielono - złotych liberiach i wysoki, przestronny hall wywarły na niej ogromne wrażenie. Salon wypełniały dzieła sztuki, kosztowności i cenne meble, jednak nie zdążyła im się przyjrzeć w drodze do zimowego ogrodu, gdzie, jak jej powiedziano, wszyscy goście mieli się zebrać przed obiadem.

- Do zimowego ogrodu prowadzą schody w dół - powiedziała jej Aimee. - Stań na ich szczycie na chwilę i rozejrzyj się, jakbyś szukała mnie wzrokiem wśród gości. Potem zjeżdż po nich naprawdę powoli, aby wszyscy mogli przyjrzeć się i tobie, i twojej sukni.

Teraz, gdy ta chwila nadeszła, Jolanta poczuła skrepowanie i lęk. Nagle zapragnęła uciec, wrócić do zamku i poznać markiza na początku przyszłego miesiąca zgodnie z wolą babki. Dlaczego miałyby z jego powodu ponosić takie ofiary? Jednak miała świadomość, że przyjechała do Paryża i udaje kogoś, kim nie jest, dla własnego dobra.

Muszę poznać prawdę o nim, pomyślała, muszę zobaczyć go takim, jakim jest, nie takim, jakiego będzie odgrywał, żeby drogą małżeństwa zdobyć zamek i posiadłości Beauharnais.

Usłyszała głosy i śmiechy. Przystanęła na chwilę przed lustrem w połączanej ramie, by upewnić się, że wszystko w jej kreacji jest jak należy. Dotknęła dłonią rubinowego naszyjnika, jakby mógł dodać jej sił.

Mówi się, że rubiny przynoszą szczęście, pomyślała, a szczególnie osobom, którym są przypisane w gwiazdach.

Ona urodziła się w lipcu i dlatego rubin był jej szlachetnym kamieniem. To dobry znak, że Aimee, nie wiedząc o tym, wybrała dla niej purpurową suknię.

Szambelan czekał, ażeby zaanonsować jej przybycie, ale ona jeszcze się ociągała. Musnęła lekko delikatny róż na policzkach i zauważyła, że także jej wargi są teraz barwy rubinów. Zapragnęła nadać i swoim oczom taki ognisty blask, żeby nie można było w nich wyczytać strachu, który żelaznymi kleszczami ścisnął serce. Dotykając policzka poczuła, jak lodowato zimne są jej dłonie. Wreszcie z powrotem włożyła rękawiczkę i idąc naprzód, bez słów dała szambelanowi znak, że jest gotowa, a potem w ślad za nim przeszła przez drzwi zasłonięte kunsztownie udrapowaną kotarą.

- Mademoiselle Lefleur, Wasza Książęca Mość! - oznajmił szambelan i Jolanta zrobiła parę kroków, jakby z trudnością odrywając się od miejsca, w którym stała. Przez ułamek sekundy zawirowały jej przed oczami liście i kwiaty, egzotyczne ptaki w klatce i barwnie ubrani ludzie, sami podobni do rozewierkanych ptaków. Rozejrzała się dookoła, ale z przerażeniem stwierdziła, że nie jest w stanie skoncentrować na niczym wzroku i nie może wyłowić Aimee spośród obecnych kobiet. Powoli, uważając na tren, który z wolna zsuwał się za nią, zeszła ze schodów. Gdy dotarła na

dół, nagle wyrósł przed nią diuk. Złapała się jego wyciągniętej na powitanie ręki, jak tonący chwyta rzuconą mu linę.

- Witamy, mademoiselle Lefleur - powiedział diuk. - Cieszę się, że panią tu widzę.

Poprowadził ją dalej. Pojawiła się Aimee, całując ją lekko w policzek.

- Doskonale to zrobiłaś - szepnęła. Jolanta zmusiła się do uśmiechu.

- Chcę cię przedstawić tylu osobom - mówiła Aimee - ale najpierw musisz poznać moją drogą przyjaciółkę, hrabinę de...

Nazwisko nie pozostało Jolancie w pamięci dłużej niż nazwiska następnego prawie tuzina dam, którym ją przedstawiono. Wreszcie Aimee powiedziała:

- Teraz przedstawię cię Jego Cesarskiej Wysokości, księciu Napoleonowi!

Jakby za podszeptem doświadczonego scenarzysty, Jolanta skłoniła się nisko przed człowiekiem, który stanął naprzeciw niej. W świetle wszystkiego, co słyszała, powierzchowność księcia Napoleona rozczarowała ją. Kiedy słuchała, jak ojciec czytał jego przemówienia, wyobrażała sobie, że ich autor jest wysokim i przystojnym mężczyzną. W rzeczywistości był stosunkowo niewielkiego wzrostu. Miał charakterystyczną twarz, która jednak nie była urodziwa.

- Jak pan znalazł coś tak niezrównanego? - zapytał diuka ksiązę Napoleon. - Oto gwiazda, która jeszcze nigdy nie zaświeciła na nieboskłonie Paryża!

- Mademoiselle Lefleur jest przyjaciółką Aimee - wyjaśnił diuk.

- To panią więc wypada mi łąać, madame - powiedział ksiązę. - Albo może powinienem zamiast tego podziękować pani z głębi serca za przedstawienie mi tak pociągającej kobiety?

- Wasza Cesarska Wysokość mnie onieśmiela - odezwała się Jolanta, wiedząc, że należy coś odpowiedzieć.

- Zatem w dalszym ciągu będę się starał, żeby czuła się pani onieśmielona - zapewnił ksiązę, a wyraz jego oczu zwiastował niebezpieczeństwo.

Aimee w pośpiechu przedstawiła Jolancie sławnego autora sztuk teatralnych. Potem zniechęca Jolanta usłyszała słowa, które wprowadziły ją w popłoch:

- A teraz musisz poznać mego starego przyjaciela, markiza de Montereau.

Przez chwilę Jolancie zdawało się, że twarz mężczyzny stojącego przed nią rozplywa się w powietrzu, nie można rozróżnić jej wyrazu ani rysów. Potem ujrzała dwoje ciemnych oczu patrzących w jej własne i przekonała się, że w rzeczywistości markiz jest inny, niż się spodziewała.

Aimee zaczęła tłumaczyć, jak to Jolanta właśnie dopiero co przyjechała do Paryża i jak od lat są one przyjaciółkami. Ale Jolanta myślała tylko o tym, że ma przed sobą najdziwniejszą i najbardziej niepospolitą twarz, jaką kiedykolwiek widziała. Markiz był nie tylko przystojniejszy i wyższy, niż oczekiwała. To przede wszystkim jego twarz zadziwiała i frapowała swoją ekspresją. W oczach igrały isierki, a na ustach błąkał się uśmiech, jakby życie było jednym wielkim żartem i branie czegokolwiek poważnie nie wchodziło w grę. Jednocześnie lekki grymas nadawał całej twarzy kpiący wyraz i Jolancie nagle wydało się, że markiz przejrzał ich plany i wiedział, że „sensacyjne pojawienie się mademoiselle Lefleur było starannie zaplanowane i wszystko to niezmiernie go ubawiło.

- Moja przyjaciółka mogła do mnie przyjechać tylko na krótko - mówiła właśnie Aimee. - Więc diuk i ja obiecaliśmy pokazać jej wszystkie atrakcje Paryża, żeby przy końcu swej wizyty mogła naprawdę zateęsknić na życiem na wsi.

- Mam nadzieję, iż wolno mi będzie dopomóc państwu w tym przerażającym zadaniu - odpowiedział markiz.

Aimee roześmiała się.

- Ciebie nie braliśmy pod uwagę w naszych planach, wiedząc, jak przepełniony jest twój kalendarz.

- Umówione spotkania są po to, by je odwoływać.

- Wobec tego mam nadzieję, że możemy na tobie polegać - rzekła Aimee - mimo wiedzy o twojej reputacji.

- To oszczerstwo - zaprotestował markiz. - Ukazujesz mnie mademoiselle Lefleur w fałszywym świetle.

Popatrzył na Jolantę i rzekł:

- Proszę nie słuchać tego, co mówi pani przyjaciółka. Zapewniam panią, że można na mnie polegać i jeżeli coś obiecuję, dotrzymuję słowa. Chciałbym, jeśli mi pani pozwoli, pokazać pani Paryż.

- Nie słuchałabym tego na twoim miejscu - ostrzegła Aimee. - Jutro rano Leo przypomni sobie tysiąc różnych powodów, dla których nie będzie mógł dotrzymać obietnicy danej dziś wieczorem.

- No cóż - powiedziała Jolanta - postaram więc nie cieszyć się w oczekiwaniu na coś, co może nigdy nie nastąpić.

- Jesteś dziś dla mnie bardzo niełaskawa, Aimee - poskarżył się markiz. - Co takiego uczyniłem, że wpisałaś mnie do swojej czarnej księgi?

- Ty nigdy w niej nie figurowałeś, Leo - odpowiedziała Aimee. - Troszczę się jedynie, by Jolanta dobrze bawiła się i była zadowolona ze swego pobytu tutaj.

- Możesz więc na mnie polegać - przyrzekł markiz.

- To się okaże - odparła Aimee enigmatycznie, po czym umyślnie odciągnęła Jolantę, aby przedstawić ją pozostałym gościom. Tymczasem Jolanta zdała sobie sprawę z niecierpliwości, z jaką oczekuje na następną okazję do rozmowy z markizem. Na szczęście mogła się zdać na Aimee.

Kiedy zasiadali do kolacji, okazało się, że miejsce Jolanty sąsiaduje z miejscem markiza.

- Mam nadzieję, że nie wzięła pani poważnie tych niegodziwych oszczerstw naszej wspólnej przyjaciółki - powiedział markiz na wstępie.

- Zawsze znałam Aimee jako osobę bardzo prawdomówną - odpowiedziała przekornie Jolanta.

- Nikt nie ośmieliłby się okłamywać pani - odrzekł markiz z udaną powagą.

Żartowali tak i spierali się przez cały czas trwania kolacji. Jolanta była ubawiona zręcznością, z jaką markiz posługiwał się słowami. Potrafił podchwycić zdanie, które wypowiedziała, i obrócić je przeciwko niej. Jednocześnie jego niezrównany dowcip sprawiał, że niemal wbrew własnej woli wybuchała śmiechem.

Jolanta nie potrafiła sprecyzować opinii na temat markiza. W każdym razie rozumiała, dlaczego bawi ludzi dookoła siebie i dlaczego niektórzy z panów siedzących w pobliżu raz po raz zwracali się do niego: „A ty co o tym myślisz, Leo? Czekaliśmy aby usłyszeć twoje zdanie”.

Mężczyźni z całą pewnością cenili jego poglądy i pragnęli, żeby brał udział w ich rozmowach. Natomiast kobiety, jak zauważyła, odnosiły się do markiza zupełnie inaczej. Ich oczy wyrażały jawne zaproszenie i Jolanta pomyślała z pogardą, że jej nowy znajomy rzadko, a nawet nigdy takim zaproszeniom nie odmawia.

Do kolacji zasiadało niemal tylu panów, co pań, ale kiedy przeszli do dużego i bardzo pięknego salonu, przybyło jeszcze wielu gości, tym razem większość stanowili mężczyźni.

Duże oszklone drzwi otwierały się na taras, z którego prowadziły stopnie do reprezentacyjnego ogrodu. Noc była bezwietrzna i ciepła. Damy okrywały dekolty sukien powiewnymi szalami i schodziły w stronę oświetlonych

trawników. Przechadzano się pod drzewami, na których wisiały bajecznie kolorowe chińskie lampiony. Na środku ogrodu tryskała fontanna oświetlona tak, że woda wzbijająca się w niebo wyglądała jak złoty pióropusz. Panował bardzo romantyczny nastrój i zanim Jolanta zdążyła się zorientować, już znalazł się u jej boku książę Napoleon.

- Proszę mi opowiedzieć o sobie - poprosił. - Jest pani taka piękna. Dlatego po dzisiejszym wieczorze cały Paryż będzie chciał z panią rozmawiać i wątpię, czy mnie nadarzy się jeszcze taka okazja - mówił z pewnością siebie i zarozumiałością właściwą mężczyznom, którym łatwo przychodzi zdobywanie względów płci pięknej.

- Moje życie nie jest specjalnie zajmujące - odpowiedziała Jolanta. - Ale bardzo bym chciała dowiedzieć się czegoś o pańskim. Mój ojciec czytywał mi pana przemówienia. Zawarte w nich wezwanie do demokracji w tym kraju, który właśnie od niej odszedł, brzmiały jak dzwon na trwogę.

Książę Napoleon był zaskoczony.

- Nie przypuszczałem, że taka śliczna osoba jak pani czyta, a tym bardziej rozumie moje przemówienia.

- Myślę, że pan bagatelizuje swoje znaczenie w naszym kraju, monsieur.

Książę popatrzył teraz na nią w zupełnie inny sposób.

- Więc pani jest kobietą nie tylko wspaniałej urody, ale i wyjątkowego umysłu - stwierdził. - Cóż za druzgocąca kombinacja!

- Mam nadzieję, że pan się nie myli - odparła Jolanta z uśmiechem.

Książę w odpowiedzi pochylił się nad nią i byłby powiedział coś bardzo poufalego, ale w tej właśnie chwili podeszła do niego Aimee.

- Proszę mi wybaczyć, monsieur - powiedziała - ale właśnie przybył ambasador Watykanu i koniecznie chciałby

zamienić parę słów z Waszą Cesarską Wysokością. Przynależała mi się za nim wstawić.

Kiedy księżę trochę niechętnie słuchał słów Aimee, ktoś powiedział do Jolanty:

- W rzeczy samej, po królewsku rozpoczyna pani swój podbój Paryża.

Niemal rozpoznała kpiący głos markiza de Montereau. Kiedy odwróciła się w jego stronę, ku jej osłupieniu zdecydowanym ruchem wziął ją za ramię i odciągnął w cień krzaków białego bzu. Zanim zdążyła zaprotestować, wyjaśnił rzeczowo:

- Aimee uważa, że księżę nie jest osobą, w towarzystwie której powinna pani poznawać Paryż.

- Ależ dlaczego? - spytała Jolanta niewinnie, w rzeczywistości doskonale wiedząc, dlaczego Aimee starała się nie dopuścić do jej bliższej znajomości z księciem.

- Nasza przyjaciółka jest zdania, że jako przewodnik ja będę dużo bardziej godnym zaufania - odparł markiz. - Więc nie zwlekając chciałbym zapytać panią, mademoiselle Lefleur, czy pozwoli mi pani zabrać się jutro rano na przejażdżkę?

- Czy Aimee mówiła panu, że jutro rano jesteśmy wolne?

- Aimee, mimo mojego ubóstwienia dla niej, to zaproszenie nie dotyczy. Mój powozik jest ciasny i znajdzie się w nim miejsce tylko dla dwojga.

Jolanta zawahała się. Nie chciała okazywać zbytniego entuzjazmu, chociaż wiedziała, że to zaproszenie stwarzało okazję do rozmowy i dowiedzenia się o markizie czegoś więcej.

- Milczenie oznacza zgodę - powiedział markiz. - Przyjadę po panią o dziesiątej.

- Ale, mówiąc szczerze, umówiłam się już wcześniej na przejażdżkę po Lasku Bulońskim z Aimee.

- Ja tam panią zawiozę. Jestem gotów poświęcić się i wziąć udział w tym pokazie mody, jeżeli tego pani sobie życzy.

- Gdybym mogła wybierać - powiedziała Jolanta - wolałabym zobaczyć chociaż część miasta.

- Czy to prawda, że nigdy tu pani nie była?

- Oczywiście. Przecież Aimee powiedziała to panu.

- W jaki sposób może więc pani tak wyglądać? - zapytał markiz.

Jolanta nie odpowiedziała, a on mówił dalej:

- Czy pani wie, że wszystkie obecne tu dzisiaj damy będą jutro rano pukały do drzwi Wortha, zanim ten zdąży się obudzić?

- Dlaczego? - zapytała Jolanta.

- Nie muszę pani mówić dlaczego - odparł markiz. - Pani suknia jest sensacją. Z drugiej strony zdaje się, że cokolwiek by pani założyła, będzie wyglądało inaczej niż na zwyczajnej kobiecie.

Jolanta w dalszym ciągu nic nie mówiła, a wtedy markiz zapytał znienacka:

- Kim pani jest? Jak pani mogła pojawić się niczym meteor z innego wszechświata i wprowadzić nas wszystkich w taką konsternację?

- Czy naprawdę chce pan otrzymać odpowiedź na to pytanie?

- Nie tylko chcę, ale jestem zdecydowany ją otrzymać! - odparł. - A kiedy zdecyduję się coś zdobyć, zapewniam panią, zawsze mi się udaje.

ROZDZIAŁ 4

Tu jest tak pięknie! - powiedziała Jolanta, kiedy jechali szerokimi bulwarami w stronę placu Zgody.

- Tak - odrzekł markiz. - Tu nastąpiło przeobrażenie z niemal średniowiecznego miasta brudnych podwórek i wąskich uliczek. Wizja cesarza została zadziwiająco dobrze wprowadzona w życie przez barona Hussmaua.

Mówił to wszystko z nutą podziwu w głosie. Jolanta niemal bezwiednie powiedziała:

- Brzmi to tak, jakby pan podziwiał cesarza.

- Z pewnością podziwiam jego dokonania - odpowiedział markiz.

- A co pan o nim sądzi jako o człowieku? Uśmiechnął się.

- Myślę, że mogę pozostawić pani ocenę Jego Cesarskiej Wysokości jako człowieka, ponieważ nie wątpię, że pozna go pani osobiście podczas swego pobytu w Paryżu.

- A z jakiego powodu pan tak sądzi? - zapytała Jolanta.

Markiz uśmiechnął się i Jolanta pomyślała, że znowu z niej drwi.

- Pani nagłe pojawienie się na wczorajszym przyjęciu - odparł - zazdrość kobiet, nie mówiąc o podziwie mężczyzn - wszystko to na pewno zostało zrelacjonowane cesarzowi przy śniadaniu.

- Myślę, że pan mi schlebia - powiedziała Jolanta.

- Nazwę panią hipokrytką, jeżeli spróbuje pani zarzucić mi mówienie nieprawdy - ostrzegł markiz.

Jechali dalej, podziwiając nowe budowle, połyskujące fontanny, zapierającą dech w piersiach wspaniałość Pól Elizejskich. Myśli Jolanty koncentrowały się wyłącznie na osobie markiza. Ostatniego wieczora sądziła, że nie jest on nikim więcej niż żądnym uciech bywalcem przyjęć, tak jak się tego spodziewała. Co prawda próbował z nią spokojnie porozmawiać w ogrodzie, ale co chwila przerywały im różne

kobiety. Zapraszały go w odwiedziny do swych domów, na przyjęcia, na spotkania. Każda z nich próbowała skierować na siebie całą jego uwagę.

To właśnie mu odpowiada, pomyślała Jolanta z pogardą i poszła spać pewna swej opinii o tym człowieku, zgodnej zresztą z wcześniejszymi przewidywaniami.

Tymczasem tego ranka markiz wydawał się jakiś inny. Kiedy pokazywał jej Paryż, powożąc z mistrzostwem, którego, sama będąc ekspertem w tej dziedzinie, nie mogła nie docenić, jego głos brzmiał poważnie, inaczej niż na przyjęciu.

- W Paryżu jest tak wiele rzeczy, które chciałbym pani pokazać - mówił - nie tylko wspaniałą nową Operę i pałac Tuileries, ale także miasto ludu: zabawy taneczne, gromadzące panny sklepowe i robotników, które tętnią życiem i spontanicznością, jakiej nie znajdzie pani na oficjalnych przyjęciach.

- Chciałabym poznać i to oblicze Paryża - przyznała Jolanta.

- Czy pani mówi szczerze? - zapytał markiz z powątpiewaniem. - Zaproponowałem to tylko dlatego, aby się dowiedzieć, jaka będzie pani reakcja. Jestem prawie pewien, że nudziłaby się pani w takim miejscu.

- A dlaczego pan tak myśli? - zapytała ostro.

- Na pewno tamten świat różni się od wszystkiego, / czym dotychczas miała pani do czynienia.

- Z góry zakłada pan na mój temat wiele rzeczy, które mogą się okazać nieprawdziwe - zaprotestowała Jolanta.

- Więc proszę powiedzieć mi prawdę - odparł. Nie odpowiedziała na to ani słowa.

- Pani jest bardzo zagadkowa i tajemnicza - rzekł markiz po chwili. - Czy to poza, czy ma pani po temu jakiś powód?

- Pytanie wydaje mi się bardzo nietaktowne. Markiz roześmiał się.

- Nie chciałem, żeby tak zabrzmiało. Po prostu pani mnie interesuje.

Jolanta miała ochotę odpowiedzieć: „Podobnie jak interesują pana wszystkie kobiety”, ale zamiast tego rzekła z udaną skromnością:

- Doskonale rozumiem, jaki to dla mnie zaszczyt, że spędza pan ze mną tak wiele czasu i okazuje mi pan tyle zainteresowania.

- Teraz jest pani sarkastyczna.

- Ależ, jak pan sam mawia... to prawda. Gazety docierają nawet do nas, na wieś. Pana nazwisko widnieje wśród nazwisk gości przy każdej godnej uwagi okazji.

- Czy wolno mi spytać, dlaczego pani interesuje się moją osobą? - spytał markiz z przekąsem.

Jolanta spostrzegła, że jest o włos do zdradzenia swego sekretu, więc szybko odpowiedziała:

- Zawsze interesowali mnie przyjaciele Aimee, a ona często pana wspominała.

- Aimee jest wyjątkowo mądrą kobietą - powiedział markiz. - Nikt inny będąc w jej sytuacji nie potrafiłby grać swojej roli z taką godnością i taktem.

Przerwał na chwilę. Potem, odwracając twarz, tak aby spojrzeć na Jolantę, zapytał:

- Czy pani także by tego chciała? Salonu i protektora równie bogatego i znakomitego jak diuk?

Przez sekundę to pytanie wydało się Jolancie obraźliwe. Jednak od razu przypomniała sobie, że biorąc pod uwagę jej makijaż, wyjazd na spacer sam na sam z mężczyzną po tak krótkiej znajomości, sam fakt bycia przyjaciółką Aimee, można było przypisać jej zachowaniu tylko tę jedną interpretację. Tego przecież chciała i oto osiągnęła swój cel. Jednocześnie doznała szoku, kiedy zrozumiała, w jaki sposób o niej myślał.

Po jakimś czasie rzekła:

- Nie podjęłam jeszcze decyzji co do mojej... przyszłości.
- Więc ma pani jakąś inną możliwość niż zdobycie szturmem stolicy?

- Mogę... wyjść za męża.

- No cóż, łatwo zgadnąć, że istnieje taka możliwość - zgodził się markiz. - I odnoszę wrażenie, że przyjechała pani do Paryża, żeby w spokoju zdecydować, czy odpowiedzieć „tak” czy „nie”.

On jest zadziwiająco przenikliwy, pomyślała Jolanta i po chwili rzekła:

- Nie chce mówić o sobie. Proszę mi lepiej opowiedzieć, jak wyglądał Paryż, zanim zburzono połowę domów.

- Czy naprawdę panią interesuje to, że w 1851 roku w całym mieście było tylko osiem kilometrów kanalizacji i warunki sanitarne stanowiły przyczynę nienaturalnie wysokiej liczby zgonów?

Znowu z niej drwił. Ale Jolanta tylko się roześmiała.

- Może to wydaje się dziwne, ale takie sprawy mnie interesują - odpowiedziała - czytałam sporo książek, które opisują osiemnastowieczny Paryż. Myśl o tym, w jakich warunkach żyła biedota, napawa mnie trwogą!

- Dla wielu ludzi warunki życia nie zmieniły się - rzekł markiz. - Teraz zastanówmy się. Ta elegancka suknia, którą pani miała na sobie wczoraj, musiała kosztować jakieś tysiąc sześćset franków, podczas gdy szwaczka zarabia przeciętnie trzy franki tygodniowo!

- Próbuje pan zniszczyć moje dobre samopoczucie - odpowiedziała Jolanta oskarżycielsko. - A gdyby kobiety takie jak ja nie zamawiały sukien, setki szwaczek straciłyby pracę.

Ta dyskusja wprowadziła ją w stan dziwnego podekscytowania. Wreszcie markiz odwiózł ją na rue du

Faubourg Saint - Honore. Kiedy zajeżdżali przed wejście, zapytał:

- Czy zechce pani zjeść ze mną kolację dziś wieczorem?

Jolanta zawahała się. Miała przemożną ochotę przyjąć zaproszenie. Jednocześnie nie chciała dać markizowi powodów do obaw, że zamierza go usidlić, tak jak wiele innych kobiet. W końcu powiedziała sobie, że to, co markiz pomyśli o jej zachowaniu i tak nie pociągnie za sobą żadnych konsekwencji. Już prawie podjęła decyzję, iż nie wyjdzie za niego, a im prędzej utwierdzi się w swoim przekonaniu i wróci do zamku, żeby stawić czoło babce, tym lepiej.

- Dziękuję - powiedziała. - Czy mam przyjść w wieczorowej sukni, czy zabierze mnie pan na tańce do dzielnicy biedoty?

- Tam wybierzemy się następnym razem - uśmiechnął się markiz. - Dzisiaj wieczorem chciałbym z paną porozmawiać.

- O czym?

- Czy pani musi mnie pytać? - odparł z lekkim skrzywieniem ust. - A ponieważ naprawdę zamierzam z panią spokojnie porozmawiać, więc nie pojedziemy do Cafe Anglais ani do żadnego innego zatłoczonego lokalu. Zjemy kolację w Grand Vefour. Jeżeli pani nie słyszała o tym miejscu, proszę zapytać Aimee.

Gdy Jolanta rzeczywiście zapytała Aimee, ta klasnęła w dłonie.

- Więc zaplanował kameralną kolację z tobą! - wykrzyknęła. - O to nam chodziło. Teraz będziesz mogła przekonać się, jaki naprawdę jest. Nie mogłabyś tego zrobić w restauracji pełnej ludzi ani kiedy jest zajęty powożeniem.

Aimee powiedziała Jolancie, że Grand Vefour znajduje się w byłym pałacu królewskim, który książę Orleanu, jeden z ojców rewolucji, przekształcił w kompleks sklepów,

restauracji i salonów gry, gdzie w ciągu jednej nocy można wygrać fortunę.

- Osobliwością Grand Vefour jest to, że nie wprowadzono tam żadnych zmian od czasów rewolucji - powiedziała Aimee.

- Mają też wyśmienitą kuchnię i tam chodzi się, kiedy chce się być z kimś sam na sam.

- Co mam założyć? - zapytała Jolanta.

Nie trzeba dodawać, podjęcie decyzji w tak ważnej kwestii musiało zająć dużo czasu.

Kiedy Jolanta w końcu weszła do salonu, gdzie czekał na nią markiz, miała na sobie suknie od Pierre'a Floreta, która jeszcze piękniej harmonizowała z jej urodą niż ta purpurowa. Była o wiele skromniejsza, uszyta z tkaniny o bladozielonym odcieniu wiosennych liści, który odbijał się w jej oczach i sprawiał, że skóra Jolanty wyglądała jak aksamit. Spódnica miała ten sam obfity kształt z tyłu, spływający kaskadą drobnych falbanek. Jolanta zdawała się zwiewna niczym nimfa wyłaniająca się z fal Sekwany.

Na myśl o czekającym ją wieczorze czuła nieznane dotąd podniecenie, ale w jej oczach widoczny był także cień lęku. Przecież nigdy przedtem nie była sama na kolacji z mężczyzną. Coś takiego wydało się wręcz nieprzyzwoite. Własna śmiałość przerażała ją.

Markiz, wyjątkowo elegancki i, jak pomyślała Jolanta, nieco mniej kpiący niż zazwyczaj, przez chwilę stał nieruchomo nie odrywając od niej wzroku. Potem zbliżył się i podniósł jej dłoń do swoich warg.

- Milion mężczyzn musiało pani mówić, że jest pani bardzo piękna - rzekł. - I jako milionowy pierwszy mogę tylko stwierdzić, że ten przymiotnik nie jest wystarczający.

- Zgaduję, że ma pan dużą wprawę w mówieniu takich miłych rzeczy - odparła Jolanta. - Ale przyznaję, słucham ich z przyjemnością.

- Dlaczego? - zapytał markiz.

- Ponieważ w Paryżu bałam się zatracenia swojej indywidualności. Wszystko, co słyszałam o tym mieście, było takie przytłaczające. Spodziewałam się, że przyjdzie mi wślizgnąć się w kąt jak małej wiejskiej myszce i pozostać tam zupełnie niezauważona.

- A tymczasem? - zapytał markiz.

- Tymczasem idę na kolację z człowiekiem, o którym najczęściej się mówi w tutejszych kręgach towarzyskich.

Umyślnie próbowała go sprowokować, a może trochę zranić jego dumę? Ku jej zaskoczeniu markiz odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Doskonale! - wykrzyknął. - Jestem pewien, że pani wymyśliła to sobie w kąpieli.

Jolanta ze złością poczuła oblewający ją rumieniec, bo tak właśnie było.

- Teraz, gdy już pani wyrecytował swoją kwestię - ciągnął markiz - niech mi będzie wolno powiedzieć, że jest pani śliczna i to prawdziwa zbrodnia zabierać panią do miejsca, gdzie z braku większej widowni będzie pani błyszczeć wyłącznie dla mnie.

- Uprzedził mnie pan przecież - odpowiedziała Jolanta. - Wiem, że gdybym miała zastrzeżenia, poszlibyśmy do Cafe Anglaise.

- Wciąż jeszcze jest czas, by zmieniła pani zdanie. Mówiąc te słowa markiz raczej nie miał wątpliwości, że coś się zmieni. Jego pewność siebie była irytująca. Żywił przekonanie, że każda kobieta woli przebywać z nim sam na sam, niż być przedmiotem aplauzu szerokiej publiczności.

- Aimee twierdzi, że kuchnia w Grand Vefour jest wspaniała, a mówiąc szczerze, czuję ogromny głód.

Mówiąc to, skierowała się do drzwi i usłyszała za plecami cichy, triumfalny śmiech markiza. Przed domem czekał kryty

powóz. Na koźle siedzieli woźnica i lokaj ubrani w liberie Montreau. Konie były doskonale, podobnie jak te, którymi markiz powoził przed południem. Jolantę uderzyła nagła myśl, że wystawny styl życia markiza musi być bardzo kosztowny. Zadała więc sobie pytanie, kto pokrywa wydatki. Zgodnie ze słowami babki rodzina Montereau po rewolucji popadła w nędzę. Słyszała od ojca o skromnym życiu rodziców markiza w małym domu na przedmieściach Paryża. Była pewna, że stary hrabia de Beauharnais po śmierci ojca markiza dał mieszkanie chłopcu i jego matce, którzy zostali bez środków do życia. W zamku były wierzchowce i dobrzy nauczyciele. Na żadną z tych rzeczy matka markiza nie mogłaby sobie pozwolić.

Skąd więc teraz pochodziło to bogactwo? Jolanta po namyśle doszła do wniosku, że markiz musi być utrzymywany przez uwielbiające go kobiety. Ta myśl poczęła rozwijać się w jej głowie i nagle dziewczyna poczuła, że jedzenie kolacji, za którą zapłaci inna kobieta, uwłacza jej godności.

Nagle straciła dobry nastrój, zamknęła się w sobie, markiz odczuł to, oparł się w kącie karety i przyjrzał się jej błyszczącymi oczami.

- Co panią tak wyprowadziło z równowagi?

- Skąd może pan wiedzieć, że coś mnie wyprowadziło z równowagi? - zapytała Jolanta zimno.

- Pani ma bardzo wyraziste oczy - odpowiedział. - Zawsze mówiono mi, że oczy są zwierciadłem duszy, ale pani oczy ukazują także myśli, uczucia i każde drgnienie pani serca.

- Jeżeli chce pan przestraszyć mnie odczytywaniem moich myśli - odparła Jolanta - niech mi będzie wolno poinformować pana, monsieur, że i tak nie zdradzę moich tajemnic.

- Nie pozwalam, żeby pani zwracała się do mnie „monsieur” - przerwał jej markiz. - Dla ciebie jestem Leo, tak jak ty jesteś dla mnie Jolą. Czy mam ci powiedzieć dlaczego?

- Dlaczego? - Jolanta usiłowała ukryć swoje zaciekawienie.

- Ponieważ rozpoczynamy wyprawę pełną odkryć - odpowiedział. - Ty i ja dowiemy się wiele o sobie nawzajem. A pierwsza rzecz, którą musimy zrobić, to usunięcie wszystkiego, co niepotrzebne i sztuczne.

Jolanta była zaskoczona. Nie spodziewała się usłyszeć, że on chce poznać jej tajemnice, podczas gdy to ona pragnęła dowiedzieć się wszystkiego o nim. W końcu pomyślała sobie, że był to jeszcze jeden z zalotnych frazesów. Padłby on z ust każdego mężczyzny, będącego teraz na miejscu markiza. Żałowała tylko braku doświadczenia z innymi zdobywcami serc, które pomogłoby należycie osądzić markiza.

Znając tak niewielu mężczyzn i nie mając za sobą kolacji z żadnym z nich bez obecności przyzwoitki, trudno mi będzie, pomyślała, zorientować się, kiedy markiz mówi szczerze, a kiedy tylko posługuje się swoim słynnym czarem, wprawiającym w zachwyt wszystkie kobiety.

Atmosfera Grand Vefour z pewnością sprzyjała intymnym rozmowom. Restauracja była nieduża. Ściany i sufit zdobił stylizowany ornament z kwiatów i owoców, nie zmieniony od dnia otwarcia. W dwóch salach stało tylko kilka czerwonych pluszowych sof, rozmieszczonych tak umiejętnie, by dystans między nimi uniemożliwiał podsłuchanie rozmowy prowadzonej zniżonym głosem.

Jolanta z przyjemnością rozglądała się dookoła. To było historyczne miejsce. Wiele postaci, których imiona były na ustach wszystkich w czasie rewolucji, oglądało swoje odbicia w tych lustrach, tak jak ona teraz. Przy tych samych stołach

cieszyli się smacznymi potrawami, nim wyszli na spotkanie śmierci albo pospieszyli, by nieść śmierć innym.

Markiz był tu najwyraźniej mile widzianym gościem. Gdy tylko weszli, ze wszystkimi honorami zaprowadzono ich do narożnego stolika. Kelner podał jej ogromne, ręcznie pisane menu, ale zamknęła je i powiedziała do markiza:

- Proszę cię, wybierz coś dla mnie. Chciałabym spróbować którejś z ich specjalności.

Nastąpiła długa nieunikniona dyskusja o rozmaitych potrawach, a potem o gatunkach win. Jolanta przeczekała ją cierpliwie. Wreszcie markiz zwrócił się do niej:

- A zatem?

- A zatem? - zapytała Jolanta.

- Jaka jest twoja konkluzja co do mnie? Twoje oczy wiele razy zmieniały wyraz, ale najczęściej mogłem w nich wyczytać dezaprobatę.

- Dlaczego miałbyś sądzić, że jestem wobec ciebie krytycznie nastawiona? - odpowiedziała wymijająco.

- Nie tylko to widzę, ale i czuję - rzekł markiz. - Kiedy rozmawialiśmy wczoraj wieczorem, miałem wrażenie, że toczysz ze mną pojedynek.

Jolanta odwróciła głowę i ogarnęła spojrzeniem salę, by ukryć zaskoczenie.

- Gdy jestem z tobą - kontynuował markiz - nie ma potrzeby, żebyś cokolwiek mówiła. Spostrzegłem, że znam wszystkie twoje myśli i uczucia i to zjawisko intryguje mnie tak, jak nic nie intrygowało mnie nigdy dotąd.

- Nie wydaje mi się... to prawdą - powiedziała Jolanta, z trudem znajdując jakąś odpowiedź.

- Tracisz czas, próbując temu zaprzeczać. Doskonale wiesz, że mam rację - rzeki spokojnie markiz. - Powtarzam więc pytanie, które zadałem wczoraj wieczorem - kim jesteś i skąd przybywasz?

- Jeżeli jesteś taki przenikliwy, powinieneś już znać odpowiedź bez mojej pomocy - powiedziała Jolanta przekornie.

- To tak jakbym chciał utrzymać w dłoni żywe srebro - odparł markiz. - Ale muszę przyznać, przed poznaniem ciebie byłbym gotów założyć się o sporą sumę pieniędzy, że nic mi nie przeszkodzi w poznaniu wszystkich sekretów jakiegokolwiek kobiety już po kilku godzinach znajomości.

Na chwilę przerwał, potem mówił dalej zniżonym głosem:

- Z tobą wszystko ma się inaczej. Jest w tobie coś, czego nie rozumiem, czego nie potrafię nazwać, a tylko podświadomie wiem, że istnieje.

- Więc może twoja odkrywcza podróż potrwa trochę dłużej, niż planowałaś?

- Potrwa tak długo, jak ty zechcesz. Nie spieszę się.

- Ale ja się spieszę - odparła Jolanta. - Zamierzam pozostać w Paryżu bardzo krótko.

- To znaczy, że spodziewasz się wkrótce znaleźć odpowiedź na swoje pytanie - wyjść za mąż czy nie.

- Zanim tu przyjechałam, byłam niemal wszystkiego pewna.

Markiz popatrzył na nią przez dłuższą chwilę, aż a końcu zapytał:

- A teraz straciłaś tę pewność. Dlaczego? Obawiając się, że jego niezawodna intuicja podsunie mu odpowiedź, Jolanta tylko wzruszyła ramionami.

- Być może zaczęłam zazdrościć Aimee. Markiz przez moment milczał. Potem powiedział:

- Czy naprawdę rozważasz przyłączenie się do zastępów adeptek sztuki miłości, les grandes cocottes (wspaniałe kokoty), które stanowią jedną z większych atrakcji Paryża?

Jolanta szybko powiedziała sobie w duchu, że nie wolno jej obrazić się z powodu takiego pytania ani pozwolić się zbić

z tropu jego pogładowi na pozycję Aimee, który różnił się diametralnie od jej własnego punktu widzenia. Szukała właśnie w myślach dogodnej odpowiedzi, kiedy doszedł jej uszu stłumiony śmiech markiza.

- Może jestem w błędzie, ale coś mi mówi, że nie masz zamiaru zdecydować się na życie w półświatku. Więc dlaczego jesteś tak ubrana? I czemu ma służyć ta zupełnie niepotrzebna szminka na wargach?

Jolanta wciągnęła głęboki oddech. Przestraszyła się, że ta niesamowita przenikliwość pozwoli markizowi odkryć prawdę. Ale po chwili uznała swoje obawy za nedorzeczne. Choćby nawet markiz coś podejrzewał, nie mógł mieć pojęcia, z kim naprawdę rozmawia. Udawanie doświadczonej kobiety było jednak trudne.

- Mówiłam ci, że nie chciałam wglądać na wiejską myszkę zagubioną w splendorze Paryża - wyjaśniła.

- Wiejskie myszki nie wyglądają tak jak ty! - odparł markiz. - Ale zupełnie jak mała myszka próbujesz mi umknąć, Jolu, chcesz się wyślizgnąć i nie pozwolić, bym cię pochwycił. Jednak zapewniam cię, że te wysiłki są daremne.

W tym momencie przyniesiono pierwsze danie i to uratowało Jolantę od odpowiedzi.

Jedzenie w rzeczy samej było wyśmienite, ale jakoś straciła apetyt. Czuła natomiast nieprzyjemne ściskanie w gardle, które utrudniało przełknięcie czegokolwiek.

Szampan trochę ją podniósł na duchu i nadał lekkość rozmowie.

Markiz bawił ją swym dowcipem. Od czasu do czasu robił zjadliwe uwagi na temat osób z towarzystwa. Prezentował też umiejętności władania słowem, które ubawiłyby jej ojca.

Rozumiem, że papa go polubił, pomyślała, nie mógł tylko wiedzieć, że markiz stanie się takim „światowym” człowiekiem.

Ojcu Jolanty nigdy nie imponowało życie w mieście i dobrze się czuł w zamku. Podróże odbywał zwykle po to, żeby spędzić trochę czasu z madame Reneze.

Jolanta popatrzyła na eleganckie, starannie dobrane ubranie markiza. Dowcip, który tak ją bawił, zapewniał mu także podziw i uwielbienie ludzi, entuzjastycznie witających go poprzedniego wieczora. Nie można było wyobrazić sobie markiza w spokojnych komnatach zamku.

Nie, powiedziała sobie Jolanta w głębi duszy, Paryż to jego naturalne środowisko. Tu błyszczy jak aktor na scenie. Nie zniósłby myśli, że znajdzie się w cieniu zamku, który przez lata patrzył, jak przychodzą i odchodzą setki ludzi podobnych markizowi. Tymczasem jednak, acz niechętnie, musiała przyznać, że niewątpliwie ma on w sobie coś fascynującego.

Kiedy posiłek dobiegł końca i na stole została tylko kawa, markiz rozsiadł się wygodnie na krześle z kieliszkiem koniaku w dłoni i powiedział:

- Teraz podejmijmy rozmowę tam, gdzie ją przerwaliśmy. Zbyt dużo powagi w czasie kolacji prowadzi do niestrawności.

- Nie przyjechałam do Paryża, by być poważną - zarumieniła się Jolanta.

- Nie ma nic poważniejszego ani istotniejszego niż podjęcie decyzji, która może zaważyć na całym twoim życiu - zaprotestował markiz. - Opowiedz mi o tym człowieku. Czy on jest w tobie zakochany?

Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej:

- Oczywiście, tak! Kocha cię do szaleństwa. Jesteś wszystkim, co kiedykolwiek pragnął odnaleźć w kobiecie, którą chciałby pojąć za żonę. Jesteś uosobieniem jego marzeń!

Jolancie wydało się, że w jego głosie zabrzmiała zbyt poufała nuta, ale nim zdążyła jakoś zareagować, zapytał wprost:

- A czy ty go kochasz?

Niemal bezwiednie pokręciła głową.

- Więc masz swoją odpowiedź!

- Jak to?

- Ponieważ małżeństwo bez miłości może być piekłem na ziemi.

- Ale większość młodych ludzi we Francji zawiera małżeństwa z osobami wybranymi przez ich rodziców - powiedziała Jolanta.

- Ty jesteś bardziej wrażliwa niż większość kobiet - odparł markiz. - Czy potrafiłabyś się zdecydować na życie z człowiekiem, który jest ci obojętny i nie znaczy dla ciebie więcej niż inni?

- O tym właśnie... myślałam - powiedziała Jolanta cicho, jakby te słowa na niej wymuszono. - Ale... czy mam jakieś inne wyjście?

- Na pewno nie takie, jakie udajesz, że chcesz wybrać - odpowiedział ostro markiz. - Mogłabyś poczekać, aż kogoś pokochasz.

- A jeżeli to nigdy nie nastąpi? Przecież tylko w bajkach zawsze przychodzi szczęśliwe zakończenie.

Markiz ujął jej dłoń.

- Czy mam ci powróżyć z ręki? - spytał. - Czy mam powiedzieć, że jesteś jak śpiąca królewna z bajki, jeszcze nieświadoma, czym może być miłość? Ale pewnego dnia dowiesz się i zrozumiesz - poza nią nic na całym świecie nie ma żadnego znaczenia.

Jolanta spojrzała na markiza, zaskoczona powagą tych słów. Jednak kiedy napotkała jego wzrok, szybko spuściła oczy, aby nie zdradzić swojej konsternacji. Z wielkim wysiłkiem zapytała:

- Skąd możesz wiedzieć, że jeszcze nie byłam zakochana albo że nie jestem zakochana w tej chwili?

- Mnie nie mogłabyś oszukać - odpowiedział markiz.

- Nawet nie próbuję tego robić. Mówię tylko, że wyciągasz wiele wniosków, z którymi nie mogę się zgodzić.

- Spójrz na mnie, Jolu.

Bezwiednie usłuchała, a kiedy popatrzyła mu w oczy, zbliżył twarz do jej twarzy.

- Mógłbym przysiąc - powiedział szybko - przysiąc na wszystko co dla mnie najświętsze, że nie tylko nigdy nie byłaś zakochana, ale że żaden mężczyzna nigdy cię nie dotknął.

Słyszając to, Jolanta oniemiała. Jej palce, których markiz przez cały czas nie wypuszczał ze swej dłoni, drgnęły i nie umiała ukryć rumieńca, oblewającego jej blade policzki.

- Wiedziałem, że się nie mylę - triumfalne oznajmił markiz.

Jolanta wyrwała mu swoją dłoń.

- Powinniśmy już iść - powiedziała.

- Oczywiście - zgodził się markiz. Poprosił, żeby przyniesiono rachunek. Potem, pomagając jej założyć na ramiona zieloną aksamitną narzutkę, zapytał:

- Dokąd masz teraz ochotę pojechać?

Już miała odpowiedzieć, że nie wie, kiedy ujrzeli jakiegoś mężczyznę, zbliżającego się od strony drugiej sali. Był to książę Napoleon.

- Mademoiselle Lefleur - powiedział nonszalancko. - Jestem zachwycony, że ponownie panią spotykam.

Ucałował jej dłoń, po czym powiedział do markiza:

- Powinienem był zgadnąć, że to ty, Leo, jak zwykle wyprzedzasz mnie o pięćdziesiąt. Mówiąc szczerze, wczoraj wieczorem zapytałem Aimee, czy mademoiselle może zjeść ze mną kolację, ale dowiedziałem się, że już jest umówiona.

Książę teatralnym gestem rozrzucił ramiona.

- Leo! Zawsze Leo! - zwrócił się do Jolanty. - Którejś nocy albo ja, albo jakiś inny sfrustrowany mężczyzna utopi go w Sekwanie!

- Czy umiałby pan postąpić tak okrutnie? - zapytała.

- Wobec niego? Z pewnością! - odparł książę. - Wobec pani - nigdy!

- Właśnie wychodziliśmy - wtrącił markiz.

- Skoro tak, powiem wam, co zrobię - rzekł. - Zabiorę was oboje na przyjęcie wydawane przez moją przyjaciółkę. To zapewni rozrywkę mademoiselle Lefleur i oczywiście tobie, Leo. Moja przyjaciółka będzie bardzo rada, że się z tobą zobaczy.

- Kogo Wasza Wysokość ma na myśli? - zapytał markiz.

- A kogóżby innego, jeżeli nie czarownicą La Paivę? - odpowiedział książę.

Jolanta wzdygnęła się mimo woli. Znała nazwiska sławnych paryskich kurtyzan z rozmów ze szkolnymi koleżankami i wiedziała, że La Paiva to jedna z najśłynniejszych. Wszystkie gazety opisywały jej niezrównane klejnoty. Dom na Polach Elizejskich, podarunek od niemieckiego kochanka, milionera, był wspaniały. Opisującym go dziennikarzom wprost brakowało pochwał. Jolanta czytała gdzieś o wannie La Paivy wykonanej z bryły onyksu, która miała rzeźbione pozłacane kurki, wysadzone drogimi kamieniami.

Gdziekolwiek by się pojawiła, na wyścigach w Longchamps, na premierze teatralnej, w Operze, La Paiva kroczyła w blasku bogactwa. Jej łoża w teatrze Italiens znajdowała się naprzeciwko łoża cesarskiej. Wiele rzeczy mogło zostać przeoczone przez francuskie gazety, ale o La Paivie pisano dzień w dzień całe artykuły. A tego roku, w czasie trwania Wystawy Światowej, niejednen z dziennikarzy

zadawał pytanie, kto, jeśli nie La Paiva, jest najznakomitszym ucieleśnieniem upajającego ducha Paryża.

Jolanta wiedziała, ta kobieta symbolizuje demi-mondaines, o których madame Reneze i Aimee wyrażały się z taką dezaprobatą. Jak powiedziała madame Reneze, ona i Aimee były dla swoich kochanków drugimi żonami, ale La Paiva i jej podobne miały pospolite imię, którym nie warto było plamić sobie warg.

Jolanta właśnie chciała oświadczyć księciu, że jej noga nie postanie na przyjęciu wydawanym przez taką kobietę, lecz wyręczył ją markiz.

- To bardzo łaskawie ze strony Waszej Cesarskiej Wysokości - rzekł. - I bardzo dziękujemy za pamięć o nas, ale tak się niefortunnie składa, że mademoiselle i ja idziemy na wcześniej umówione spotkanie.

- Doprawdy? - zapytał książę. - Z kim?

- Z kilkorgiem przyjaciół, którzy oczekują nas po kolacji. Obiecaliśmy się przyłączyć i nie chcielibyśmy ich urazić.

Książę wzruszył ramionami, jakby godząc się z porażką, i rzekł:

- Jeżeli nie zatrzymają was do późna, przyjdźcie na przyjęcie choćby na pół godziny.

Nie czekając na odpowiedź, znów wziął dłoń Jolanty w obie ręce i powiedział:

- Chcę, żeby pani przyszła. Mam pani tyle do powiedzenia.

Mówił w sposób, jakiego nikt, bez względu na wiek c/y posiadane doświadczenie, nie mógłby mylnie zinterpretować. Jolanta popatrzyła niepewnie, a książę mówił cicho:

- Wczoraj wieczorem zawładnęła pani moim sercem. Byłoby okrutne, gdyby pani nie zgodziła się, żebyśmy o tym porozmawiali.

- Wasza Wysokość jest dla mnie bardzo łaskawy, tle, jak już powiedział markiz, mamy umówione spotkanie.

- Czemu więc nie pozwoli mu pani jechać samemu i nie pójdzie pani ze mną - spytał natarczywie. - Zapewniam panią, że długo nie pozostanie samotny.

- W tym względzie wierzę panu całkowicie - odparła Jolanta. - Ale jestem pewna, że Wasza Cesarska Wysokość nie życzyłby sobie, bym zachowała się nieuprzejmie wobec moich przyjaciół.

- Mówiąc szczerze, nie interesuje mnie w najmniejszym stopniu, co oni o pani pomyślą - odparł książę. - Wszystko, na czym mi zależy, to żeby pani była uprzejma wobec mnie, a może nawet trochę więcej.

Widząc błysk w jego oczach, Jolanta zgadła, że jest gotów walczyć z całą zaciekłością, aby postawić na swoim. Jednak cofnęła rękę i powiedziała:

- Przykro mi, monsieur.

- Byłbym pocieszony, gdyby mówiła pani szczerze - odparł książę. - Ale pozwolę sobie mieć nadzieję, że zobaczę panią jutro. Może zje pani ze mną kolację?

Jolanta zaczerpnęła tchu, ale nie wiedziała, co odpowiedzieć. Na szczęście tu znowu wtrącił się markiz.

- Niestety, ale już umówiłem się z diukiem i Aimee, że zabierzemy mademoiselle do teatru.

Książę spojrział na markiza i było oczywiste, że podejrzewa kłamstwo.

- Niech cię diabli, Leo! Już nie pierwszy raz wchodzisz mi w drogę i powiem otwarcie, mnie to mierzi.

- Pozostaje mi tylko wyrazić moje ubolewanie, że pan doszukuje się w tym jakiegoś podłoża osobistego, monsieur - rzekł markiz. - Po prostu wizyta mademoiselle w Paryżu jest bardzo krótka. Ułożyliśmy więc dla niej pełny program.

- Ten program można zmienić - powiedział książę, niemal wypluwając z siebie słowa. - I dopilnuję, żeby się tak stało. Jeszcze raz wziął Jolantę za rękę.

- Jest pani fascynująca i nie sposób się pani oprzeć - oświadczył. - Zapewniam panią, nie dam łatwo za wygraną.

Ucałował jej dłoń, przesuwając wargami po jedwabistej skórze dziewczyny. Potem, rzuciwszy zabójcze spojrzenie w stronę markiza, zniknął w drzwiach sali, z której wcześniej przyszedł.

Markiz wziął Jolantę za ramię i powiedział:

- Im szybciej się stąd oddalimy, tym lepiej. Karetka czekała przed drzwiami. Wsiadając do niej

Jolanta pomyślała, że gdyby nie markiz, wpadłaby w panikę. Książę miał w sobie miazdzącą siłę. Z pewnością, będąc członkiem rodziny cesarskiej, uznał interwencję markiza za przejaw impertynencji, a już niesłychane wydało mu się to, że Jolanta nie przystała bezzwłocznie na jego propozycję.

Kiedy drzwiczki karety zamknęły się i konie ruszyły, Jolanta powiedziała niespokojnie:

- Czy on może się stać... kłopotliwy dla ciebie?

- Niepokoisz się o mnie?

- Oczywiście - odparła. - I jestem wdzięczna za uratowanie mnie z opresji. Zdaję sobie sprawę, że to właśnie było twoim zamiarem.

- Jesteś zupełnie pewna, że nie chciałaś przyjąć zaproszenia księcia? Przecież to ważna osobistość.

- Nie życzę sobie przebywać sam na sam z księciem - starała się mówić spokojnie, ale jej głos zadrżał przy słowach „sam na sam”, co nie umknęło uwagi markiza.

- Życie tego rodzaju nie jest dla ciebie - powiedział surowo.

Jolanta milczała.

- Ile masz lat? - zapytał ostro. Zaskoczona, Jolanta zająknęła się niezręcznie.

- Mam dwadzieścia dwa... prawie dwadzieścia trzy lata - odpowiedziała, tak jak to ustaliły z Aimee.

- Nie wierzę!

Jolanta nic nie odrzekła. Po chwili markiz dodał:

- Uwierzę, jeżeli mi powiesz, że właśnie opuściłaś klasztor i nie widziałaś ani kobiet, ani mężczyzn, ani żadnego prawdziwego świata na zewnątrz. W innym razie musisz być o wiele młodsza.

- Zawsze mi mówiono - odezwała się Jolanta nieśmiało - że nie wypada rozmawiać o wieku damy.

- Liczba lat nie jest tu najważniejsza - powiedział markiz.

- Liczy się to, jaka jesteś, a w głębi serca czuję, że ty jeszcze niezupełnie przestałaś być dzieckiem i nie byłabyś zdolna poradzić sobie z człowiekiem pokroju księcia.

- Więc nie zamierzam mieć z nim do czynienia. Nie może mi narzucić swojego towarzystwa.

- Użyje wszystkich dostępnych środków, żeby osiągnąć swój cel - ostrzegł ją markiz. - Nikt nigdy nie odtrącił jego awansów - żadna kobieta! Będzie cię ścigał jak myśliwy swą zwierzynę, aż zostanie schwytana.

Z ust Jolanty wyrwał się lekki okrzyk. Potem powiedziała:

- Próbujesz mnie... przestraszyć. Nikt nie może mnie skłonić, żebym uległa księciu. Uważam, że to okropny człowiek.

- Wolałabyś raczej pozostać ze mną?

Zanim zdążyła pomyśleć, odpowiedziała zgodnie z prawdą:

- Z całą pewnością tak!

- To właśnie pragnąłem usłyszeć. Nie lękaj się. Dopilnuję, żeby księżę ci nie zagrażał.

- Ale czy on tobie nie może wyrządzić przykrości? - zapytała Jolanta trwożliwie.

- Może stać się bardzo nieprzyjemny - odparł markiz spokojnie. - Ale to nie jest bardzo prawdopodobne. Jeżeli ktoś zacznie dociekać powodów jego wrogości, wyjdzie na jaw, że poróżniła nas kobieta. Wtedy jego sława pożeracza serc niewieścich legnie w gruzach.

- Mam nadzieję... że się nie mylisz - wyjąkała Jolanta nerwowo.

- Zapomnijmy o nim.

Markiz położył swoje długie ramię na oparciu siedzenia, tak aby znalazło się ono za plecami Jolanty.

- Zapomnijmy, że księżę kiedykolwiek istniał - rzekł markiz. - Tymczasem chcę ci powiedzieć, jakie były moje uczucia podczas dzisiejszego spotkania z tobą.

W jego głosie zabrzmiała inna, uwodzicielska nuta. Jolanta nagle dostrzegła, że markiz jest pod wieloma względami bardziej niebezpieczny niż księżę. Chciał się do niej zbliżyć, a ona bała się swoich własnych uczuć. Ogarnięta niepewnością i zakłopotaniem, powiedziała mimo woli:

- Nie!

- Dlaczego to mówisz? - zapytał markiz.

- Bo ja... nie chcę usłyszeć tego, co, zdaje się, zamierzałeś powiedzieć.

- Więc czytasz w moich myślach, tak jak ja w twoich?

- Chyba tylko w tym przypadku.

- Odgadłaś, chciałem wyznać, jak bardzo mnie pociągasz i jak nie przestałem o tobie myśleć od tego dramatycznego wejścia, które umiejętnie wyreżyserowałyście razem z Aimee.

Jolanta ze zdumieniem podniosła wzrok i spostrzegła, że markiz siedzi teraz bardzo blisko niej. Światło mijanych przez karete nowych latarni gazowych, zainstalowanych przez

barona Haussmana, padło na jego twarz. Wyraz oczu markiza przyprawił ją o gwałtowne bicie serca.

- Nie muszę tego mówić, bo przecież wiesz - szepnął - bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnę cię pocałować.

- Nie - powiedziała znowu Jolanta, odwracając głowę do okna. Markiz przez chwilę wpatrywał się w jej profil. Potem zapytał bardzo łagodnie:

- Ile razy ktoś cię już pocałował?

Jolanta pozostawiła to pytanie bez odpowiedzi, a on rzekł:

- Naprawdę nie musisz nic mówić. O, moja droga, mogę zajrzeć do twego wnętrza, tak jakbym patrzył w czysty strumień. To najbardziej pasjonująca rzecz, jaka mi się zdarzyła w życiu.

- Myślę, powinnam... jechać do domu - powiedziała Jolanta niespokojnie.

- Poleciałem, żeby zawieziono nas do Lasku Bulońskiego - oznajmił markiz. - Chcę ci tam coś pokazać właśnie teraz, kiedy alejek nie okupuje świat mody, a w ciszy można nawet usłyszeć śpiew ptaków.

Rozsądek podpowiadał Jolancie, że powinna zaprotestować i zażądać natychmiastowego powrotu do domu.

Zamiast tego odsunęła się nieco dalej w kąt karety. Markiz pozostał na swoim miejscu. Cofnął też ramię i tylko siedział, przyglądając się jej. Nie śmiała na niego spojrzeć, bojąc się zobaczyć wyraz jego oczu.

Droga do Lasku Bulońskiego nie trwała długo, siedzieli w milczeniu, jakby nie mieli nic do powiedzenia. Miała jednak nieodparte wrażenie, że rozmawiają ze sobą bez słów.

Kiedy kareta stanęła, lokaj zeskoczył z kozła i otworzył drzwi, a markiz pomógł Jolancie wysiąść. Potem wsunął jej dłoń pod ramię i weszli na krętą ścieżkę między drzewami. Po pewnym czasie dotarli do małego ogródka skalnego. Należał on do szeregu, wprowadzonych zgodnie z instrukcjami

cesarza, sympatycznych innowacji, które przekształciły dziki gąszcz pełen włóczągów i rozbójników w oazę piękna. Jolanta pamiętała, jak ktoś powiedział, że mogła tego dokonać tylko „ręka czarodzieja”, i teraz, widząc ulubiony zakątek markiza, zgodziła się z tą opinią. Przed nimi znajdował się bowiem maleńki wodospad, który wpływał do kształtnej sadzawki. Światło księżyca padające zza chmur zmieniało powierzchnię wody w połyskujące srebro. Z jeziora wypływał szemrzący strumyk, wijący się między klombikami azalii i innych wiosennych kwiatów. Wszystkie one właśnie rozkwitały i napełniały nocne powietrze swą upojną wonią.

Jolancie zdawało się, że stoją w dzieciennym ogródku, ponieważ wszystko dookoła było miniaturowe. Atmosfera tego miejsca przywodziła na myśl zamek i zakątki, w których bawiła się, będąc małą dziewczynką.

Kiedy podziwiała roztaczający się przed jej oczami czarowny widok, usłyszała ciche słowa markiza.

- Przeprowadziłem się tutaj, bo dziś wieczorem wyglądasz jak boginka wodna, nimfa, która mam i wabi zwykłego człowieka, ale zaraz potem pierzcha i nie można jej dotknąć.

Sposób, w jaki mówił, i głębokie brzmienie jego głosu sprawiały, że każde słowo budziło rezonans w jej duszy. Wreszcie jak w transie odwróciła się ku niemu.

Jego twarz była rozjaśniona światłem księżyca, a oczy miały wyraz, jakiego dotąd nigdy nie widziała. Markiz wydawał się odmieniony, ale w przedziwny sposób wyglądał znajomo, jakby spotkała go dawno, dawno temu, a teraz odnalazła na nowo.

Przez krótką chwilę stali tak, patrząc na siebie i tylko szmer kaskady zakłócał ciszę. W końcu markiz powoli, bardzo powoli, otoczył ją ramionami. Wiedziała, że nie powinna mu

na to pozwolić, ale czuła się, jakby ją zahipnotyzował i zmusił do posłuszeństwa.

Spojrzał jej głęboko w oczy, a jego usta spoczęły na jej wargach. Był to jej pierwszy pocałunek i nigdy nie wyobrażała sobie, że wargi mężczyzny mogą być takie zniewalające. Czuła, jakby nie tylko dostała się w jego władanie, ale jakby odebrał jej duszę. Przestała więc być sobą i stopiła się z nim w jedną nierozdzielalną całość.

Próbowała uświadomić sobie, co naprawdę czuje, ale jego pocałunek zdawał się integralną częścią muzyki wody, zapachu kwiatów i cudu księżycowego światła. Ta chwila była tak doskonała, tak romantyczna, przyniosła spełnienie wszystkiego, czym powinien być jej wymarzony pocałunek.

Markiz objął ją mocniej i jego wargi stały się bardziej nieugięte i zaborcze. W umyśle Jolanty powstała myśl, że on wyrywa serce z jej piersi. Zapragnęła go przed tym powstrzymać.

ROZDZIAŁ 5

To naprawdę fascynujące! - powiedziała Jolanta. Jej oczy błyszczały, a wargi rozchyłały się w uśmiechu, kiedy chodziła między eksponatami, prezentowanymi na Wystawie Światowej. Przyjechała tu z markizem jego powozikiem. Podniecenie nie opuszczało jej ani na minutę od momentu, kiedy znaleźli się w wielkim budynku ze szkła i stali, zbudowanym na Polach Marsowych, na lewym brzegu Sekwany. Tam mieściły się stoiska handlowe i Pawilon cesarski w stylu orientalnym z pasiastymi markizami, ozdobiony nieprzeliczoną ilością złotych orłów. Jednak większość eksponatów znajdowało się w Pałacu przemysłu i w poszczególnych pawilonach należących do różnych państw.

Anglia prezentowała kiosk Towarzystwa Biblijnego, kościół protestancki, modelowe gospodarstwo rolne i maszyny rolnicze. Markiz śmiał się z tej ekspozycji.

- Nic nie mogłoby lepiej pokazać - powiedział do Jolanty - społecznej i duchowej przepaści, która dzieli wiktoriańską Anglię od francuskiego Drugiego Cesarstwa.

Była to uwaga w stylu jej ojca i Jolanta podejrzewała, że markiz chce się przekonać, czy ona potrafi zrozumieć sens tych słów.

- Nie brakuje tu egzotycznych cudów - mruknęła ironicznie. - Jeżeli ich właśnie szukasz.

Obejrzelili już marokańskie namioty, tureckie meczety i muzułmańskie sarkofagi. Odwiedzili też bambusowy dom z Japonii i widzieli porcelanową pagodę z ogrodem, przywiezioną z Chin.

- Chciałbym usłyszeć twoje zdanie o tym - powiedział markiz.

Wskazywał na ważące trzy tysiące pięćset pudów działo wyprodukowane przez Kruppa z Essen, wystawione przez

sekcję pruską. Podczas gdy Jolanta przypatrywała się temu masywnemu obiektowi, markiz dodał:

- To działo jest zdolne wystrzelić trzypudowy pocisk. Francuskie gazety odnoszą się do tego eksponatu z dużą dozą humoru.

Jolanta spojrzała na niego i powiedziała:

- Ale ty traktujesz to z całą powagą?

- Myślę, że takie działo wycelowane w nas może w istocie być poważną sprawą - rzekł markiz i zaprowadził Jolantę do miejsca, gdzie był prezentowany nowy zgrabny karabinek, chassepot.

- Czy to jedyna broń, którą my wystawiamy? - zapytała, zniżając głos.

- Jest tu też plastyczna mapa naszych fortów - odparł markiz. - Ostatnio widziałem, jak studiowało ją z uwagą kilku pruskich oficerów.

Jolanta wiedziała, co chciał przez to powiedzieć. Poczowała dreszcz strachu na myśl, że mogli mieć rację ci, którzy przepowiadali przystąpienie Francji do wojny.

Poprzedniego roku Austria poniosła nieoczekiwaną porażkę w bitwie pod Sadową. To wydarzenie przypieczętowało wyłonienie się Prus jako potęgi militarnej. Jolanta pamiętała, jak ojciec mówił, że Francuzi nie znieśliby Niemców, panoszących się w pobliżu ich granic. Ale w końcu może nie trzeba się niepokoić. Teraz cały kraj jest dumny ze swoich osiągnięć w dziedzinie techniki i ze wspaniałej armii. Naród cieszy się dobrobytem i pięknem swej stolicy.

- W przyszłości na świecie zapanuje pokój - szepnęła bardziej do siebie niż do swego towarzysza.

- Chciałbym w to wierzyć - odpowiedział markiz. Potem, z właściwą sobie całkowitą zmianą nastroju, zabrał ją stamtąd w stronę francuskich Pawilonów żywności, w których każdy okręg produkujący wino miał osobną ekspozycję i piwnicę.

- Jest za dużo do obejrzenia - westchnęła Jolanta, kiedy mieli już za sobą kilka godzin spędzonych na zwiedzaniu. - Ile razy wydaje mi się, że doszliśmy do końca, tyle razy okazuje się, że zostały jeszcze do obejrzenia setki zachwycających rzeczy.

Postanowili coś zjeść, ale trudno było się zdecydować gdzie.

- Same kawiarnie i restauracje ciągną się przez dwie aleje - powiedział markiz. - Można pić i jeść w każdym języku. Na co się zdecydujemy?

Wybór w rzeczy samej był trudny. W hiszpańskiej restauracji kelnerki o jędrnej oliwkowej cerze, śmiało zarysowanych prostych brwiach i okrągłych oczach były ubrane w fioletowe spódnice i szale z białej koronki, a w kruczoczarnych włosach miały wysokie grzebienie i damasceńskie róże. Jolanta już prawie zdecydowała, że tam zostaną, kiedy ich oczy przyciągnęła rosyjska kawiarnia. Kelnerki miały tam złote włosy, a na głowach nosiły kunsztowne czapy z powiewającymi z tyłu wstążkami.

- Jedno miejsce na pewno ominiemy - roześmiał się markiz. - Angielską tawernę. Dziewczęta są tam nieprzyzwoicie odziane i mówiono mi, że mają fatalną kuchnię.

Wreszcie, chcąc doświadczyć czegoś zabawnego, zjedli w tunezyjskiej kawiarni. Podawały w niej do stołu dziewczęta o skośnych migdałowych oczach obramowanych czarną kreską. Markiz i Jolanta śmiali się przy każdym kolejnym daniu, a kiedy skończyli posiłek, Jolanta powiedziała:

- Wiem jedno. Będąc we Francji, trzeba jeść na sposób francuski.

- We Francji powinno się robić wszystko po francusku - zgodził się markiz. - To dotyczy także miłości.

W jego głosie zabrzmiała dziwna nuta i Jolanta nagle poczuła się onieśmielona. Na wystawie było tyle do obejrzenia. Nie mieli okazji naprawdę porozmawiać. Ale wydarzenia ostatniego wieczora wciąż pozostawały żywe w jej świadomości. Zasypiała z myślą o markizie i obudziła się z jego imieniem na ustach. Nie zapomniała uczuć, które w niej wzbudził poprzedniego wieczora. Teraz, znajdując się blisko niego, była podniecona w sposób nigdy przedtem jej nieznanym. Ten stan zmienił wszystko, co mówiła i robiła.

„Nie jestem zakochana”, próbowała sobie wmówić, ale wiedziała, że to kłamstwo. Po południu spędzili jeszcze godzinę oglądając kolejne eksponaty. Potem, ponieważ markiz orzekł, że Jolanta musi być zmęczona, odszukali jego powozik i pojechali do domu Aimee.

- Zjesz dziś ze mną kolację - powiedział Markiz. - Wtedy będę mógł z tobą pomówić.

Za nim siedział na ławeczce masztalerz i, choć najpewniej nie mógł ich słyszeć, sama jego obecność przeszkadzała w swobodnej rozmowie.

- Czy to jest zaproszenie, czy polecenie? - zapytała Jolanta.

- Proszę cię, błagam, jeżeli wolisz, ale nie pozwolę, byś powiedziała „nie”.

Jolanta nie miała zamiaru odmawiać. Jednocześnie czuła, że coraz bardziej angażuje się w tę znajomość i nie była pewna, jak powinna dalej postępować. Chciała go poznać, dowiedzieć się, jaki jest, ale teraz wydarzenia wymykały się spod kontroli. Wszystko toczyło się zbyt szybko. Nie było czasu na zastanowienie, a nawet na zaczerpnięcie oddechu.

- Dziękuję, że zabrałeś mnie na wystawę - powiedziała konwencjonalnie.

- Czułem się, jakbym pierwszy raz przyprowadził dziecko na pantomimę - uśmiechnął się markiz.

- Czy rzeczywiście jesteś takim cynikiem? - zdziwiła się Jolanta. - Ta wystawa powinna napawać cię dumą.

- Nie mogłem skierować wzroku na nic prócz mojej towarzyszki.

Jolanta doskonale wiedziała, że prawie cały czas, kiedy chodzili po terenie wystawy, oczy markiza spoczywały na niej. Specjalnie starała się na niego nie patrzeć, bowiem po części lękała się tego, co jej chciał powiedzieć bez słów.

- Myślę, że dość już rozmów o la belle France (piękna Francja) - rzekł markiz, kiedy już dojeżdżali do rue du Faubourg Saint - Honore. - Dzisiaj wieczorem zamierzam mówić o tobie i, oczywiście, o mnie.

- A jeżeli Aimee wydaje dla mnie przyjęcie? - spytała Jolanta przekornie.

- Już jej powiedziałem, że jesz ze mną kolację.

- Zanim jeszcze zapytałeś o to mnie?

- Mówiłem już, nie pozwoliłbym ci nie przyjąć zaproszenia.

- Masz bardzo dyktatorski charakter,

Jolanta mówiła żartobliwie, beztroskim tonem. W rzeczywistości czuła się, jakby toczyła z nim walkę, jakby targnął się na jej jestestwo, chciał ją posiąść teraz, kiedy nie była jeszcze na to gotowa.

- Myślę, że mam do tego prawo - odpowiedział markiz na jej zarzut. - I mam prawo do wielu innych rzeczy, ale o nich opowiem ci wieczorem. Bądź gotowa o wpół do ósmej.

Mówiąc to, kierował konie na brukowany podjazd przed wejściem do domu Aimee.

- Może chcesz wejść do środka - zaproponowała Jolanta uprzejmie.

Potrząsnął głową.

- Mam przed naszym spotkaniem parę rzeczy do załatwienia - powiedział. - Więc przeproś Aimee w moim imieniu.

- Zrobię to i jeszcze raz dziękuję.

Uśmiechnęła się do niego trochę nieśmiało, a on, nie wypuszczając z ręki lejców, ucałował jej dłoń w kremowej rękawiczce.

- Nie przestawaj o mnie myśleć aż do wpół do ósmej - poprosił cicho, tak aby nie doszło to do uszu lokaja, który podszedł, żeby pomóc Jolancie wysiąść.

Poczuła uścisk jego palców na swojej dłoni i mimo woli lekko zadrżała ze wzruszenia. Markiz musiał to zauważyć, bo spostrzegła nagły błysk w jego oczach. Pospiesznie wysiadła z powozika i poszła do domu.

Aimee nie było, więc udała się prosto do swego pokoju na górze. Tam zdjęła elegancką żółtą suknię, którą miała na sobie tego popołudnia, i mały kapelusik przybrany kwiatami, a następnie położyła się do łóżka.

Wiedziała, że mądrze byłoby zażyć trochę snu, ale zamiast tego jej myśli zaczęły krążyć wokół markiza. Poprzedniego wieczora doświadczyła takiej rozkosznej ekstazy, że musiała wciąż na nowo sobie powtarzać, iż przeżycia markiza mogły mieć zupełnie inny charakter. To był jej pierwszy pocałunek. Dla niego, który całował już tyle kobiet, czuła scena w Lasku Bulońskim niekoniecznie znaczyła tak wiele, nawet biorąc pod uwagę wszystko, co mówił.

Kiedy podniósł głowę i jego usta oderwały się od jej warg, Jolanta, onieśmielona, ukryła twarz na jego ramieniu. Po chwili ciszy bardziej wymownej niż słowa, powiedział bardzo łagodnie:

- Czy jesteś rozczarowana swoim pierwszym pocałunkiem, moja kochana?

- Nie wiedziałam... nie wyobrażałam sobie, że pocałunek może być taki wspaniały - szepnęła Jolanta.

- Mówiłem ci, jesteś jak żywe srebro w moich dłoniach - rzekł. - A jednak przez jeden czarowny moment umiałem cię zatrzymać w objęciach.

Jolanta zaśmiała się ze szczęścia. Markiz ujął ją pod brodę i obrócił jej twarz w kierunku swojej.

- Jesteś prześliczna! - powiedział. - Niewiarygodnie wprost piękna. Słusznie pomyślałem, że to będzie dla ciebie doskonała sceneria.

Jej głowa, skąpana księżycową poświatą, pięknie rysowała się na tle srebrnej kaskady, spływającej do sadzawki u ich stóp.

Markiz przez chwilę wpatrywał się w twarz Jolanty, a potem znowu zaczął ją powoli całować, coraz głębiej i bardziej zniewalająco, powoli zawładnął nią całkowicie i nie mogła już uciec.

Potem, jakby świadomi, że cokolwiek jeszcze powiedzą albo zrobią, będzie przyziemne w świetle wyżyn zachwytu i szczęścia, których sięgnęli, w milczeniu poszli ścieżką między drzewami w stronę miejsca, gdzie czekała kareta.

Kiedy w ciszy jechali ulicami miast, markiz mocno ścisnął dłoń Jolanty. Dopiero gdy dotarli do domu Aimee, pomagając jej wysiąść, powiedział:

- Przyjadę po ciebie jutro rano o wpół do jedenastej i zabiorę cię na wystawę.

Jolanta była tak oszołomiona nadmiarem emocji, że z trudem rozumiała, co do niej mówił i sama nie zdołała wydobyć z siebie głosu. Ich oczy spotkały się i oboje na chwilę znieruchomieli. W końcu markiz odwrócił się i wsiadł z powrotem do karety. Jolanta weszła do domu. Idąc po schodach do swojej sypialni poczuła, jakby jej serce wywinęło kilka koziołków, cały świat przewrócił się do góry nogami.

Teraz usiłowała zmusić się do rozwagi. Markiz tylko dlatego zdołał w niej wzbudzić takie silne emocje, ponieważ była młoda i niedoświadczona. Wiedziony intuicją, domyślił się, że nikt nigdy jej dotychczas nie pocałował. Ta ignorancja w sprawach miłości może nie tyle go pociągała, co była źródłem cennego doświadczenia. Przez cały czas dzielący ich od ponownego spotkania Jolanta próbowała zminimalizować znaczenie tego, co się stało i nie dopuścić, by jej dotychczasowy sceptyczny stosunek do markiza de Montereau się zmienił.

Na przekór wszystkiemu, gdy ujrzała go w salonie Aimee, poczuła falę ożywienia, ogarniającego całe ciało. Mogła myśleć tylko o tym, jaki markiz jest pociągający.

Teraz, przewracając się z boku na bok na puchowych poduszkach, walczyła, aby nie przyznać się sama przed sobą, że jest zakochana do szaleństwa. Oto nadeszło to, czego zawsze pragnęła doświadczyć. Wiedziała, że taka właśnie powinna być miłość. Ale dlaczego markiz?

Przecież przybyła do Paryża, żeby znienawidzić tego mężczyznę. Była gotowa odepchnąć go z pogardą, jako człowieka, którego interesuje wyłącznie rozrywka. Podejrzewała go o utrzymywanie się z prezentów bogatych kobiet. Spodziewała się znaleźć człowieka pozbawionego poważnych cech charakteru.

Czyżby się myliła? A może była po prostu głupia, niedoświadczona i pozwoliła, by zawładnął nią urok tego człowieka, dla którego zdobywanie kobiecych serc stało się niemal profesją?

Trudno było to wszystko zrozumieć. Czuła się tak, jakby jej własny umysł stracił zdolność normalnego funkcjonowania, a tymczasem ciało, nagle ożywione nowymi emocjami, zaczęło dominować nad wszystkim. Obiektywny, logiczny tok rozumowania, którego ją nauczono, stał się

bezużyteczny. Zostało tylko przemożne i niepohamowane pragnienie, by czas biegł szybciej i przybliżył spotkanie z markizem.

Mówił, że chce z nią porozmawiać. O czym? Co zamierzał jej zakomunikować? Wiedziała, co pragnęłaby usłyszeć, lecz mówiła sobie, że oczekując szczęśliwego zakończenia, jak w bajce, prosiłaby o zbyt wiele.

- Jestem bardzo niemądra! - powtórzyła tuzin razy, ale gdy nadeszła pora, aby się ubrać do kolacji, wyskoczyła z łóżka ze zdwojoną energią i widząc swoje odbicie w lustrze, poczuła, że nigdy w życiu nie wyglądała równie pięknie.

Specjalnie wybrała kreację, w której nie mogła uchodzić ani za starszą, ani za bardziej wyrafinowaną niż była w rzeczywistości. Założyła suknię od Pierre'a Floreta, która wyjątkowo się jej podobała. Była uszyta z białej krepy i prawdziwej koronki. Tren tworzyły falbanki, spiętrzone jedne na drugich. Doskonały krój sprawiał, że Jolanta przypominała figurę greckiej bogini.

- Wyglądasz jak Afrodyta, wyłaniająca się z piany morskiej! - powiedział markiz, gdy zobaczył ją wchodzącą do salonu.

Umyślnie nie pożyczyła od Aimee żadnych klejnotów. Za jedyną ozdobę służyły dwie białe róże wpięte we włosy i jeszcze jedna, na szyi, podtrzymywana białą wstążką z tej samej tkaniny co suknia.

Żaden mężczyzna nie mógłby w tej chwili oprzeć się urodzie Jolanty. Miała nowe uczesanie, stworzone przez Felixa. Jej oczy lśniły płomiennym blaskiem z podniecenia i szczęścia, a pełne wargi rozchylały się w uśmiechu.

Markiz spojrział na nią, a potem, nie zbliżając się, oznajmił:

- Kocham cię. Miałem zamiar powiedzieć ci to później, podczas dzisiejszego spotkania, ale czyż istnieją inne słowa, którymi mógłbym wyrazić, jaka jesteś cudowna?

Zbliżyła się do niego i zapragnęła tak mocno, jak nigdy przedtem, żeby ją pocałował. Zamiast tego ucałował każdy palec i wnętrze jej dłoni, a na końcu nadgarstek. Drgnęła, czując dotyk warg na swojej skórze. Popatrzył jej w oczy i rzekł cicho:

- Myślę, że śpiąca królewna zaczyna się budzić ze snu. Zarumieniła się, a on powiedział:

- Chodźmy na kolację. Zabieram cię do Cafe Anglais, ale nie będziemy siedzieć w Grand Seize, gdzie wszyscy mogliby cię podziwiać. Chcę cię zatrzymać dla siebie.

Jolanta rozczuliła się, słysząc brzmącą w jego głosie zachłanność. Pozwoliła się poprowadzić przez hall i wsadzić do karety.

Potem, kiedy już ruszyli, zapytała zmienionym przez wzruszenie głosem:

- Dlaczego powiedziałeś, że nie będę... oglądana w Cafe Anglais?

- Ponieważ zjemy kolację w prywatnym gabinecie - odpowiedział. - Ustaliłem już menu. Pomyślałem, że zasługujemy na coś prawdziwie dobrego po tym niefortunnym drugim śniadaniu.

- Przecież doskonale się tam bawiliśmy! - zaprotestowała Jolanta.

- Zaczynam dostrzegać, że wszystko, co razem robimy, staje się świetną zabawą - odparł markiz. - I jeszcze milionem innych odczuć, których nigdy dotąd nie znałem.

Pojeła sens jego słów i po chwili odpowiedziała:

- Dla mnie wszystko jest tutaj wspaniałe, ale to co innego. Już ci mówiłam, że jestem tylko wiejską myszką i nigdy nie robiłam żadnej z tych rzeczy.

- Nie mówię o wystawach i zwiedzaniu miasta - przerwał jej markiz. - Mówię o uczuciach. Sprawiasz, że czuję coś, czego nigdy dotąd nie czułem wobec nikogo innego.

- Czy jesteś tego... pewien?

- Jestem najzupełniej pewien - odpowiedział z przekonaniem.

Dojechali do Cafe Anglais i markiz wprowadził ją stromymi schodami do pokoju, zwanego „Marivaux”. Był on także znany jako le Cabinet des femmes du monde (Gabinet kobiet światowych), ponieważ kobiety z towarzystwa używały go, gdy nie chciały być widziane ze swoimi kochankami, ale tę ciekawostkę markiz dyplomatycznie przemilczał. Gabinet był gustownie urządzony. Widząc pięknie nakryty stolik dla dwóch osób ozdobiony kwiatami, Jolanta poczuła wzruszenie i dumę z tego, że markiz chciał z nią być sam na sam.

Kelner otworzył butelkę szampana, która już na nich czekała w wiaderku z lodem. Markiz zdjął z ramion Jolanty narzutkę i powiesił ją na oparciu krzesła.

- Nigdy przedtem nie widziałem cię w bieli - powiedział.

- Podoba ci się?

- Podoba mi się wszystko, co nosisz - odpowiedział. - I jestem pewien, że tęcza nie ma ani jednej barwy, w której nie byłoby ci do twarzy.

Przerwał na chwilę, a potem zauważył:

- Dziś wieczorem wyglądasz bardzo młodo, jak dziewczyna na progu życia, która jeszcze nie wie, co ją czeka, ale upaja się rozkoszą samego istnienia.

Nie mówił dobrze znanym Jolancie drwiącym tonem. Jego głos nabrał takiej powagi i głębi, że dziewczyna przypatrywała się mu ze zdumieniem.

- O czym myślisz? - zapytał.

- Zadaję sobie pytanie, czy tylko... powtarzasz to, co mówiłeś już wielu... innym kobietom, czy też twoje komplementy są szczerze.

- To nie są komplementy, Jolanto! - przerwał gniewnie. - Moje słowa płyną prosto z serca.

Oddalił się od niej, przeszedł przez pokój i na moment zatrzymał się przed wysokim lustrem, wiszącym na ścianie. Ale nie przyglądał się sobie. Patrzył wgląd na odbity obraz Jolanty stojącej w białej sukni na tle ciemnoczerwonej kotary.

- Co ty za mną zrobiłaś? - odezwał się. - Powtarzałem sobie dziś tysiąc razy, że jestem daleko za stary, by czuć się w ten sposób.

- Ile masz lat?

- Mam dwadzieścia siedem lat - odparł - prawie dwadzieścia osiem.

Musiałoby minąć piętnaście lat, obliczyła w pamięci, od jego ostatniej wizyty w zamku, chyba że pojechał na pogrzeb papy. Czy ta sprawa miała w jego życiu jakieś znaczenie? Wiedziona nagłym impulsem zapragnęła wyznać mu, kim jest, zanim oboje głębiej uwikłają się w ten dziwaczny związek. Ale powiedziała sobie, że to byłby wielki błąd. Naznaczyła sobie rolę do odegrania i musiała wytrwać do końca, nawet jeżeli nie była pewna, kiedy ten koniec nastąpi.

Zasiedli do obiadu. Zauważyła, że markiz robił wszystko, by ją zabawić i rozśmieszyć. Opowiadał wesołe historie o Paryżu, opisywał wieczory w pałacu Tuileries, które czasami bywały niesłychanie nudne, i upajające noce na miejskich bulwarach i w gospodach.

- W Paryżu jest tyle atrakcji - powiedziała Jolanta. - Gdybym tu mieszkała przez dwadzieścia lat, uszczknęłabym tylko małą cząstkę.

- Czy na to właśnie masz ochotę? - zapytał markiz. - Na życie w Paryżu?

Jolanta potrząsnęła głową.

- Tutaj można spędzić fascynujące wakacje - odparła - ale naprawdę nie chciałabym mieszkać nigdzie indziej, tylko na wsi.

Wstrzymała oddech, czekając na jego reakcję. Markiz zaś odpowiedział pytaniem:

- Czy wieś nie wydaje ci się nudna?

- Ależ nie. Są konie, ogrody, tyle zajęć. Podniosła na niego oczy i dodała:

- Może... dla mężczyzny takie życie mogłoby się stać monotonne.

- Nie wtedy, kiedy ma się pieniądze.

Takiej odpowiedzi nie oczekiwała. Słuchała w napięciu, a on mówił dalej:

- Tym, którzy mają wielkie posiadłości, nigdy nie brak zajęć. Ale ja nie mam posiadłości. Została odebrana mojej rodzinie podczas rewolucji.

- I nie udało ci się zdobyć innej?

- We Francji dobra ziemia jest droga - odparł - a taki dom, w jakim chciałbym mieszkać, byłby jeszcze droższy.

Jolanta poczuła, że szczęście umyka z jej serca cienką strużką, tak jak woda wypływająca strumieniem z sadzawki w Lasku Bulońskim. Markiz na pewno marzył o zamku i wielkiej posiadłości Beauharnais, rozciągającej się na całe mile w dołbie Loary. Oczywiście, miał rację. Potrzebował dla siebie tego rodzaju tła. Ale by je zdobyć, musiał poślubić dziewczynę, której nie widział od czasu, kiedy miała trzy lata, dziewczynę, która według wszelkiego prawdopodobieństwa jest odpychająca, albo, co gorsza, równie oziębła jak jej nieżyjąca matka. Jolanta spazmatycznie zacisnęła dłonie.

Skończyli kolację. Tak jak mówił markiz, potrawy były wyśmienite. Cafe Anglais słynęła nimi w całym mieście.

- We Francji nie znalazłoby się lepszego jedzenia - zapewnił ją markiz. - Duglere, starszy kelner, zdradził mi, że car Rosji, król Prus i Bismarck mają w przyszłym tygodniu wydać tutaj bankiet, który na pewno przejdzie do historii gastronomii jako największe wydarzenie kulinarne w okresie Wystawy Światowej.

Jolanta delectowała się każdym z dań, ale gdy kolacja dobiegła końca, poczuła się, jakby celebrowali nie początek, ale koniec snu, który się rozwiął, zanim dostąpił spełnienia. Całkiem nagle zadała sobie pytanie, co robi w prywatnym gabinecie z mężczyzną znanym z licznych miłosnych podbojów. Słyszała już o tym człowieku, zanim przyjechała do Paryża, a fakt, że okazał się bardziej atrakcyjny i czarujący, niż przypuszczała, nie powinien był jej zaskoczyć. Należało tego oczekiwać, a jej zdziwienie dowodziło czystej głupoty. Przedsięwzięła, jak to nazwała madame Reneze, „szaloną eskapadę” i poniosła druzgocącą porażkę, tak jak można się było spodziewać. Zakochała się w profesjonalnym zdobywcy serc i wszystko, co wyniesie z tej przygody, to właśnie złamane serce.

Uprzątnięto stół i zostały na nim kwiaty, świece i filiżanki z kawą.

Markiz wyciągnął do niej rękę.

- Co cię trapi? - zapytał cicho.

Nie mogąc oprzeć się pokusie dotknięcia go, położyła rękę w jego dłoni.

- Dlaczego myślisz, że jestem strapiona? - zapytała.

- Mówiłem ci już przedtem, wiem o tobie wszystko. Teraz właśnie zapytujesz siebie, dlaczego tutaj ze mną jesteś i sądzę, że trochę się boisz.

- Boję się? - powtórzyła Jolanta.

- Tak. Boisz się - odparł. - Bałaś się pierwszego wieczora, kiedy weszłaś do zimowego ogrodu i spojrzałaś w dół na

zebranych gości i bałaś się, kiedy twoje oczy spotkały się z moimi.

Jego palce zacisnęły się na jej dłoni, kiedy zapytał:

- A może teraz porzucimy te wszystkie sekrety i powiesz mi, o czym myślisz i co czujesz, i dlaczego utrzymujesz między nami tę absurdalną i niepotrzebną barierę.

- To... nieprawda - próbowała zaprzeczyć, ale napotkała jego wzrok i słowa zamarły jej na ustach.

- Jesteś taka cudowna, moja najdroższa - powiedział markiz z czułością. - Taka doskonała i nietknięta! Gdybym był mądrzejszy, wziąłbym cię w ramiona i zaniósł do kraju, gdzie żylibyśmy sami i nie oglądałabyś nikogo innego oprócz mnie.

Słyszając namiętność, z jaką wypowiadał te słowa, Jolanta instynktownie przytrzymała się jego ręki,

- Byłbym dla ciebie bardzo dobry - powiedział markiz cicho - i żylibyśmy bardzo, bardzo szczęśliwie.

- O czym ty mówisz? - spytała Jolanta.

- Mówię ci, że cię kocham - odparł markiz. - I myślę, że ty też mnie troszeczkę kochasz.

Uśmiechnął się, widząc jej spuszczone oczy.

- Jesteś pierwszy raz zakochana, najśłodsza, i pozwól sobie powiedzieć, z tym nie można walczyć. Miłości nie można przewyciężyć i nie ma przed nią ucieczki.

- Czy i ty czujesz podobnie? - zapytała Jolanta z wahaniem.

- Mogę ci powiedzieć szczerze, jestem głęboko i nieprzytomnie zakochany - odpowiedział markiz. - Prawdą jest także, że to różni się od wszystkiego, co kiedykolwiek przeżyłem w przeszłości.

Opuścił wzrok.

- Już wiele razy myślałem, że jestem zakochany i znalazłem to prawdziwe uczucie, którego zawsze szukałem. Ale za każdym razem jakaś krytyczna część mego umysłu

mówiła mi, że to jeszcze nie jest ta idealna miłość, na którą czeka każdy człowiek.

Markiz przerwał, a potem rzekł z namaszczeniem:

- Myślę, że w duszy każdego z nas przemawia głos taki, jak ten, który słyszała Joanna d'Arc. Ten głos daje nam natchnienie, inspiruje nas, żebyśmy dążyli do doskonałości, szukali czegoś boskiego, ponadludzkiego.

Jolanta słuchała ze zdumieniem, nie przestając wpatrywać się w jego twarz.

- Tak łatwo uwierzyć, iż cud nie może się zdarzyć w naszym zwykłym, codziennym życiu. Jednak nieważne, jak bardzo temu zaprzeczymy, istnieje tęsknota i ten głos brzącający nie w naszych uszach, lecz w duszy, do której kieruje swe apele kościół.

Jolanta wzięła głęboki oddech. To takie dziwne, że markiz mówił o Joannie d'Arc. Ona także się do niej modliła. Ta święta była obecna w dolinie Loary i towarzyszyła Jolancie przez całe dzieciństwo, spoglądając na dziewczynkę z malowidła w zamkowej kaplicy.

- Widzę, że pojmujesz - powiedział markiz z błogim uśmiechem. - Dlatego, moja najdroższa, zrozumiesz, kiedy powiem, że teraz głos w głębi mnie wskazuje ciebie, jako przeznaczoną mi przez Boga już w dniu urodzin.

Jolanta wprost nie mogła uwierzyć w te słowa płynące z jego ust. Jednocześnie, trzymając cały czas jego rękę, czuła narastającą w duszy odpowiedź. Wszystko, co kiedykolwiek przeczytała i co usłyszała od ojca, nauczyło ją wierzyć w miłość, o jakiej mówił markiz. Takiej miłości rozpaczliwie pragnęła i miała nadzieję, że odnajdzie ją z człowiekiem, którego babka i ojciec wybrali jej na męża.

- Kocham cię! - odpowiedziała, a jej oczy pałały blaskiem.

- Moja słodka! Moja kochana! - powiedział markiz głosem łamiącym się ze wzruszenia. Podniósł ją z krzesła i wziął w objęcia. Trzymał w mocnym uścisku i łagodnie, tak jak poprzedniego wieczora, jego usta poszukały jej ust. Całował ją, jakby była czymś nieskończenie cennym i nieomal świętym. Potem, kiedy zasmakował nektaru jej warg, poczuł tęsknotę jej ciała i przebiegający ją dreszcz rozkoszy, jego pocałunki stały się bardziej gwałtowne i namiętne. Pokój, w którym stali, przestał istnieć. Jola czuła się, jakby była na zalanym słońcem tarasie w Beauharnais, a za nimi znajdowało się chateau i dolina pełna kwiatów, które zmieniały to miejsce w kraj baśni, piękna i miłości. Miłość była wszystkim, za czym tęskniła i czego pragnęła. Prawdziwa miłość, która nie liczyła kosztów, nie szczydziła poświęcenia i nie żądała niczego prócz swej własnej doskonałości.

Markiz westchnął głęboko, jakby z ulgą. Wciąż mocno trzymając Jolantę w ramionach, poprowadził ją do stojącej pod ścianą sofę.

- Musimy zrobić plany, moja najdroższa! - powiedział. - Plany na przyszłość.

- Jakie plany? - wymamrotała Jolanta. Czuła obezwładniającą falę szczęścia. Nie umiała teraz myśleć o niczym innym, tylko o bliskości markiza, o dotyku jego warg i sile jego ramion.

- Nie mogę pozwolić, byś mnie opuściła - rzekł markiz. - Chcę, byś była ze mną i we dnie, i w nocy, moja najdroższa.

- Ja też tego pragnę.

Złożył pocałunek na jej czole, potem, jedno po drugim, ucałował jej oczy, a w końcu usta.

- Powiedz mi jeszcze raz, że mnie kochasz - poprosił. - Chcę być pewien, że naprawdę posiadam coś tak doskonałego.

- Kocham cię! - powiedziała Jolanta posłusznie. - Kocham cię tak bardzo, aż trudno mi... myśleć o czymkolwiek

innym. Chcę tylko wciąż powtarzać, że... cię kocham i słuchać, jak ty mówisz, że mnie kochasz.

- Uwielbiam cię! Czczę cię!

- Na zawsze? Uśmiechnął się.

- Jak to się mówi, do grobowej deski, ale w naszym przypadku, moja najstarsza, wierzę, że miłość będzie trwała przez całą wieczność.

- To właśnie pragnęłam, żebyś... powiedział! - wykrzyknęła Jolanta. - O, Leo, to wszystko jest... takie dziwne... i takie podniecające, bo...

Już miała wyznać: „Bo ja nie jestem Jolanta Lefleur, tylko Maria Teresa de Beauharnais”. Ale właśnie w chwili, gdy zaczerpnęła oddechu, aby uczynić swoje wyznanie, markiz oświadczył: - Powodem, dla którego zabrałem cię dziś wcześniej do domu z wystawy, mimo że mogliśmy spędzić razem jeszcze kilka godzin, było to, że chciałem obejrzeć dom, który wydał mi się odpowiedni,

- Dom...? - zdziwiła się Jolanta.

- Znalazłem miejsce, gdzie możemy być razem odpowiedział markiz. - Jestem zazdrosny nawet o czas, który spędzasz z Aimee. Jeżeli chcesz, możesz się jutro tam przenieść.

Jolanta siedziała zupełnie nieruchomo. Lodowata ręka zacisnęła się na jej sercu. Szczęście prysło.

- Właściwie nie wiem... co masz na myśli - wyjąkała.

- To proste - odpowiedział. - Znalazłem prześliczny domek z ogrodem na skraju Lasu Bulońskiego. Sądziłem, że zechcesz tam jutro ze mną pojechać.

Uśmiechnął się znowu i dodał:

- Potem, kiedy będzie więcej czasu, opuścimy Paryż, wyjedziemy razem do jakiegoś cichego zakątka, gdzie będziemy mogli się lepiej poznać, moja najdroższa.

- O co ty mnie prosisz? - zapytała Jolanta ze zgrozą.

- Myślę, że formalnie nazywa się to protektorat - odparł markiz z lekkim niesmakiem. - Ale tak naprawdę, najdroższa, ofiarowuję ci moją miłość, serce i wszystko, co posiadam.

Jolanta poczuła, jakby w pokoju nagle zapadła ciemność. Potem, głosem, który prawie nie przypominał jej własnego, powiedziała:

- Czy prosisz mnie, żebym została twoją... kochanką?
- Czy sądzisz, że mógłbym dzielić się tobą z kimś innym?
- zapytał. - Oczywiście proszę, żebyś należała wyłącznie do mnie.

Uśmiechnął się i mówił dalej:

- Nie mogę, moja najdroższa, obsypać cię takimi klejnotami, jakie nosi La Paiva, ani nie kupię ci tuzina powozów, dobranych do twych sukien, jakie posiada madame Musard. Ale myślę, że nasza miłość wynagrodzi wiele rzeczy, na które, niestety, nie mogę sobie pozwolić.

Trochę mocniej przyciągnął Jolantę do siebie i powiedział:

- Wierzę ci, kiedy mówisz, że mnie kochasz, ponieważ, ma belle (moja piękna), nie potrafiłabyś mnie okłamać. Dlatego też wiem, że skoro nie jestem milionerem i nie zapewnię ci luksusu, tylko komfort, wystarczy, że będziemy szczęśliwi.

Pocałował ją w czoło i mówił dalej:

- Tak wiele muszę cię nauczyć, moja piękna. Moja śpiąca królewna jeszcze drzemie. Przebudzenie jej będzie najwspanialszą rzeczą, jaką kiedykolwiek robiłem.

Jolanta była całkowicie zdrętwiała. Mówiła sobie, że powinna się była tego spodziewać. Jednak nie mogła nie czuć się zaszokowana, a nawet przerażona, widząc, iż był gotów dać jej tylko tyle, ile ofiarowałby kobiecie pokroju tych, którymi gardziły madame Reneze i Aimee. Ponieważ nie umiała znaleźć słów, by odpowiedzieć markizowi i

wytłumaczyć, że wszystko to jest niemożliwe, wyslizgnęła się z jego objęć i powiedziała:

- Myślę... muszę... wracać do domu. Boli mnie... głowa.

- Spędziliśmy za dużo czasu na wystawie - odpowiedział markiz i także wstał. - Ale jutro, kiedy wypoczniesz, pójdziemy obejrzeć dom. Wiem, na pewno ci się spodoba. Zamkniemy wtedy drzwi, odetniemy się od całego świata i będziemy sami, ty i ja, z naszą miłością.

Jolanta nic nie odpowiedziała. Po raz pierwszy markiz spostrzegł, że reakcja Jolanty nie jest entuzjastyczna. Stał, patrząc na nią, a po chwili zapytał:

- Co się stało? Czemu nie jesteś zadowolona, tak jak się spodziewałem?

Milczała.

- Dlaczego nic nie mówisz? Skąd ta zamiana na twojej twarzy?

Czekał na jakieś wyjaśnienie. Kiedy nie padło żadne słowo, zrobił krok do przodu i powiedział:

- Przecież nie grasz przede mną? Jeżeli tak jest, jeżeli mnie okłamałaś, mówiąc o swych uczuciach, chyba cię zabiję!

Otoczył ją ramionami, gwałtownie przyciągnął ku sobie i dłonią obrócił jej twarz w kierunku swojej.

- Kłamiesz? - zapytał gniewnie i zanim zdołała odpowiedzieć, jego wargi znalazły się na jej ustach.

Pocałunki były gwałtowne i szorstkie, inne od tych, które poznała przedtem. Wargi markiza parzyły, a w jego oczach widziała blask ognia. Zaskoczona, przez chwilę czuła jedynie siłę pocałunków. Sprawiały jej ból. Potem zrozumiała, że wzbudza w nim zupełnie inne emocje niż te, które znała dotąd.

Próbowała się opierać, ale markiz był nieugięty. Wziął ją w ramiona i rozsunał kotarę, oddzielającą jedną część pokoju od drugiej. Nieomal rzucił Jolantę na stojącą tam niską sofę, którą dopiero teraz spostrzegła. Jolanta krzyknęła.

- Jesteś moja. Nie możesz mi uciec - powiedział markiz ochryple.

Znów poczuła na swojej delikatnej skórze jego palące, niemal brutalne pocałunku.

- Nie, nie, nie... - próbowała zaprotestować.

Całował jej policzki, szyję, potem znowu usta i poczuła jego dłonie na swoim ciele. Nagle strasznie się przeraziła tego, co markiz może zrobić. Szarpnęła się jak zwierzę w potrzasku, uwolniła usta od jego ust i zdołała krzyknąć:

- Nie, Leo! Nie! Nie! Proszę cię, Leo... Boję się... Dopiero ta prośba, rozpaczliwa jak płacz dziecka,

powstrzymała markiza. Spojrzał na Jolantę z pożądaniem i nieufnością. Oddychał ciężko. Jolanta zrozumiała, że wznieciła w nim płomień gniewu i żądy.

- Proszę cię... zostaw mnie - poprosiła.

Słowa niemal więzły jej w gardle, ale markiz usłyszał je, dostrzegł także strach malujący się na jej twarzy i błagalny wyraz jej oczu. Powoli wstał z sofy. Jolanta niepewnie uniosła się na poduszkach. Tymczasem markiz odwrócił się i poszedł do drugiej części pokoju. W butelce, stojącej w wiaderku z lodem, było jeszcze trochę szampana. Nalał sobie kieliszek i wypił jednym haustem. Jolanta wygładziła suknię. Czowała się posiniaczona i roztrzęsiona. Jej ręce drżały. Potem, poruszając się bardzo powoli, z oczami pociemniałymi ze strachu i pobladłą twarzą, podeszła do markiza.

On, nie patrząc na Jolantę, rzekł:

- Zabiorę cię do domu.

Przeszedł przez pokój, by podnieść z krzesła jej narzutkę. Otworzył drzwi i przepuścił najpierw Jolantę. Zeszli po schodach. Przez kilka minut czekali, aż odźwierny sprowadzi karetkę markiza.

Dopiero kiedy konie ruszyły, Jolanta odezwała się niepewnie:

- Przykro mi. Nie chciałam cię rozgniewać.

- Ja też przepraszam - odparł markiz. - Zapomniałem, jaka jesteś niewinna - uśmiechnął się, jakby drwił sam z siebie. - Zapomnijmy, co się wydarzyło dziś wieczorem. Pamiętajmy tylko, jacy byliśmy szczęśliwi przy kaskadzie w Lasku Bulońskim.

- Proszę, niech tak będzie - powiedziała drżącym głosem, jakby była bliska płaczu. Markiz objął ją ramieniem i delikatnie przytulił.

- Już dobrze, moja najśłodsza - uspokajał ją. - To wszystko stało się z mojej winy. Nigdy więcej cię nie przestraszę.

Oparła głowę na jego ramieniu, ale on wpatrywał się w zamyśleniu w ciemność przed sobą. Po chwili zapytała:

- Nie gniewasz się na mnie?

- Jestem zły sam na siebie - odparł Markiz. - Ale też trochę zdezorientowany.

Jolanta czekała. Markiz po chwili mówił dalej:

- Tak wielu rzeczy nie mogę pojąć. Dlaczego mieszkasz z Aimee, dlaczego tak się ubierasz, co spodziewasz się znaleźć w Paryżu?

Ponieważ nie mogła odpowiedzieć na te pytania, w każdym razie nie w tej chwili, Jolanta ukryła twarz na jego ramieniu i była bardzo bliska łez. Markiz przyciągnął ją mocniej do siebie.

- Jesteś zmęczona - rzekł z czułością. - Idź prosto do łóżka, a jutro ty i ja omówimy spokojnie różne sprawy. Znajdziemy na wszystko odpowiedź. Jestem pewien, że to całkiem proste.

Jolanta milczała a on pocałował ją we włosy.

- Kocham cię! - powiedział. - To jest jedyna rzecz, co do której nie ma wątpliwości.

Podróż na rue de Faubourg Saint - Honore nie była długa. Kiedy powóz wjechał na dziedziniec, markiz powiedział:

- Nie martw się niczym, moja kochana. Jutro wszystkie trudności i problemy będą się wydawać mniej dokuczliwe i może nawet zupełnie się rozpułną!

Znowu ją pocałował i mówił dalej:

- Zabiorę cię na przejażdżkę, potem w spokojnym miejscu zjemy obiad i porozmawiamy. Jest taka mała restauracyjka na brzegu Sekwany, skąd można oglądać barki płynące w górę i w dół rzeki.

- Bardzo bym chciała - zdołała wykrztusić Jolanta.

- Więc tam pojedziemy - oświadczył markiz. - Przyrzeknij mi, że pójdziesz spać i nie będziesz myśleć o niczym innym oprócz naszej miłości.

- Ja... spróbuję.

Markiz wziął obie dłonie Jolanty i ucałował je.

- Kocham cię! - rzekł znowu. - Idź spać, pamiętaj tylko te dwa słowa i wszystko, co one znaczą. Trzymasz moje serce w swych dłoniach... najdroższa.

Lokaj otworzył drzwi karety. Wysiedli. Markiz mruknął „dobranoc” i Jolanta, nie oglądając się za siebie, weszła do domu.

- Czy madame wróciła? - zapytała, pamiętając, że Aimee była tego wieczora zaproszona na kolację.

- Tak, m'nselle, madame jest sama w salonie.

Jolanta przebiegła przez hall i otworzyła drzwi. Aimee musiała właśnie wejść, bo stała przy oknie ściągając długie czarne rękawiczki, które zwykle nosiła. Odwróciła się, zobaczyła Jolantę i zawołała:

- Co się stało?!

Jolanta przeszła przez pokój i opadła na sofę. Wzięła głęboki oddech i wyrzuciła z siebie:

- Markiz poprosił mnie, żebym została jego kochanką!

Aimee podeszła bliżej.

- I to cię tak wyprowadziło z równowagi?

Mina Jolanty wystarczyła jej za odpowiedź, więc rzekła:

- Moje drogie dziecko, a czegoż więcej się spodziewałaś?

- Myślałam, że on mnie kocha, tak samo jak ja jego!

Aimee usiadła obok Jolanty.

- Kochasz go? - zapytała,

- Całym sercem - wyznała Jolanta. - On jest uosobieniem wszystkiego, o czym śniłam i co pragnęłam znaleźć w mężczyźnie, którego poślubię.

- On jest mężczyzną, którego poślubisz - przypomniała Aimee łagodnie.

Jolanta zrobiła gest rozpacz.

- Czy sądzisz, że wyjdę za niego; wiedząc, że kocha mnie tylko tyle, żeby uczynić mnie swoją utrzymanką?

Aimee przez chwilę milczała. Potem rzekła niemal ostro:

- Posłuchaj mnie, Jolanto. Jolanta podniosła na nią oczy.

- Wysłuchaj tego, co powiem i postaraj się zrozumieć - poprosiła Aimee. - Markiz pochodzi z arystokratycznej, znakomitej rodziny. Jego przodkowie przez pokolenia służyli królowi Francji. Na moment przerwała, a potem rzekła dobitnie:

- Dla niego małżeństwo nie ma nic wspólnego z miłością.

- Ale... jeżeli... mnie kocha? - zapytała Jolanta drżącym głosem.

- On kocha cię jako kobietę. Kiedy się z nim widziałam dziś rano, zanim pojechaliście na wystawę, zauważyłam, że wyglądał inaczej i że to miłość dokonała takiej zmiany.

- Gdyby naprawdę mnie kochał, poprosiłby mnie o rękę...

- To byłoby niemożliwe - oświadczyła Aimee z przekonaniem.

- Dlaczego? - zapytała Jolanta.

- Ponieważ wszystko, w co nauczono go wierzyć i co wciąż jest żywe w jego więzach krwi i rodowej dumie, powstrzymałoby go przed uczynieniem swą żoną i matką swoich dzieci kobiety, która nie ma tytułu i nie jest mu równa.

- Wiec on mnie nie kocha - powiedziała Jolanta. - W końcu... diuk ma zamiar się z tobą ożenić!

- To jest zupełnie inna sprawa.

- Nie widzę żadnej różnicy - odparła Jolanta.

- Wobec tego pozwól sobie wytłumaczyć - odparła Aimee. - Diuk ma zamiar uczynić mnie swoją drugą żoną. Ale wiem, że bez względu na to, jak wiele dla siebie nawzajem znaczymy - a jesteśmy dla Siebie nawzajem wszystkim na świecie - nigdy nie ofiarowałby mi tej pozycji, gdyby nie posiadał dziedzica tytułu.

Na twarzy Jolanty malowało się zdumienie, więc Aimee wyjaśniła:

- Diuk ma czworo dzieci, w tym dwóch synów. Jego żona straciła władzę umysłową, rodząc czwarte dziecko, to się czasem zdarza.

- Naprawdę chcesz powiedzieć, że diuk postawiłby swoją rodzinę na pierwszym miejscu przed... tobą?

- Ależ oczywiście, że tak! - zapewniła Aimee. - Tak każe tradycja wyrosła na niepisanych prawach, które od wieków były przestrzegane przez francuską arystokrację.

Jolanta przez chwilę milczała, a w końcu szepnęła:

- Czy myślisz... że markiz zamierza... zatrzymać mnie jako swoją kochankę... a w przyszłym miesiącu pojedzie... do zamku, żeby oświadczyć się... Marii Teresie de Beauharnais?

Aimee powstała i podeszła do kominka.

- Tobie może się to wydawać trudne do pojęcia, Jolanto - przyznała - ale ani przez chwilę nie pomyślałabym, że markiz uważa takie posunięcie za godne potępienia albo pod jakimkolwiek względem nienormalne.

- Sama myśl o tym napędza mnie zgrozą!
- Dlatego, że jesteś zakochana. Poza tym sama, z własnego wyboru, postawiłaś się w tej niemożliwej sytuacji. - Aimee spojrzała na Jolantę i powiedziała: - To niesprawiedliwe osądzać markiza, podczas gdy sama oszukujesz go, przebierając się za demi-mondaine. Nie mógłby przypuszczać, że kobieta tego pokroju pragnie małżeństwa albo liczy się z tym, że ktoś poprosi ją o rękę.
- Jestem oburzona! - rzekła na to Jolanta buntowniczo.
- Twojego ojca nie napędzało oburzeniem to, że znalazł sobie chere amie, będąc ożenionym z twoją matką.
- Postępowanie mojej matki uczyniło go rozpaczliwie nieszczęśliwym - odparła Jolanta.
- Twój ojciec zakochał się i, mimo że nie czuł wrogości wobec twojej matki, bez skrupułów spędzał trochę czasu z dala od domu.
- Takie właśnie są francuskie poglądy na życie! - rzekła Jolanta z odrazą.
- Ty jesteś Francuzką, moja droga - odparła Aimee. - Inne narody może uważają takie poglądy za godne potępienia, ale to jest nasz sposób życia, czy się innym podoba, czy nie.
- Gdyby Leo naprawdę mnie kochał tak bardzo, jak mówi, pragnąłby mnie jako swojej... żony.
- Czy ty naprawdę wierzysz, że to byłoby możliwe, biorąc pod uwagę, gdzie cię poznał, jak wyglądasz i jak postrzegają cię inni mężczyźni?
- Sposób, w jaki Aimee wymówiła ostatnie słowa, zaniepokoiły Jolantę.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała.
- Miałam zamiar z tobą pomówić dziś wieczorem, albo najpóźniej jutro rano - powiedziała Aimee. - Ponieważ, bez względu na to, jak układają się twoje stosunki z markizem, musisz wyjechać z Paryża!

ROZDZIAŁ 6

Jolanta wpatrywała się w Aimee ze zdumieniem. Przeszło jej przez myśl, że diuk jest przeciwny jej pobytowi w domu Aimee. Jednak wiedziała, że to niemożliwe, i po krótkiej chwili spytała:

- Dlaczego muszę wyjechać?

Aimee usiadła na sofie, rzuciła rękawiczki na stolik i powiedziała:

- Książę Napoleon był tutaj.

- Po co? - spytała Jolanta.

- Przyjechał zobaczyć się ze mną - odparła Aimee. - Ponieważ jest zdeterminowany, że musisz do niego należeć.

- Więc spotka go rozczarowanie! - odpowiedziała Jolanta ostro - i jestem gotowa mu to zakomunikować.

- To nie takie proste.

- Dlaczego?

- Chcę powiedzieć, że on nie tylko może wyrządzić krzywdę mnie, ale także diukowi, a na to nie mogę pozwolić.

Jolanta z oczami rozwartymi szeroko ze zdziwienia rzuciła się do Aimee i złapała ją za rękę.

- Wiesz, że nie naraziłabym na nic złego ciebie ani diuka. Byliście dla mnie tacy dobrzy! - zawołała. - Ale mów jaśniej, bo po prostu nie mogę tego pojąć.

- Książę Napoleon jest bardzo ważną osobą w Paryżu - rzekła Aimee - i ludzie są gotowi na wszystko, byleby tylko ustrzec się przed jego niechęcią. Książę ma porywczy charakter i, jak wielu mądrych ludzi, potrafi być bardzo zawzięty.

- Czy książę naprawdę oczekuje, żebyś zmusiła mnie do przyjęcia jego awansów? To masz na myśli?

- W rzeczy samej.

- Ależ to jest niewiarygodne!

- Właściwie trudno się dziwić - powiedziała Aimee. - Książę jest bardzo rozpieszczony. W pewnym sensie szczyści się swoją męską reputacją - uśmiechnęła się kwaśno. - Myśli, że, jeżeli mu odmówisz, stanie się pośmiewiskiem. Był przecież kochankiem najbardziej fascynujących kobiet w Paryżu, a miałby zostać odrzucony przez kogoś tak mało znaczącego jak ty?

- Nigdy nie słyszałam nic równie absurdalnego! - wykrzyknęła Jolanta.

Aimee uśmiechnęła się znowu.

- Moja droga, mężczyźni są tylko dziećmi. W Paryżu panowie rywalizują między sobą w dziedzinie miłosnych podbojów, tak jak Anglicy popisują się walecznością na polowaniach albo w zawodach jeździeckich.

- W jaki sposób książę może ci zagrażać? - zapytała Jolanta z niedowierzaniem.

- Książę, podobnie jak jego siostra, księżna Matylda, obraca się w kołach paryskiej inteligencji i wśród artystów. Gdyby naprawdę ogłosił mnie swoim wrogiem, większość ludzi, którzy teraz uświetniają mój salon, będzie się bała przyjmować moje zaproszenia.

- A jak, w takim razie, książę może skrzywdzić diuka?

- To coś dużo poważniejszego - odpowiedziała Aimee, a jej głos nabrał łagodnego ciepła, gdy mówiła o ukochanym.

- Ale diuk jest taką ważną osobistością - zdziwiła się Jolanta. - I takim wybitnym człowiekiem. Trudno sobie wyobrazić, że ktoś słuchałby, co mówi o nim książę.

- Diuk, mimo że wywodzi się z jednego z najstarszych rodów we Francji, uznał nowego cesarza, czego wielu innych arystokratów nie uczyniło - wyjaśniła Aimee. - Jest persona grata (dosł. osoba mile widziana) w Tuileries, a jednocześnie wiele jego interesów wiąże go z osobą księcia.

- Jakiego rodzaju interesów? - zapytała Jolanta.

- Niektóre z nich dotyczą rozwoju sztuki, a inne to plany ożywienia gospodarki w tych częściach Francji, które dotychczas były zaniechane przez cesarza.

- To jest rzeczywiście sprawa ogromnej wagi - przyznała Jolanta.

- To ważne dla Francji i ważne dla samego diuka - podkreśliła Aimee. - Poświęcił tym projektom tyle czasu, myśli i własnych pieniędzy, że nie zniosłabym, by mu je teraz odebrano i aby został odsunięty od toczących się dyskusji.

- Tak, oczywiście, rozumiem - zgodziła się Jolanta. - Ale nawet gdy opuścę Paryż, czy księżę nie będzie próbował się ze mną kontaktować?

- Pomyślałam o tym - odparła Aimee. - Powiem mu, że zdecydowałam się wrócić do bardzo dzikiego i odległego zakątka Francji i wyjść za mąż.

Ścisnęła dłoń Jolanty i dodała:

- I rzeczywiście wyjdiesz za mąż, taką przynajmniej żywię nadzieję.

Jolanta pozostawiła to bez odpowiedzi, tylko ucałowała Aimee i rzekła:

- Zawsze będę wdzięczna za twoją życzliwość i dobroć. Wyjadę jutro wcześniej rano, żeby nie dać Jego Cesarskiej Wysokości możliwości złożenia mi wizyty.

Poszła na górę do swojego pokoju. Powiedziała pokojówce, która czekała, by pomóc jej w wieczornej toalecie, żeby przyniosła kufry. Spakowanie pięknych sukien od Pierre'a Floreta zajęło im dwie godziny. Musiała pożyczyć dwa kufry od Aimee.

Kiedy wreszcie wszystko było gotowe i mogła położyć się do łóżka, strapienia nie pozwoliły jej zasnąć. Przewracała się w pościeli przez całą noc.

Mówiła sobie, że musi myśleć o ostatnich wydarzeniach chłodno i logicznie. Jej ojciec życzyłby sobie tego. Ale

podczas gdy umysł mówił coś innego, jej ciało zdawało się krzyżeć, że miłość, którą wyznał jej markiz, powinna być wystarczająco wielka, aby poprosił ją o rękę. Bez względu na to, co mówiła Aimee i co sama wiedziała o tradycyjnym francuskim *mariage de convenance* (małżeństwo zaaranżowane przez dwa znakomite rody w celu dyplomatycznym albo ekonomicznym), Jolanta pragnęła przeżyć „bajkę o kopciuszku”. Życzyła sobie być kochaną, ale nie dawać w zamian mężczyźnie nic oprócz swego serca. Chciała, by markiz pragnął jej jako osoby, bez zamku, bez fortuny, nawet bez gwarancji równego pochodzenia.

Jej logiczny umysł podpowiadał, że to zupełnie niemożliwe. Aimee miała rację: markiz jest Francuzem, a Francuzi nie myślą w taki sposób. Ale jakaś dziecinna i idealistyczna część jej świadomości odmawiała wszelkich kompromisów. Jolanta nie mogła pogodzić się z tym, że markiz kocha ją jako mężczyznę, ale nie jako arystokrata. Chwilami chciało jej się płakać, kiedy przypominała sobie, iż przez jedną maleńką chwilę, gdy markiz powiedział o swojej miłości, wzbiła się na wyżyny szczęścia tylko po to, by dowiedzieć się, że szczęście prysło i odtąd pozostanie poza zasięgiem jej ręki, jak pełgający w oddali błędny ogień.

Jeżeli w tych okolicznościach za mego wyjścia, pomyślała, już nigdy nie uwierzę w jego wyznania ani w to, że kiedykolwiek czuliśmy tak samo, ani że nasza miłość jest wieczna.

Zacisnęła palce w ciemności i wyszeptała:

- Miałby kobietę, której zapragnął jako kochanki, a także zamek, podczas gdy ja miałabym tylko mężczyznę nie kochającego mnie wystarczająco, by zaofiarować mi ślubną obrączkę.

Kiedy nadszedł świt, Jolanta wstała, żeby rozsunać zasłony i wyjrzeć przez okno do ogrodu. W oddali widziała

szare dachy Paryża i bure niebo, powleczone posępną zasłoną chmur.

Jolancie wydało się, że ten widok jest przepowiednią przyszłego życia; życia pozbawionego blasku słońca miłości, która tak bardzo ją odmieniła. Nie mogła już powrócić do swej pierwotnej natury...

Jak to się mogło stać? - zapytała sama siebie, dlaczego mam tak cierpieć?

Aż nazbyt dobrze знаła odpowiedź. Wszystko było jej własną winą. Postąpiła oburzająco, przyjeżdżając do Paryża. Żadna dama, będąc na jej miejscu, nigdy by się tak nie zachowała.

Teraz została ukarana. Reszta jej życia będzie wiec szara jak niebo tego ranka, a miłość stanie się dla niej nieosiągalna.

W tej właśnie chwili podjęła decyzję: nie poślubi markiza. Nie potrafiła sobie wyobrazić bardziej koszmarnego piekła na ziemi, niż kochać go tak ogromnie i wiedzieć, że wszystko, co otrzyma w zamian, nie będzie prawdziwym związkiem dwojga ludzi, dla których nie liczy się opinia reszty świata.

- Nigdy nie zapomnę! Nigdy mu nie wybaczę! - powiedziała głośno.

Było wcześniej, jednak nie zasunęła zasłon, tylko leżała, patrząc, jak brzask pełnie w poprzek nieba. Pomyślała, jak w Beauharnais słońce dotyka wieżyczek zamku i sprawia, że wyglądają jak odlane z czystego złota.

W tej chwili pojęła, iż zamek leży u podstaw jej wszystkich kłopotów. Był taki piękny, taki nęcący. Czuła, że prawdziwym powodem, dla którego markiz nie chciał jej dać swojego nazwiska wraz ze swoim sercem było to, że wtedy musiałby się wyrzec zamku.,

Napiszę do niego list i więcej się nie zobaczymy, postanowiła.

Potem przypomniała sobie, że będzie musiała przekonać babkę, by odwołała zaproszenie dla markiza. Zrobiło jej się słabo na myśl o kłótni, jaką wywoła, o gniewie babki, która stanie przed koniecznością zmiany planów. Najwięcej trudu sprawi wyjaśnienie, dlaczego tak nagle postanowiła nie wychodzić za markiza de Montereau i dlaczego nawet nie chce przyjąć jego wizyty w zamku.

Nie napiszę do niego, pomyślała Jolanta, powiem Aimee, żeby opowiedziała mu tę samą historię, którą ma dla księcia Napoleona. W ten sposób załatwię sprawę Jolanty Lefleur. Potem, kiedy już będę w domu, wymyślę jakiś powód, dla którego markiz ma nie przyjeżdżać do Beauharnais.

Przyszła pokojówka, więc Jolanta wstała i ubrała się w nowy, elegancki jedwabny kostium z powiewną peleryną, świetnie nadający się na podróż. Szmaragdowozielony kolor sukni sprawiał, że skóra Jolanty zdawała się biała jak alabaster, a jej oczy przypominały dwa połyskujące szmaragdy.

Kreację uzupełniał elegancki kapelusik, przybrany liśćmi bluszczu. Właśnie miała go założyć na głowę, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Pokojówka poszła otworzyć i Jolanta usłyszała słowa lokaja:

- Monsieur le marquis de Montereau przyszedł zobaczyć się z m'nselle.

Jolanta spojrzała na zegarek, stojący na kominku. Nie było jeszcze dziewiątej. Wiedziała, że Aimee na pewno jeszcze śpi. Zawsze wstawała późno.

Pierwszym odruchem Jolanty było odmówić przyjęcia markiza. Pomyślała jednak, że wizyta o tak wczesnej porze musi być spowodowana jakąś sprawą nie cierpiącą zwłoki. Markiz mógłby nalegać, co doprowadziłoby do nieprzyjemnej

sceny na oczach służby. Odłożyła więc kapelusz na toaletkę i powiedziała do służącej:

- Poinformuj monsieur le marquis, że zejść na dół za kilka minut.

Służąca powtórzyła wiadomość lokajowi. Kiedy drzwi się zamknęły, Jolanta powiedziała:

- Nie chciałabym, aby monsieur zorientował się, że wyjeżdżam, ale dopilnuj, żeby za pół godziny czekał na mnie powóz. Mam zamiar zdążyć na pociąg, który odjeżdża kilka minut po dziesiątej.

- Dobrze, m'mselle - odparła służąca. - Wszystkiego dopilnuję i dopóki markiz nie wyjedzie, nikt się nie dowie, że pani rzeczy są spakowane ani że pani wyjeżdża.

- Dziękuję - rzekła Jolanta.

Spojrzała w lustro. Po bezsennej nocy miała niezwykle bladą twarz i głębokie cienie pod oczami. Ponieważ wracała teraz do domu, nie przyczerniła rzęs, nie nałożyła rózu na policzki ani nawet szminki na usta. Zastanawiała się przez chwilę, czy markiz nie będzie zdziwiony tą zmianą w jej powierzchowności. Ale powiedziała sobie, że to nie ma znaczenia, bowiem po dzisiejszej rozmowie nigdy się już nie spotkają.

Była zdecydowana pozostać chłodną i nie zdradzić przed nim swoich uczuć. Jednak gdy szła po schodach, jej serce biło jak szalone, a palce miała zimne niczym sople lodu.

Markiz czekał w salonie. Stał przy jednym z wysokich okien i patrzył na ogród. Kiedy weszła, odwrócił się i zobaczyła, że on także jest blady, a jego twarz nosi wyraźne ślady nieprzespanej nocy.

- Chciałeś się ze mną widzieć? - zapytała głosem, który brzmiał obco nawet dla niej samej.

- Jest bardzo wcześnie - odparł markiz - ale nie mogłem czekać, a jakoś czułem, że i ty już nie będziesz spała.

Z trudem utrzymując się na nogach, Jolanta przeszła przez pokój i usiadła na krześle tyłem do okna. Miała nadzieję, że w ten sposób markiz nie będzie mógł nic wyczytać z jej oczu.

Tymczasem on nie patrzył na nią ani nawet się nie zbliżył, tylko stanął plecami do wygasłego kominka.

- Przechadzałem się po mieście przez całą noc - powiedział.

- Przechadzałeś się? - zapytała Jolanta zdumiona.

- Chciałem pomyśleć. Bóg wie, dokąd zaszedłem, dużo czasu spędziłem na brzegu Sekwany, widząc na powierzchni wody obraz twojej twarzy.

- Nie rozumiem.

- Wiem - odpowiedział markiz. - I wiem już, tak jak zawsze dotąd, co myślałaś wczorajszej nocy i co czułaś.

Jolanta nie odpowiedziała, tylko zacisnęła dłonie na kolanach.

- Dlatego chcę ci udzielić wyjaśnienia - mówił dalej markiz - żebyś mogła zrozumieć, dlaczego wczoraj się tak zachowałem.

W głosie markiza zabrzmiała nuta, którą Jolanta słyszała po raz pierwszy. Spojrzała na niego, ale szybko odwróciła wzrok.

- Bardzo mało rozmawialiśmy o sobie - powiedział markiz. - Nigdy zdaje się nie mieliśmy na to dość czasu. Ale prawdopodobnie wiesz, że mój dziadek zginął na gilotynie w czasie rewolucji, a wszystkie nasze posiadłości zostały skonfiskowane - mówił niedbale, jakby nie przywiązywał do tych wydarzeń większego znaczenia. - Mój ojciec był więc bardzo biedny i kiedy umarł, nie zostawił mojej matce nic oprócz nędznej pensyjki. Ale dzięki wielkoduszności dalekiego kuzyna, hrabiego de Beauharnais, otrzymałem bardzo staranne i kosztowne wykształcenie.

Jolanta wzięła głęboki oddech, ale nie odezwała się ani słowem. Markiz ciągnął:

- Co więcej, hrabia pozwolił nam zamieszkać w swoim zamku w dolinie Loary.

Na chwilę przerwał, a potem cicho mówił dalej:

- Trudno wypowiedzieć, jaki tam byłem szczęśliwy. Miałem nie tylko wierzchowce do jazdy, ale tysiąc różnych zajęć, które wprawiłyby w zachwyty każdego małego chłopca. Był też sam zamek.

Jego oczy nabrały blasku.

- Zamek to bezsprzecznie najpiękniejsze, najwspanialsze miejsce, jakie widziałem w życiu. W moim dzieciństwie był on nie tylko ucieleśnieniem wszystkich chłopięcych marzeń, ale źródłem wprost trudnych do pojęcia inspiracji.

Jolanta potrafiła pojąć. To był wpływ, który zamek zawsze wywierał na ludzi, ona sama przecież tego doświadczała.

- Potem, kiedy miałem dziewięć lat - ciągnął markiz - stary hrabia zmarł i jego miejsce zajął syn, człowiek, którego otaczałem niemal czcią, człowiek, który był najlepszym przyjacielem, jakiego miałem.

Słyszając ten hołd, składany ojcu, Jolanta poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Szybko spojrzała w dół na dłonie, aby markiz nie dostrzegł wyrazu jej twarzy.

- Nowy hrabia de Beauharnais nie tylko nadal finansował moją edukację - opowiadał markiz - ale sam nauczył mnie wielu rzeczy. Obcowanie z jego inteligencją i mądrością było darem, którego nigdy nie zapomnę. Westchnął.

- Na nieszczęście jego żona różniła się od niego. Jolanta miała ochotę przyznać: „O tak, ogromnie się różniła!”, pamiętając aż zbyt dobrze charakter swojej matki.

- Hrabina była fanatyczką religijną - powiedział markiz - i zdołała uczynić życie w zamku nieznośnym nie tylko dla

swego męża, ale także dla wielu krewnych, którzy tam mieszkali.

Wykonał gest ręką i powiedział:

- Jeden po drugim, wszyscy opuszczali Beauharnais. W końcu hrabina zaczęła okazywać mojej matce taką wrogość, że i my wyjechaliśmy.

- Dokąd się udaliście? - zapytała Jolanta czując, że wypada się odezwać, kiedy markiz na chwilę zamilkł.

- Hrabia kupił nam dom na przedmieściach Paryża - odparł markiz. - A mnie posłał do najbardziej prestiżowej szkoły we Francji. Na wakacje zaangażował dla mnie nauczycieli, z którymi podróżowałem do Włoch, Grecji, Anglii i innych miejsc. Zaplanował wszystko tak, jakbym był jego synem.

Jolanta nagle zastygła w bezruchu. Zaczynała rozumieć.

- I rzeczywiście pragnął mnie nim uczynić - powiedział markiz. - A wytłumaczył mi to w prosty sposób, gdy miałem osiemnaście lat.

Jolanta przestraszyła się, że markiz kontynuując swe opowiadanie usłyszy bicie jej serca.

- Hrabia miał tylko jedno dziecko, dziewczynkę. Kiedy ją ostatni raz widziałem, miała trzy lata. Powiedział, że dlatego dał mi takie hojne i staranne wykształcenie, ponieważ jego największym marzeniem jest, abym poślubił Marię Teresę i stał się właścicielem zamku.

Markiz zamilkł, a po chwili Jolanta zdołała zapytać:

- Czy ten pomysł ci się spodobał?

- Początkowo wprowadził mnie w osłupienie - odpowiedział.

- Potem, gdy pojąłem, jaki otrzymuję ogromny, fantastyczny dar, z trudem mogłem w to uwierzyć.

- Czy nie poprosiłeś, żeby hrabia pozwolił ci poznać dziewczynkę, którą masz poślubić?

- Oczywiście, że tak, ale hrabia uważał, że to byłby błąd. „Moja córka, jak sądzę, wyrośnie na skończoną piękność - odpowiedział mi - ale źrebięta bywają niezgrabne, zanim osiągną swoje pełne możliwości. Chcę, żebyś zobaczył Marię Teresę w jej prawdziwym rozkwicie”. Uśmiechnął się i dodał: „Mamy mnóstwo czasu”.

Markiz przeszedł parę kroków po pokoju.

- Hrabia powtórzył to samo parę lat później, kiedy znowu go zapytałem, czy mogę poznać jego córkę. „Nie ma pośpiechu, mój drogi Leo - powiedział. - Chcę, żebyście się spotkali, kiedy Maria Teresa będzie w odpowiednim wieku, żeby się w tobie zakochać, i żebyś ty mógł zakochać się w niej”. Roześmiał się i dodał: „Musisz mi pozwolić wyreżyserować ten romans po swojemu. A żaden reżyser nigdy nie miał równie atrakcyjnych odtwórców głównych ról”. „Ani piękniejszej scenerii!” - dodałem. Hrabia roześmiał się i powiedział: „Wiedziałem, że to powiesz. Zamek został stworzony dla miłości, a ona nie zagościła w nim od czasu, kiedy tu zamieszkałem. Ty to zmienisz, Leo, ty i Maria Teresa”.

Głos markiza nieco przycichł.

- To po tej ostatniej rozmowie, mając dwadzieścia trzy lata, podjąłem ważną decyzję.

- Jaką? - zapytała Jolanta.

- Wiedziałem, że nie mogę poślubić kobiety, która nie tylko jest bogata, ale posiada zamek moich snów, jeżeli sam nie będę miał czegoś od zaofiarowanie. Dlatego postanowiłem stać się zamożnym człowiekiem.

- Zamożnym człowiekiem? - zapytała Jolanta.

- Zdawałem sobie sprawę, że to nie będzie łatwe - przyznał markiz - ponieważ sam nie posiadałem nic oprócz bardzo hojnej pensji, jaką wyznaczył dla mnie hrabia. Jednak przemyślałem sprawę bardzo poważnie, a potem oznajmiłem

mu, jakie mam plany. Dał mi swoje błogosławieństwo, choć jak sądzę, potraktował to z pewną dozą sceptycyzmu.

- A co zamierzałeś zrobić?

- Nie uszło mojej uwagi, że w Paryżu można spotkać całe tuziny zubożałej szlachty. Ich obecność często wprawiała w zakłopotanie, a nawet żenowała cesarza i resztę zamożnego, ekstrawaganckiego towarzystwa. - Mówił tak, jakby ponownie stał przed podjęciem tamtej trudnej decyzji, - A poza tym mam organiczny wstęt do proszenia kogokolwiek o pomoc - dodał z obrzydzeniem.

- Więc co... zrobiłeś?

- Pojawiłem się w kręgach towarzyskich Paryża w roli bogatego, beztroskiego młodzieńca.

- Bogatego? - zapytała Jolanta zdziwiona.

- Pożyczyłem pewną sumę pieniędzy od przyjaciela - powiedział markiz. - Nie od hrabiego, jemu zawdzięczałem już wystarczająco dużo. Przyrzekłem oddać pieniądze w ciągu dwóch lat i przysięgłem sobie, że nie zawiodę ani jego, ani siebie.

- Ale jak mogłeś zdobyć te pieniądze? Markiz uśmiechnął się drwiąco.

- Mężczyźni w równym stopniu jak kobiety uwielbiają pochlebstwa, ale nie te dotyczące swego wyglądu, ale majątku. Paryż jest wypełniony mężczyznami, którzy rywalizują ze sobą, popisując się swoim bogactwem. Trwonią olbrzymie sumy na kobiety. Te zaś wydają pieniądze tak szybko, jak tylko oni mogą je zarobić.

- Nie rozumiem, co ty... możesz mieć z tym wspólnego - powiedziała Jolanta. Poczowała ukłucie zazdrości słysząc, jak markiz mówi o kobietach.

- Postarałem się być atrakcyjnym i użytecznym towarzyszem dla tych panów, których można spotkać na każdym liczącym się przyjęciu i na każdej większej prośzonej

kolacji. Czasem, kiedy oddałem komuś przysługę, powtarzając to, co usłyszałem krążąc między przedstawicielami finansjery, pokazywano mi sposoby zarabiania pieniędzy.

- Na giełdzie? - zapytała Jolanta.

- Na giełdzie, na wyścigach, na rynku walutowym. Zawsze istnieje ktoś zorientowany, człowiek, który odrobinę przerasta inteligencją i bystrością umysłową wszystkich dookoła.

- I zarabiałeś... w taki sposób?

- Zarabiałem, ponieważ nikt nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo potrzebuję pieniędzy - odparł markiz i zaśmiał się. - Nie jestem milionerem, ale kiedy dwa tygodnie temu otrzymałem list z Beauharnais, powiedziałem sobie, że nie pojedę do nich z pustymi rękami.

- List? - zapytała Jolanta wiedząc, co markiz ma na myśli.

- To był list od hrabiny Dowergeńskiej, żony hrabiego, który pomógł mojej matce i mnie - wyjaśnił markiz. - Zaprosiła mnie do zamku w przyszłym miesiącu, bowiem Maria Teresa ma wreszcie osiemnaście lat i jest dorosła.

- Czy znałeś powód tego zaproszenia?

- Wiedziałem, że muszę dotrzymać przyrzeczenia danego hrabiemu, ożenić się z Marią Teresą i zaopiekować zamkiem i posiadłościami zgodnie z jego życzeniem.

Jolanta nie była w stanie nic powiedzieć.

- Wszystko było takie proste - rzekł markiz. - To, co było dla mnie ułożone od czasu, gdy skończyłem dziewięć lat, właśnie miało się spełnić i wydać owoce. I w takiej chwili spotkałem ciebie.

Spojrzał na Jolantę i powiedział:

- Wczorajszej nocy zdawałem nurtowi rzeki pytanie, dlaczego, w imię Boże, pojawiłaś się właśnie teraz w moim życiu i znalazłem odpowiedź.

- Jak ona brzmi? - zapytała Jolanta tak cicho, że z jej ust dobyło się ledwie westchnienie.

- To musi być przeznaczenie - przeznaczenie, któremu powinniśmy się poddać, a które każe mi pojąć, że miłość jest większym skarbem niż dobra materialne, nawet niż zamek, choć tęskniłem za nim przez całe życie.

Jolanta podniosła wzrok na markiza, zobaczyła wyraz jego oczu i jej serce na moment przestało bić. Zdawało się jej, że słuch ją zawiódł.

- Moja ukochana - powiedział cicho markiz - przyszedłem tu tak wcześnie rano, aby cię prosić, byś została moją żoną!

Czas zdawał się stanąć w miejscu. Potem markiz zobaczył, jak na blade policzki Jolanty wraca rumieniec, jej oczy odzyskują blask, a cała twarz wprost promienieje. Wyglądało to, jakby wschodzące nad horyzontem słońce rozproszyło mrok nocy.

Spojrzała na niego ze zdumieniem, nie mogąc uwierzyć w usłyszane słowa, a jednocześnie jej ciało jak gdyby zaczęło powracać do życia.

- Naprawdę?

- Tak jest! - odparł markiz. - Ale ponieważ czuję, że zawiódłem człowieka, który zrobił dla mnie więcej, niż jakakolwiek istota ludzka może zrobić dla drugiej i nadal jestem związany słowem honoru z dziewczyną, której nie widziałem od dzieciństwa, jadę dzisiaj do Beauharnais, aby wyjaśnić sytuację, zanim ty i ja weźmiemy ślub.

- Jedziesz... do... Beauharnais? - powtórzyła bezwiednie Jolanta.

Trudno jej było myśleć, w tej chwili nie istniało nic prócz rozpiekającego ją szczęścia.

Kochał ją! Kochał ją! Czuła, jakby wyrosły jej skrzydła, a cały pokój, a w nim oni oboje, był skąpany w złocistym świetle.

- Już wysłałem telegram, żeby uprzedzić o swoim przybyciu - powiedział markiz. - Wrócę jutro i wtedy, moja maleńka, opowiesz mi o sobie.

Spojrzał na nią. Mimo że się nie poruszył, poczuła, jakby wziął ją w ramiona i pocałował.

- Kocham cię! - powiedział markiz bardzo cicho. - I nie wiedziałem, że można tak mocno kogoś kochać.

- Och, Leo... - słowa, które padły z ust Jolanty brzmiały delikatnie, jak westchnienie.

Ich oczy spotkały się.

- Jeżeli będziesz tak na mnie patrzeć, nie zdołam stąd odejść. Nie wolno ci mnie kusić, moja najdroższa, albo złamię daną sobie obietnicę i nie uwolnię się w honorowy sposób od mego zobowiązania.

- Rozumiem.

- Wiedziałem, że zrozumiesz. Z nadludzkim wysiłkiem markiz odwrócił się i poszedł w kierunku drzwi. Kiedy już był przy wyjściu, Jolanta z trudem wydobyła z siebie pytanie:

- O której godzinie... odjeżdżasz?

- O ile wiem, pociąg odjeżdża z Paryża około południa - odparł. - Ale nie mogę do tego czasu zostać z tobą, moja kochana, i myślę, że wiesz dlaczego.

Jego wzrok spoczął na wargach Jolanty - odczuła go niemal jak pocałunek. Potem, zanim zdążyła coś powiedzieć, a właściwie zanim zorientowała się, co się dzieje, markiza już nie było. Usłyszała stukot kół powozika odjeżdżającego sprzed drzwi frontowych.

Z radosnym okrzykiem wbiegła po schodach i bez pukania wpadła do sypialni Aimee. Pokojówka już odsuwała zasłony. Kiedy Jolanta stanęła obok łóżka, Aimee spojrzała na nią zaspanymi oczami.

- Co się stało?

- Zwyciężyłam! Och, Aimee, zwyciężyłam! -
wykrzyknęła Jolanta. - Leo tu był. Poprosił mnie o rękę!

Aimee usiadła na łóżku.

- Poprosił, cię o rękę? Jolu, jak to cudownie!

- Już postanowiłam, że pojedę do domu i nigdy się z nim nie zobaczę - ale teraz wszystko się... zmieniło. Wszystko jest doskonale.

- Tak się cieszę - powiedziała Aimee, a w jej głosie zabrzmiała ledwie słyszalna tęskna nuta.

Jolanta zarzuciła jej ramiona na szyję i pocałowała ją w policzek.

- Wszystko i dla ciebie przybierze pomyślny obrót - powiedziała. - Jestem tego pewna. Dziękuję, dziękuję za całą twoją dobroć!

W pośpiechu jeszcze raz pocałowała Aimee i dodała:

- Muszę już jechać. Powinnam być w Beauharnais, zanim on tam przyjedzie.

- Wobec tego spiesz się! - uśmiechnęła się Aimee. - I nie zapomnij zaprosić mnie na swoje wesele.

- Nie zapomnę - obiecała Jolanta i wybiegła z pokoju.

Podczas gdy pociąg uwoził ją dalej i dalej od Paryża w głąb tonącej w kwiatach wsi, Jolanta dziękowała Bogu, że wysłuchał jej modłów.

Papa na pewno o wszystkim wie, pomyślała, i jest zadowolony, że wszystko dzieje się zgodnie z jego życzeniami.

- Jestem taka szczęśliwa, papo! - powiedziała. - Ale nie mogłam przecież odgadnąć, z jakiego powodu Leo bywał na każdym przyjęciu, a jego imię zawsze wymieniano w gazetach i dlatego wszyscy o nim plotkowali.

Jolanta była wystarczająco inteligentna, aby zrozumieć, jakiego rodzaju aurę roztoczył markiz dookoła swojej osoby. Miał rację sądząc, że uwagę bogatych przyciągają tylko inni

bogaci, i że ludzie chętnie dają tylko tym, którzy mają wiele, a nigdy tym, którzy nie posiadają nic. Markiz nie mógłby wprowadzić w życie swojego sprytnego planu, nie będąc osobą wyjątkowo inteligentną, dowcipną i czarującą. Tylko w ten sposób zapewnił sobie popularność i wśród mężczyzn, i wśród kobiet. Na myśl o tym, jak wiele kobiet go kochało, Jolanta poczuła nieuniknione ukłucie zazdrości. Jednak powiedziała sobie, że żadnej kobiecie nie złożył u stóp większej ofiary niż jej, kiedy prosił ją o rękę nic o niej nie wiedząc, sądząc, że nie posiada znaczącej pozycji i na dodatek, obraca się w środowisku demi-mondaines.

- Kocha mnie! On naprawdę mnie kocha! - powtarzała sobie raz po raz przy akompaniamencie stukotu kół. Jechała w osobnym przedziale, który dla niej zarezerwował służący Aimee. Babka bez względu na to, byłaby przerażona, że jej wnuczka podróżuje bez opieki. Ale drobnostki, które zawsze zaprzętały uwagę grandmere, byłyby niczym w porównaniu z jej reakcją, gdyby Jolanta, tak jak początkowo zamierzała, oświadczyła po powrocie do domu, że nie wyjdzie za markiza.

Teraz nikt się nie dowie o oburzającym przedsięwzięciu, jakie podjęła jadąc do Paryża i mieszkając u Aimee Aubigny.

- Nikt oprócz markiza! - Jolancie wydało się, że usłyszała w przedziale jakiś głos, wypowiadający te słowa. Poczowała, jakby wylano na nią kubel zimnej wody. Nagle zdała sobie sprawę, że markiz może wpaść w gniew. W końcu żaden człowiek nie lubi być oszukiwany, nikt nie chce, by robiono z niego głupca, a ona właśnie tak postąpiła ze swoim ukochanym.

- To nieprawda, nie miałam takiego zamiaru! - krzyknęła Jolanta.

Nagle jasno i boleśnie uświadomiła sobie, iż markiz może nie być tak błogo szczęśliwy, jak oczekiwała, gdy po

przyjeździe na ziarnek zastanie Jolantę Lefleur w osobie Marii Teresy de Beamharnais.

- On zrozumie - uspokajała się Jolanta.

Ale mała chmurka lęku zaczęła rzucać cień na jej promienne szczęście. Nie czuła takiego przerażenia nawet na wieść o zaplanowanym przez babkę małżeństwie, niemniej... nie wszystko było idealne.

W miarę jak pociąg zbliżał się do Langeais, ciemna plamka w morzu światłości rozrastała się i przybrała kształt srogiego i oskarżycielskiego wyrazu twarzy markiza. To, jak na nią patrzył i co mówił tego ranka sprawiło, że czuła, jakby na jego ramionach wzniosła się w samo serce słońca. Ale teraz ogarniał ją lęk, chociaż przekonywała samą siebie, iż nie ma powodów do obaw.

Pociąg zajechał na stację w Langeais, a ponieważ w podnieceniu zapomniała zatelegrafować do babki w sprawie swojego przyjazdu, więc, oczywiście, nie wysłano po nią powozu. Na szczęście знаła zawiadowcę i kiedy wytłumaczyła, że wyjeżdżając w wielkim pośpiechu nie miała czasu zawiadomić mieszkańców zamku, ten życzliwy człowiek postarał się o powóz dla niej. Bagaż bezpiecznie złożono w biurze zawiadowcy stacji, skąd miała go potem odebrać służba z Beauharnais.

Obietnica deszczu, który zwiastowały ciemne chmury zasnuwające paryskie niebo, nie ziściła się. Teraz było słonecznie, co Jolanta uznała za dobry omen.

Wszystko będzie dobrze, pomyślała i rozkoszowała się świadomością, że markiz ją kocha, i to wystarczająco mocno, żeby poświęcić dla niej wszystko, nawet zamek. Przypomniła sobie, jak ciepło mówił o papie. Spoglądając wstecz, zaczęła przywoływać z przeszłości szczegóły, z których mogła wywnioskować, jaką ojciec planował dla niej przyszłość.

Pragnął mieć syna, dziedzica i wbrew jego naturze byłoby zostawienie bezbronnej Jolanty na pastwę łowców posagów.

Papa kochał mnie, pomyślała Jolanta, i kochał także Leo.

Wyobrażała sobie, jak planował ich ze sobą połączyć. Była pewna, że po zakończeniu żałoby po hrabinie zamek znowu wypełniliby krewni i przyjaciele tak długo pozostający z daleka. Potem, gdy już powstałaby odpowiednia atmosfera, ojciec zaprosiłby Leo.

Oto co byś zrobił, papo, powiedziała Jolanta w głębi serca, ale może w ten sposób wszystko było bardziej ekscytujące. Nie napotykając żadnych przeszkód, może byśmy sobie nigdy nie uświadomili, jak wielka jest nasza miłość.

Powóz przejechał most na Loarze, a potem na Indrze. Po obu stronach drogi rozciągała się wiosenna, ukwiecona łąka. Jechali w stronę kwitnących sadów. Wreszcie ukazał się zamek. Skapane w słońcu wieże i wieżyczki rysowały się na tle zielonego lasu. Ściany z białego kamienia wprost emanowały światłem. Zamek dzięki temu zdawał się unosić w powietrzu ponad swymi tarasami. Był taki piękny, taki bajkowy. Oczy Jolanty napełniły się łzami na wspomnienie tego, jak markiz nazywał ją śpiącą królewną. Teraz już się obudziła. Obudziła się, by zrozumieć, iż jej ojciec miał rację. Zamek był stworzony do miłości.

- Uczynię Leo szczęśliwym i będziemy mieli dużo dzieci - pomyślała Jolanta - a zamek nigdy nie będzie zimny, srogi ani pusty jak za moich lat dziecińczych.

Przy akompaniamencie tętentu końskich kopyt, po piaszczystej drodze zbliżała się coraz bardziej do domu.

Zamek wyglądał teraz tak, jak gdyby miał wzlecieć w rozświetlone niebo i pozostać tylko mirażem. Mówiła sobie, że nie ma się czego obawiać. Zamek był prawdziwy, stał przed nią. Zaczeka na Leo, a on wszystko zrozumie. Jednak ten mały skurcz lęku nie opuszczał piersi Jolanty, także

kiedy powóz wjeżdżał przez kutą żelazną bramę zdobną złoceniami i piął się w górę po stromym podejździe wiodącym na dziedziniec. Gdy konie stanęły, służący wybiegli przed frontowe drzwi. Na twarzy starszego lokaja malowało się zaskoczenie.

- Nie oczekiwaliśmy dzisiaj pani powrotu, m'nselle - powiedział z wyrzutem.

- Wiem - uśmiechnęła się Jolanta - ale musiałam wyjechać z Paryża wcześniej, niż zamierzałam.

Zastanawiała się, jaki powód swego przedwczesnego powrotu podać babce. Znalazła odpowiedni, zanim doszła do salonu.

- Maria Teresa! Moje drogie dziecko! - krzyknęła hrabina. - Dlaczego nie dałaś mi znać, że przyjeżdżasz?

- Wszystko stało się nieoczekiwanie, grandmere - odpowiedziała Jolanta. - Jeden z domowników zachorował i mój pobyt stałby się dla wszystkich kłopotliwy, więc wyjechałam.

- Zupełnie słusznie, ma chérie - pochwaliła ją hrabina. - Ale nie mogę znieść myśli, że nie wysłaliśmy powozu na stację. Rozumiem, służąca, która ci towarzyszyła, została, żeby poczekać na pociąg do Paryża?

Jolanta przemilczała to, bo nie miała ochoty więcej kłamać, ale babka nie zwróciła uwagi i powiedziała:

- W każdym razie jestem zadowolona, że tu jesteś, Tak naprawdę, właśnie miałam zatelegrafować do Paryża, żebyś wracała.

- Doprawdy, grandmere, dlaczego?! - wykrzyknęła Jolanta.

- Otrzymałam telegram od markiza - wyjaśniła grandmere. - Z pytaniem, czy może przybyć tego wieczora.

Jolanta udała, że jest zaskoczona, a babka powiedziała:

- Nie mogę pojąć, dlaczego chce przyjechać aż dwa tygodnie wcześniej, niż go oczekujemy, ale nawet gdybym mogła, nie trudziłabym się, by go powstrzymać.

- Nie, oczywiście, że nie, grandmere - zgodziła się Jolanta. - Ale nie zdążymy zaprosić gości i wydać przyjęcia.

Próbowała mówić w naturalny sposób i zachowywać się zgodnie z oczekiwaniami babki, chociaż nie chciała żadnych gości. Pragnęła spotkać się z Leo sam na sam.

Podeszła do okna i pomyślała, jak będzie przyjemnie oprowadzać go po zamku, w którym mieszkał jako mały chłopiec, i przekonać się, czy zauważy zmiany, jakich dokonali ona i ojciec. Nie mogli działać wiele, bowiem wszystko prowadziło do kłótni z jej matką. Ale wystawili na światło dzienne wiele cennych przedmiotów, które nie były odpowiednio wyeksponowane za czasów babki. Dzięki temu wnętrza zamku wyglądały jeszcze piękniej niż przedtem.

Teraz w podnieceniu myślała, że chce tu zrobić jeszcze mnóstwo rzeczy, w których Leo może jej służyć radą i pomocą. Pragnęła otworzyć wszystkie pokoje zamknięte za czasów jej matki, odnowić sypialnie, powiesić nowe zasłony w jadalni.

Będzie cudownie robić to wszystko mając Leo u boku. Na pewno mieli ten sam gust, bowiem ich umysły, tak jak serca, były ze sobą złączone.

- Ależ ty mnie nie słuchasz, Mario Tereso! - Usłyszała za plecami głos babki.

- Przepraszam, grandmere. Odbiegłam myślami bardzo daleko. O czym mówiłaś?

- Prosiłam, żebyś porozmawiała z kucharzem i obstalowała obiad, który, według twego uznania, przypadnie do gustu markizowi. Dałam już dziś rano kilka wskazówek, ale jestem pewna, że ty lepiej wiesz, jakie potrawy lubią młodzi ludzie.

Jolanta nie dała się zwieść. Dobrze wiedziała, jeżeli obiad przypadnie markizowi do gustu, babka zechce przypisać zasługę jej. To był jeszcze jeden sposób, żeby podkreślić walory panny na wydaniu. Tydzień temu byłaby wściekła i odmówiłaby babce. Teraz jednak cieszyła się, że może coś zrobić, by sprawić przyjemność Leo.

- Oczywiście, grandmere, pójdę teraz porozmawiać z kucharzem - powiedziała z zapałem. - Ale jestem pewna, iż sama dokonałaś świetnego wyboru.

- Wolałabym, aby to był twój wybór, ma chérie - odparła babka.

- Rozumiem, będzie nas czworo przy obiedzie, jeżeli gościsz jeszcze swoją przyjaciółkę.

- Kiedy, dowiedziałam się, że markiz przyjeżdża, zasugerowałam jej, by powróciła do Tours.

- Mój Boże, postąpiłaś bardzo bezwzględnie, grandmere.

- Mówiąc szczerze, moja droga, jej towarzystwo raczej mnie nudziło - odparła babka.

Jolanta знаła powód, dla którego babka odesłała do domu swoją przyjaciółkę. Nie chciała po prostu pozwolić, żeby markiz rozpraszał swoją uwagę. Powinien skupić ją wyłącznie na przyszłej narzeczonej.

Babka także była niespokojna, zauważyła Jolanta tyle że z innych powodów, niż ona sama. Nic dziwnego markiz był przecież dorosłym człowiekiem i po tych wszystkich latach mógł mieć inne oczekiwania co do kobiety, którą ma poślubić. Jolanta uśmiechnęła się drwiąco do siebie. Przyszło jej do głowy, że z drugiej strony, babka nie miała wątpliwości, iż nikt przy zdrowych zmysłach nie oparłby się zamkowi i posiadłości Beauharnais.

Z rozspiewanym sercem pobiegła na górę do swojej sypialni. Był to bardzo piękny pokój. Umeblował go dla niej ojciec. Zestawienie kolorów, mebli i obrazów było

arcydziełem sztuki dekoratorskiej, którym razem się cieszyli. Wiedziała, że kiedy wyjdzie za mąż, przeprowadzi się do hrabiowskiej sypialni, która zawsze była zajmowana tylko przez hrabiego, ponieważ jej matka wolała samodzielną komnatę, prostą i surową jak cela zakonna.

Z okien hrabiowskiej sypialni położonej w narożniku zaniku roztaczał się widok na dolinę. Nie miał on sobie równych pośród innych zamków, które Jolanta odwiedziła. Można było stamtąd zobaczyć nie tylko srebrną wstęgę Indry, przecinającą dolinę, ale także dostrzec odległy lśniący nurt Loary szerokiej i majestatycznej, niosącej życiodajną wodę. Czyniła ona „Ogród Francji” najpiękniejszym i najżyźniejszym miejscem w całym kraju.

Będziemy razem patrzeć na ten krajobraz, pomyślała Jolanta. Podniecenie i niecierpliwość zaparły jej dech w piersiach. Zbiegła do kuchni, zmieniła jedną czy dwie pozycje w jadłospisie i zaordynowała najznakomitsze wino z piwnicy ojca. Wyszła do ogrodu, żeby zerwać trochę kwiatów do sypialni markiza.

Ogród był pełen roślin hodowanych z myślą o dekorowaniu wnętrza domu. Nawet kwiaty na rabatach były rozmieszczone z artystycznym smakiem, bowiem hrabia nalegał, by ogród stanowił integralną część piękna zamku.

Jolanta chciała umieścić w pokoju markiza coś osobistego. Znalazła właśnie rozkwitający krzak róży i pomyślała, że to przypomni mu kwiaty, które miała we włosach, gdy całował ją w Lasku Bulońskim. Ułożyła róże w małym niebieskim wazoniku z sewrskiej porcelany i postawiła koło jego łóżka. Potem wybrała swoje ulubione książki i też je tam położyła.

Kocham go! Kocham go! - myślała, rozglądając się, czy mogłaby jeszcze coś zrobić.

Potem, po krótkiej rozmowie z babką, poszła na górę, aby wybrać strój. Południowy pociąg z Paryża przyjeżdżał do

Langeais około wpół do szóstej po południu. To oznaczało, że markiz będzie w zamku o szóstej.

Jolanta postanowiła założyć popołudniową suknię i w niej wyjść na powitanie. Potem, jeżeli usiądą do kolacji trochę później niż zwykle, będzie miała czas przebrać się w coś bardziej olśniewającego, żeby uczcić ich pierwszy wspólny posiłek w zamku.

Jej bagaż już przywieziono i pokojówki były zajęte rozpakowywaniem strojów. Jolanta wybrała bardzo prostą suknię podkreślającą jej młodość. Była to jedna z letnich kreacji, arcydzieł monsieur Floreta, uszyta z ażurowego płótna, przetykanego turkusowo - niebieską wstążką. Z tyłu znajdowała się wielka kokarda takiego samego koloru, więc cała suknia robiła wrażenie związanego wstążką bukietu.

Jolanta pokazała jednej z pokojówek, jak wykonać fryzurę, którą stworzył dla niej Felix. Potem, nie zakładając żadnych klejnotów, zeszła na dół, żeby razem z babką czekać w salonie.

- Widzę jeszcze jedną zadziwiającą suknię, ma chérie! - wykrzyknęła hrabina na jej widok. - Od razu wydało mi się, że ta, w której przyjechałaś, jest raczej niezwykła, ale nie chciałam nic mówić. Czyżby to miała być najnowsza moda?

- Owszem, grandmere. Mała krynolina już odeszła. Nie będzie żadnych więcej rusztowań ani fiszbinów, które tylko przysparzały niewygód.

- To twarzowa suknia - powiedziała babka. - Mimo to wydaje mi się trochę dziwaczna. Zastanawiam się, co pomyśli markiz.

- Oczywiście, będzie musiał się do niej przyzwyczaić, tak jak wszyscy - odparła Jolanta. - Wiesz, moda zawsze wydaje się dziwaczna na pierwszy rzut oka.

- Tak, to prawda - przyznała hrabina - Pamiętam, kiedy pierwszy raz zobaczyłam krynolinę, byłam zdumiona. Tak czy

inaczej rada jestem, że moda na krynolinę się kończy. Te suknie zabierały o wiele za dużo miejsca w karecie.

- I wyglądały bardzo nieskromnie, kiedy dama pochyliła się do przodu - roześmiała się Jolanta.

- Zgadzam się z tym - odparła hrabina. - Ta nowa suknia przynajmniej będzie zawsze zakrywała kostki.

- Tak, grandmere - przyznała Jolanta z udaną powagą.

Ledwie słuchając babki, wyczekiwała na odgłos kopyt i turkot kół powozu. Jedno z okien salonu wychodziło na dziedziniec zamku. Podeszła do niego. Nie mogła się powstrzymać, by nie wyglądać przyjazdu markiza.

- Jeżeli markiz zobaczy cię w oknie - usłyszała za sobą głos babki - uzna to za wyraz nadmiernej ciekawości, a może nawet za brak opanowania. Wiem, Mario Tereso, że jesteś zaciekawiona, ale pamiętaj, urodzenie nie pozwala ci okazywać żadnego rodzaju emocji ani uczuć.

Jolanta zadała sobie pytanie, co babka pomyślałaby, gdyby wiedziała, jak otwarcie i wylewnie markiz okazywał swoją miłość. Wymówka babki była bardzo łagodna. Hrabina na pewno przyjęła z ulgą pozytywne nastawienie Jolanty do odwiedzin markiza. Ciesząc się, że wnuczka najwidoczniej zapomniała o protestach i buncie, nie chciała zbyt surowo ganić jej drobnych uchybień.

Co on pomyśli, kiedy mnie zobaczy, zastanawiała się Jolanta. Co powie? Ogarnął ją nagły lęk. Odruchowo podeszła do babki i stanęła za jej fotelem. Instynktownie wyczuwała, że starsza pani również jest spięta. Czekać zdawało się trwać wieki, mimo że w rzeczywistości nie minęło kilka chwil, nim usłyszała kroki na klatce schodowej. Zbliżyły się z wolna, bowiem lokaj był już stary i nie mógł się spieszyć.

Wreszcie drzwi do salonu stanęły otworem.

- Monsieur le marquis de Montereau, madame! - oznajmił lokaj.

Jolanta wzięła głęboki oddech i tak mocno zacisnęła rękę na oparciu fotela babki, że aż zbieleły jej palce. Markiz wkroczył do salonu. Wyglądał bardziej pociągająco niż kiedykolwiek przedtem. Niewątpliwie zamek nie przyćmił blasku jego osobowości. Co więcej, markiz zdawał się tutaj idealnie pasować, jakby sam stanowił naturalną część tego wielkiego gmachu. Z właściwym sobie wdziękiem przeszedł przez pokój i ujął dłoń babki, a potem podniósł ją do swoich warg.

- Miło cię znowu widzieć, Leo - uśmiechnęła się hrabina.

- Wybacz, że nie wstaję, ale moje kolana są ostatnimi czasy trochę znużone.

- Trudno mi wyrazić, jaką radość czuję, że mogę tu znowu być, madame. Nigdy nie zapomnę, ile doznałem od pani dobroci, kiedy byłem dzieckiem.

- Byłeś bardzo miłym małym chłopcem - powiedziała hrabina. - Chyba nie zabrzmie to banalnie, jeżeli powiem, że wyrosłeś?

Markiz roześmiał się niewymuszonym i szczerym śmiechem.

- A teraz - powiedziała hrabina - przestawię cię komuś, kto także urósł. Trudno przypuszczać, że mógłbyś po tylu latach pamiętać moją wnuczkę, Marię Teresę.

Jolanta dygnęła, a ponieważ była jednocześnie zmieszana i podekscytowana, nie mogła spojrzeć na markiza. Opuściła długie czarne rzęsy na swoje blade policzki i usłyszała, jak markiz mówi:

- Jest mi bardzo miło poznać panią, Mario Tereso!

Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. A kiedy to zrobiła, zamarła, jakby rażona piorunem. Nie ujrzała bowiem w jego oczach ani jednego błysku mówiącego, że markiz ją poznaje.

ROZDZIAŁ 7

Jolanta stała w sypialni, czując się, jakby właśnie przeżyła klęskę huraganu. Nie była w stanie myśleć i z trudem przychodziło jej nawet samo oddychanie.

Spędzili niewiele czasu w salonie, zanim babka zaproponowała, by poszli na górę przebrać się do kolacji.

Markiz mówił swobodnie, zabawnie i w sposób, który nie nosił żadnych śladów gry czy sztuczności. Wobec Jolanty zaś zachowywał się jak całkowicie obcy człowiek. Nie mogła uwierzyć, nie mogła przyjąć, że ktokolwiek mógłby tak dobrze udawać. Słyszała, jak markiz rozmawia z babką o dawnych czasach i wyraża radość ze swego powrotu do zamku. Trudno było zgadnąć, że to ten sam człowiek, który wyznawał jej miłość i postanowił poświęcić wszystko dla swego uczucia.

Niemożliwe, by markiz jej nie poznał. Z drugiej strony Jolancie wystarczyłoby jedno spojrzenie, jeden uśmiech na jego wargach, a wiedziałyby, że zrozumiał i wybacza jej oszustwo. Niepojęte było także to, że kiedy wszedł do salonu, widok Jolanty zupełnie go nie zaskoczył. Bez drgnienia powieki patrzył wprost na nią i rozmawiał ze zwyczajną kurtuazją gościa.

Może będę mogła pomówić z nim sam na sam przed kolacją, pomyślała Jolanta i w pośpiechu zaczęła się rozbierać do kąpieli. Jednak trudno jej było zdecydować, w co się przebrać. Zamierzała założyć suknię, którą miała tego wieczora, gdy po raz pierwszy jedli razem kolację, a on pocałował ją w Lasku Bulońskim, Teraz zmieniła zdanie. Pokojówka pomogła jej włożyć suknię, której Jolanta nigdy przedtem nie nosiła. Miała delikatną barwę płatków róży, co przywodziło na myśl róże w ogrodzie. Ta suknia mogła przypomnieć markizowi, że jest w „Ogrodzie Francji”, a róże to kwiaty miłości.

Jolanta spieszyła się, starając się wyglądać jak najlepiej, poprawiając uczesanie i wybierając biżuterię. Mimo to kiedy zeszła do salonu, zastała tam już markiza i babkę.

- Miałem nadzieję, że będzie tu jeszcze część starych służących. Pamiętam ich z dzieciństwa - mówił właśnie markiz. - Na przykład Dubac, uczył mnie jeździć konno, musiał przejść już na emeryturę.

- On zmarł - odparła hrabina. - Ale czy przypominasz sobie Alberta, który zajął jego miejsce?

- Tak, oczywiście! - wykrzyknął markiz. - Doskonale pamiętam Alberta! A stary ogrodnik Cargris - czy on jeszcze żyje?

- Przeszedł na emeryturę - powiedziała hrabina - ale wiem, że sprawiłoby mu ogromną przyjemność, gdybyś go odwiedził w jego domku, zaraz za bramą.

- Z pewnością to zrobię - powiedział markiz. Służący poinformował, że podano do stołu. Markiz podał ramię hrabinie. Podążając za nimi Jolanta czuła się kompletnie zignorowana. Jak on mógł zachowywać się wobec niej w taki sposób, jeżeli wciąż ją kochał? Nagle, niczym cios, uderzyła ją myśl: A jeżeli był tak rozgniewany jej oszustwem, że na zawsze stracił uczucie dla niej? Popatrzyła na niego lękliwie poprzez udekorowany kwiatami stół.

Mimo że na zewnątrz było wciąż jasno, zasłonięto okna i wielki srebrny świecznik, którego nigdy nie używano za czasów jej matki, został wydobyty ze skarbca i postawiony na stole.

Kiedy przyjrzała się dokładnie markizowi, rozmawiającemu z babką, pomyślała, że ma trochę groźny wyraz twarzy, ale może to był tylko wytwór jej wyobraźni. Tymczasem gość zdawał się cieszyć wszystkim dookoła oprócz Jolanty.

- Pamiętam tę komnatę tak dobrze - powiedział. - W porównaniu z tą doskonałą symetrią każda inna jadalnia, w której później siadywałem do posiłków, wydawała mi się brzydka. A obraz nad kominkiem lubiłem najbardziej.

Spojrzał na niego i mówił dalej:

- Byłem małym chłopcem i zwykłem wpatrywać się w niego. Wyobrażałem sobie, że jestem tym rycerzem, tak umiejętnie namalowanym przez Uccella, i że zabijam smoka.

- Trudno nie wierzyć w istnienie smoków, mając za plecami las Chinon - uśmiechnęła się hrabina.

- Ten las wydawał mi się taki ciemny i tajemniczy - powiedział markiz. - I, jak sądzę, wydawał się taki każdemu dziecku.

Spojrzał ponad stołem na Jolantę.

- Kiedy pani jeździła konno po lesie, czy wyobrażała pani sobie, że istnieją smoki, Mario Tereso?

Mówił drwiącym tonem, jakiego używał wobec niej, kiedy pierwszy raz spotkali się w zimowym ogrodzie w domu diuka.

- Zawsze wyobrażałam sobie, że rycerze z zamku zabili wszystkie smoki, jakie mogłyby mnie przestraszyć - odparła Jolanta.

Mówiąc to, popatrzyła na niego błagalnie, mając nadzieję, że naprawdę go interesują jej dziecinne marzenia, ale markiz od razu odwrócił się w kierunku babki.

- Jak sądzę, odgłosy słyszane przez wieśniaków i przypisywane smokom były w rzeczywistości wydawane przez dziki. Na pewno jest ich tu wiele i można polować.

Przez cały posiłek Jolanta nie mogła niczego przełknąć. Gdy kolacja dobiegła wreszcie końca, dziewczyna miała wrażenie, jakby poruszała się w dziwnym, koszmarnym śnie, w którym próbujesz coś złapać, ale to coś zawsze w ostatniej chwili umyka z zasięgu twojej ręki.

Wrócili do salonu, babka znów wsparta na ramieniu markiza. Pili kawę i markiz przyjął kieliszek dojrzałego koniaku z piwnic zamkowych. Pozbawiona treści konwersacja trwała dalej. Jolanta poczuła, że za chwilę oszaleje. Zdawało się jej, że minął cały wiek, zanim w końcu babka powstała.

- Muszę wcześniej udać się na spoczynek, Leo - powiedziała do markiza. - Ale zostawię was, dwoje młodych, abyście się poznali. Jestem pewna, że wiele rzeczy dotyczących zamku Maria Teresa potrafi przedstawić ci lepiej niż ktokolwiek inny.

- Niech mi będzie wolno raz jeszcze podziękować za zaproszenie - odparł markiz.

Pocałował hrabinę w rękę i otworzył przed nią drzwi, a ona powiedziała „dobranoc” swojej wnuczce i wyszła. Zamknął drzwi i wrócił do salonu.

Patrząc, jak się zbliża, Jolanta poczuła opuszczając ją napięcie. Byli sami, byli razem. Teraz w końcu mogli być sobą. Czekala, aż markiz podejdzie i weźmie ją w ramiona, ale ku jej zaskoczeniu, zatrzymał się przy stoliku i podniósł swój kieliszek koniaku.

- Pani babka to wyjątkowa kobieta. Kiedy byłem małym chłopcem, raczej mnie przerażała, ale nawet wtedy umiałem docenić jej wspaniałą urodę.

Jolanta spojrzała na niego ze zdumieniem. Przecież teraz byli sami. Nie zamierzał chyba kontynuować tej farsy i udawać, że jej nie poznaje.

- Jutro, mam nadzieję, Mario Tereso - powiedział - nie tylko oprowadzi mnie pani po zamku, zresztą na pewno potrafiłbym tu znaleźć drogę nawet z zawiązanymi oczami, ale zabierze mnie pani na konny spacer po posiadłości, tak jak to robił kiedyś pani ojciec.

- Leo - próbowała powiedzieć Jolanta, ale słowa zdawały się więznąć jej w gardle.

- Przypuszczam - mówił dalej markiz, siadając wygodnie w fotelu - że oboje mamy prawo czuć się trochę niezręcznie, wiedząc z całą pewnością, czego się od nas oczekuje. Więc może obędziemy się bez niepotrzebnego wstępu?

- Co... Co masz na myśli? - pytanie Jolanty brzmiało tylko odrobinę głośniejsze niż szept.

Nie poruszyła się z miejsca, wsparła jedynie na oparciu krzesła.

- Mam na myśli - odparł markiz tym drwiącym tonem, którego tak nie lubiła - że oboje zdajemy sobie sprawę, iż mamy zostać małżeństwem. Niech mi więc będzie wolno powiedzieć wprost, bez żadnych ceremonii: żywię nadzieję, że uczynię panią szczęśliwą.

Przez chwilę Jolanta myślała, że słuch ją musi mylić. Czyż on rzeczywiście mógł przemawiać do niej w taki sposób i tymi słowami? Czy ten człowiek, który zachowywał się tak, jakby jej uczucia nie miały najmniejszego znaczenia i dawał aż zbyt jasno do zrozumienia, co myśli, to mógł być naprawdę Leo?

Nie czekając na jej odpowiedź markiz wstał i podszedł do jednego z okien, wciąż trzymając w dłoni kieliszek koniaku.

- Oto jeden z najdoskonalszych widoków na świecie - rzeki. - Ale, jak sądzę, nawet widok może się znudzić po jakimś czasie. W każdym razie jestem pewien, że pani i ja wykorzystamy go w pełni. W końcu tego właśnie życzyli sobie pani babka i ojciec.

Nagle Jolanta wydała z siebie okrzyk, niczym małe zranione zwierzę. Wybiegła z salonu. Bez namysłu zbiegła po schodach do frontowych drzwi i wypadła na dziedziniec, a potem pobiegła wzdłuż tarasu. Nie zastanawiała się, dokąd zmierza - nogi same ją niosły, byle dalej od zamku i od markiza. Kiedy wreszcie stanęła, była na najdalszym krańcu tarasu, który w tym miejscu zakręcał, by otoczyć zamek.

Przed sobą miała ten sam widok co markiz z okna salonu. Nie widziała go jednak, bowiem oczy wypełniały jej łzy.

Była z stanie tylko zacisnąć dłonie na kamiennej balustradzie. Za wszelką cenę starała powstrzymać się od zupełnego załamania. Na zachodzie widoczna była już tylko ostatnia czerwona łuna słońca. Niebo u góry zaczynało ciemnieć i wschodziły pierwsze wieczorne gwiazdy. Widać było ledwie cień księżyca, ale to ten sam księżyc świecił przecież nad nimi w Lasku Bulońskim, gdy markiz całował ją koło wodospadu, wówczas kiedy poznała upojenie, które uniosło ją do bram raju.

Teraz czuła, jakby wszystko, w co sama wierzyła, wszystko, w co nauczył ją wierzyć ojciec oraz jej wielka miłość leżało w gruzach u jej stóp.

Noc zamarła w bezruchu i ciszy. Dało się słyszeć tylko kwilenie spóźnionych ptaków. Rozległy się kroki markiza, idącego przez dziedziniec w stronę tarasu.

Był jeszcze daleko. Jolanta, ogarnięta paniką, chciała zbiec schodami na drugi taras, a potem niżej, do ogrodu. Jednak powiedziała sobie z rezygnacją, że to by wyglądało niezbyt mądrze. Jaki sens miała ucieczka, jeżeli i tak markiz miał zostać w zamku. Nie mogła przecież uniknąć spotkania z nim.

Kroki się zbliżały. Markiz szedł spokojnie, bez pośpiechu, a ona stała, kurczowo trzymając się zimnej kamiennej balustrady, patrząc przed siebie na tonącą w kwiatach dolinę.

Markiz podszedł i stanął obok niej. Zdrętwiała, oczekiwała, aż usłyszy z jego strony jeszcze jedną nonszalancką uwagę wypowiedzianą tym samym tonem, jakiego używał od przyjazdu. Ale on nie spieszył się z rozpoczęciem rozmowy. Czuła jego wzrok na swojej twarzy, rysującej się na tle ciemniejącego nieboskłonu. Z wysiłkiem uniosła dumnie podbródek. W końcu markiz przemówił, a

jego głos zabrzmiał surowo, a nawet, jak pomyślała, trochę groźnie.

- No cóż, Mario Tereso Jolanto Lefleur de Beauharnais - zwrócił się do Joli - co masz mi do powiedzenia na swoją obronę?

Trudno jej było odpowiedzieć, ale wreszcie zapytała bardzo słabym głosem: - Jesteś... rozgniewany?

- Bardzo!

- Ja... przepraszam. Nic nie odpowiedział, a ona spytała szeptem:

- Czy... przestałeś... mnie kochać?

- W tej chwili nie zaprzęgam sobie głowy własnymi uczuciami - odparł markiz. - Interesuje mnie twoje zachowanie. Jak mogłaś zrobić coś tak horrendalnego?

- Musiałam poznać... prawdę o tobie.

- Po co?

- Ponieważ... sądziłam, że... nie zniosłabym małżeństwa z tobą.

- Co o mnie słyszałaś i od kogo?

- Dziewczęta w szkole opowiadały mi... i podsłuchiłam różne rzeczy od ich rodziców... myślałam, że jesteś... takiego rodzaju człowiekiem... który nie byłby szczęśliwy w zamku... i ze mną.

- Więc wymyśliłaś tę niebezpieczną i wręcz karygodną maskaradę?

- T... tak. Milczał i mimo wszelkich wysiłków Jolanta czuła, jak łzy zaczynają powoli spływać jej po policzkach. Nie poruszyła się ani nie próbowała ocierać ich dłonią, mając nadzieję, że markiz tego nie zauważy.

Po chwili, nie mogąc znieść ciszy, powiedziała łamiącym się głosem:

- Przepraszam... jeżeli cię... rozgniewałam. Proszę, wybacz mi.

Znowu zapadła cisza. Jolanta, nie mogąc już dłużej wytrzymać, odwróciła się w stronę markiza i ukryła twarz na jego ramieniu.

- Przebacz mi... przebacz mi... - łkała. - Kocham cię..., proszę, Leo, weź mnie za żonę.

Markiz nie otoczył jej ramieniem. Uczucie, że jej błaganie pozostaje bez odpowiedzi, doprowadzało ją do szaleństwa. Szczęście jakby wyslizgiwało się z rąk i traciła je na zawsze.

- Jeżeli... nie kochasz mnie wystarczająco... żeby mnie poślubić - powiedziała - proszę, Leo, pozwól mi zostać twoją... utrzymanką... tak jak proponowałeś w Paryżu.

Jej głos załamał się i teraz szlochała spazmatycznie. Była obezwładniona cierpieniem i strachem, że go straciła i że już jej nie pragnął.

Nareszcie markiz objął ją i przytulił do siebie. Ten gest sprawił tylko, że Jolanta rozplakała się jeszcze bardziej.

- Czy jesteś zupełnie pewna, że mnie kochasz? - zapytał.

- Kocham cię... rozpaczliwie, boleśnie - szlochała Jolanta.

- Jestem twoja! Jeżeli nie... pragniesz mnie już... jeżeli nie chcesz mnie kochać... wtedy chcę już tylko umrzeć,

- Moja niedorzeczna, nierozsądna, najdroższa. Teraz głos markiza brzmiał głęboko i czule. Jolanta przestała płakać, ale zacisnęła kurczowo palce na kołnierzu jego surduta. Markiz odwrócił jej twarz w kierunku swojej i przez moment patrzył na nią, na łzy płynące po policzkach, na jej drżące i miękkie wargi. Potem jego usta znalazły się na jej ustach i z cichym łkaniem, dobywającym się z samej głębi jestestwa, powitała falę ogarniającego ją znowu szczęścia. W jej piersiach rosło upojenie, którego zawsze doznawała będąc w jego ramionach. Przytuliła się mocno. Pragnęła wtopić się w niego, całkowicie mu się oddać. Ale markiz, wciąż mocno trzymając ją w objęciach, podniósł głowę i powiedział:

- Jednak musisz złożyć jeszcze wiele wyjaśnień. Surowość tych słów została złagodzona ciepłem jego głosu.

- Już się... nie gniewasz?

- Powinienem. Wciąż jestem przerażony, że byłeś w stanie zrobić coś tak niebezpiecznego.

- Myślałam... mogę wrócić do domu... jeżeli wszystko stanie się zbyt... skomplikowane.

- To mogło być niemożliwe.

Wiedziała, że miał na myśli tę chwilę, kiedy przestraszył ją w Cafe Anglais. Ukryła znowu twarz na jego ramieniu, ponieważ zawstydzало ją wspomnienie tej sceny. Markiz odgadł jej myśli.

- Właśnie - powiedział. - Całe szczęście, moja nieznośna panno, że byłeś tam ze mną, a nie z kimś innym.

Poczuł, jak Jolanta zadrżała i mówił dalej:

- Jak mógłbym zgadnąć, jak mogłem sobie wyobrazić, że osoba o twojej pozycji próbowałaby mnie zwodzić i oszukiwać, udając, że należy do świata, o którym nie ma najmniejszego pojęcia?

- Początkowo udało mi się... ciebie oszukać.

- Byłem zdezorientowany już od chwili, kiedy się poznaliśmy - odparł markiz. - Zauważyłem, że jesteś przestraszona i to samo w sobie mnie zaskoczyło. Brakowało ci wyrafinowania, byłeś także niedoświadczona i, jak w końcu odkryłem, bardzo niewinna. Znowu podniósł jej twarz ku swojej i spojrzał w oczy.

- Jesteś taka cudowna! - rzekł. - Tak niewiarygodnie, nieprawdopodobnie piękna. A kiedy zrozumiałem, kim jesteś, wiedziałem, że nic mnie już nie może powstrzymać od poślubienia Marii Teresy de Beauharnais.

- Wiedzieliś... kim jestem, zanim tu... przybyłeś? - powiedziała Jolanta oskarżycielsko. - Wiec jak mogłeś postąpić tak okrutnie?

Markiz uśmiechnął się.

- Zasługiwałaś, aby zostać ukarana za podjęcie takiego ryzyka i zatajenie prawdy.

- Myślałam, że... przestałeś mnie kochać. Myślałem, że... cały świat legł w gruzach - szepnęła Jolanta.

- Chciałem, żebyś się tak poczuła - przyznał Markiz. - A jednak, moja najdroższa, twoja kara nie dobiegła jeszcze końca.

- Jak to... przecież... ożenisz się ze mną.

- Zrobię to - odparł markiz. - Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że musi minąć wiele czasu, zanim będziesz mogła znów pojechać do Paryża. Jeżeli nie kto inny, to księżę Napoleon na pewno cię rozpozna.

- To mnie nie martwi - odpowiedziała Jolanta. - Ale czy tobie to... nie będzie bardzo przeszkadzało?

Markiz uśmiechnął się znowu.

- Chyba będę musiał spróbować wykorzystać wszystkie dobre strony życia w najdoskonalszym zamku na świecie i posiadania nieznośnej zachwycającej żony, która robi rzeczy niemożliwe do przewidzenia.

- Będziesz tu szczęśliwy?

- To oczywiście dopiero się okaże - odparł markiz. Ale jakby nie mogąc się powstrzymać, ucałował jej czoło, potem oczy, i właśnie szukał ust, gdy Jolanta zapytała:

- Czy to Aimee powiedziała ci, kim jestem? Bo jeżeli tak, to okazała się bardzo nielojalna.

- Nie, to nie Aimee - odpowiedział markiz. - I jestem pewien, że ona by cię nigdy nie zdradziła. W istocie, to był diuk.

- Diuk? Ależ on nie wiedział, kim jestem!

- Nie miał pojęcia - przyznał markiz. - Ale kiedy zostawiłem cię tego ranka, zamierzając wsiąść do pociągu o

dwunastej w południe, nagle przestraszyłem się, że księżę Napoleon może stać się kłopotliwy.

- Miał zamiar - rzekła Jolanta cicho. - Ale mów dalej.

- Dlatego pojechałem do domu diuka na Polach Elizejskich. Złapałem go w ostatniej chwili, bowiem wybierał się na konną przejażdżkę. Poprosiłem go, żeby sprawował nad tobą pieczę aż do mojego powrotu i dopatrzył, abyś nie bywała w miejscach, gdzie mogłabyś natknąć się na księcia.

"Wyjeżdżasz?" - zapytał diuk. - „Wrócę jutro - odpowiedziałem. - Muszę odwiedzić zamek Beauharnais". „Najpiękniejszy zamek w dolinie Loary - uśmiechnął się diuk. - Brakuje mi naszego Beauharnais. Był jednym z najpocziwszych ludzi, jakiego znałem".

„Tu się z tobą zgodzę - odparłem. - Także mi go brakuje". „Przeżył piekło na ziemi z tą swoją nieznośną żoną - westchnął diuk. - Ale Gabrielle Renaze uczyniła go szczęśliwym - bardzo szczęśliwym. Na pewno wiesz, że ona jest ciotką Aimee?" „Ciotką Aimee?" - zapytałem i w tym momencie już wiedziałem, kim ty jesteś.

Jolanta mruknęła ze zrozumieniem, ale nie przerywała mu.

- Zawsze było w tobie coś, co mnie zastanawiało - mówił dalej markiz. - Było coś w twoim sposobie poruszania się, w twoim uśmiechu. I wtedy zrozumiałem, to to jest. Byłaś podobna do swego ojca, którego ja także kochałem!

- Więc tym sposobem się dowiedziałeś! - wykrzyknęła Jolanta.

- Tym sposobem się dowiedziałem.

- I to cię... bardzo rozzłościło?

- W rzeczy samej. Rozzłościła mnie myśl, że naraziłaś siebie na takie niebezpieczeństwo. Przypuśćmy, że...

Przerwał.

- Jaki jest sens teraz się tym martwić? - powiedział. - Wszystko już dobiegło końca. Ale przyrzekam ci, moja

najdroższa, nigdy więcej nie będziesz miała okazji do zrobienia niczego tak niecnego. Będę cię trzymał tu, w zamku, jak więźnia i zostaniesz przykuta łańcuchem do mego boku.

- Tego właśnie pragnę - odparła Jolanta. - Chcę być z tobą... na zawsze!

Podniosła na niego wzrok. Ujrzał w jej oczach błagalny wyraz.

- Ale to... nie zniszczyło naszej miłości? - zapytała. - Czy wciąż mnie kochasz?

- Bardziej niż cokolwiek na świecie.

- Bardziej niż... zamek? Markiz uśmiechnął się.

- Byłem gotowy zrezygnować dla ciebie z zanku, moja najdroższa, ale nie chcę udawać. Cieszę się, że zamek wciąż tu jest dla nas obojga.

Mówiąc to, odwrócił ją tak, że oboje mogli popatrzeć na zamek, wznoszący się ponad ich głowami. Pierwszy promień księżycowego światła zamieniał wieżyczki w czyste srebro i połyskiwał na szybach okiennych. Na de rozgwieżdżonego nieba zamek wyglądał niczym klejnot.

- Papa powiedział ci, że to zamek stworzony dla miłości - szepnęła Jolanta.

- I my go takim uczynimy - powiedział markiz. - Nie tylko dla siebie, moja najdroższa, ale i dla tych, którym musimy służyć opieką i wsparciem, podobnie jak to czynił twój ojciec pomagając mnie.

Słyszając wdzięczność i oddanie w jego głosie, Jolanta poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Markiz przyciągnął ją bliżej do siebie i rzekł:

- Zamek, moja droga, musi także być domem dla naszych dzieci.

- I ja tak pomyślałam. Musimy mieć... mnóstwo dzieci. Nigdy nie mogą być samotne tak jak ja.

- Ty nigdy już nie będziesz samotna - rzekł markiz dobitnie. - Będę cię kochał, ochraniał i opiekował się tobą przez całe życie.

- To wszystko, czego pragnę - wyznała Jolanta. - Och, Leo, naprawdę spełniła się bajka! Znalazłam ciebie i jesteś wszystkim, czym papa pragnął, byś się stał.

- A ja odnalazłem moją śpiącą królownę - odparł markiz. - Poświęcę całe moje życie, by ją przebudzić do miłości, która jest nie tylko częścią baśni, ale także częścią chwały „Ogrodu Francji”.

Jolanta pomyślała o świętej Joannie i wiedziała, że znów ich umysły są ze sobą złączone. Tak samo myśleli i już stali się dwiema połowami, zespolonymi w jedno.

- Kocham cię całym moim sercem - powiedziała namiętnie - i musisz mnie nauczyć wszystkiego, co chcesz, żebym czuła i robiła. Pragnę cię kochać jak żona i wzniecać w tobie płomień pożądania jak kochanka, ale musisz mi pokazać, jak to zrobić.

Markiz przytulił ją mocniej i w jego oczach błysnął ogień, ale była w nich także niewypowiedziana czułość.

- Ty już mnie rozpalasz, moja ubóstwiana - rzekł. - Ale moja miłość jest większa, nieporównanie większa niż tylko pragnienie twego boskiego ciała. Chcę tak nieporównanie więcej.

Jego wargi przybliżyły się do ust Jolanty, kiedy mówił:

- Pragnę twego serca i twojej duszy. Chcę mieć pewność, że jesteś moja - całkowicie i niepodzielnie moja. Chcę zawładnąć każdym twoim tchnieniem i każdą myślą w twojej głowie. .

- Oto jest to... co ci ofiaruję - szepnęła Jolanta - i nasza miłość wypełni cały świat... twój świat i mój świat.

- Taka jest miłość, którą już mamy - powiedział markiz. - A czy moglibyśmy marzyć o doskonalszym miejscu, żeby ją przechować?

Podniósł wzrok na zamek. Potem jego usta znalazły się na ustach Jolanty. Trzymał ją zamkniętą w swoich mocnych ramionach i przyciskał do siebie coraz mocniej. Czuła bicie jego serca i wiedziała, że budzi w nim namiętność, tak jak tego pragnęła.

Jednocześnie było coś uświęcającego w jego pocałunkach. Niemal z czcią poddawała się żarliwej, obezwładniającej sile jego warg.

Potem poczuła ponadzmysłową rozkosz, która znalazła swe spełnienie w nich obojgu, w kwiatach, w srebrnych wodach dwóch rzek i w gwiazdach rozświetlających niebo. Szczęście spowijało Leo, Jolantę i zamek, dając obronę przed złem, a także natchnienie i siłę. Jakiś tajemny głos oznajmił Jolancie, że to jest prawdziwa miłość - miłość, która pochodzi od Boga.